



Opowieść niewiernej

Czy warto za wszelką cenę dążyć do utrzymania małżeństwa?
Małżeństwa, któremu nie można zarzucić nic oprócz tego, że...
brak w nim miłości.

MAGDALENA
WITKIEWICZ

MAGDALENA
WITKIEWICZ

Opowieść
niewiernej

FILIA

Dorocie Jaroszewskiej – Ty wiesz, dlaczego...

Z małżeństwem jest jak z nową posadą: ile na początku wynegocjujesz, tyle masz. Potem bardzo trudno zmienić warunki – zarówno pracy, jak i życia.

PROLOG

Zdrada zawsze była dla mnie czymś złym, haniebnym i obrzydliwym. Czymś, co rujnuje związek, zabija miłość, niszczy marzenia, daje ogromne poczucie niesmaku. Myślałam, że cudzołóżnicy zawsze gorzko żałują swoich czynów, spuszczaają oczy i gęsto się tłumaczą, pragnąc przebaczenia.

Ale...

Nigdy nie brałam pod uwagę, że to ja mogę zdradzać.

Ja? To przecież niemożliwe.

W myślach, na wszelki wypadek, dokładnie opracowywałam zemstę, którą zgotowałabym potencjalnemu wiarołomcy. Powoli, systematycznie i z uśmiechem planowałam różne wyrafinowane tortury, które podpowiadała mi bujna wyobraźnia.

Byłam przekonana, że to mężczyźni zdradzają, a biedne kobiety, zmywając gary bądź rozwieszając mokre, świeżo wyprane męskie koszule, płaczą nad swoim smutnym życiem. Tylko one wiedzą, że na tych nieskazitelnie czystych już kołnierzykach jeszcze niedawno był ślad szminki albo JEJ zapach... Tej DRUGIEJ. Mężczyźni na ogół nie piorą, kobiety w większości nie noszą kołnierzyków, zatem kobiet nikt nawet nie podejrzewa o romanse...

Nigdy nie spodziewałam się, że to właśnie mój mąż, któremu przyrzekałam, że będę z nim na dobre i na złe, zostanie rogiaczem.

Przez ostatni rok nauczyłam się, że nie można mówić NIGDY. Nauczyłam się też, że nie ma jednej miłości, a to, o czym przekonują nas naukowcy, mianowicie że kobiety są monogamiczne, jest wierutną bzdurą. To mężczyźni chcieliby nas takimi widzieć... Nie lubią się dzielić nami... Z nikim... Chcą się czuć wyjątkowi i przykleić nam na piersiach wielką kartkę z napisem „towar dotknięty uważa się za sprzedany”. Są przekonani, że sam zaszczyt, jaki nas spotkał w momencie, gdy oni powiedzieli „TAK”, wystarczy, by zamknąć oczy na otaczającą nas rzeczywistość i wpatrywać się jedynie w Pana Męża, który z kolei gapi się w telewizor, bezmyślnie przerzucając kanały. W dodatku występuje wówczas w samych gaciach i podartym, pamiętającym o wiele lepsze czasy podkoszulku.

Ostatni rok pokazał mi, że to nie wystarczy.

Zobaczyłam też, że można uciekać z ramion jednego mężczyzny, by potem wpaść w objęcia drugiego. I kochać.

Czekać.

Tęsknić.

Jedno jest pewne, potem nic nie jest już takie samo...

Nie przyrzekałam miłości i wierności w nieskazitelnie białej koronkowej sukni, stojąc przed rozświetlonym świecami ołtarzem. Maciek nie chciał. Zawsze o tym marzyłam, ale zdawałam sobie sprawę, że marzenia nie zawsze się spełniają. Biała suknia, welon, ojciec prowadzący mnie do ołtarza... To nie wszystko, prawda? Najważniejsze, by być razem. NA ZAWSZE razem, oczywiście.

Nie były to dla mnie puste słowa. Wtedy naprawdę wierzyłam w miłość do grobowej deski. W to, że z pewnością istnieją dwie części układanki pasujące do siebie w stopniu doskonałym i uzupełniające się wzajemnie, tak samo jak chińskie pierwiastki jin i jang, gdzie jedna nie może istnieć bez drugiej, niemalże tak jak dzień nie może nastać bez nocy, światło bez ciemności, czy śmierć bez życia.

Przed oczyma miałam przygarbionych staruszków, trzymających się za ręce podczas spaceru w parku, ich uśmiechy, pełne miłości czułe gesty. Wiek był bez znaczenia. Wierzyłam w miłość aż do końca. Do ostatnich chwil.

W tamtym czasie byłam gotowa zrobić dla Maćka wszystko. Nie musiałam mieć nawet białej sukni, welonu ani tabunu gości, skoro on sobie tego nie życzył.

Nie chciał wesela, oczepin, rzucania welonem i muszką w panny i kawalerów, których zresztą zawsze trudno było wyciągnąć na parkiet. To zdawało się naprawdę nieistotne.

Dla niego mogłam iść do ślubu ubrana w zwykłą sukienkę, w wianku uplecionym z wcześniej przez nas zebranych polnych kwiatów.

Ślub był formalnością. Na jego własne życzenie.

Ja skończyłam studia, pracowałam za niewielkie pieniądze, on, jak na tamte czasy, zarabiał bardzo dużo. Potrzebna mu była żona... By zapłacić mniejszy podatek w kolejnym roku... Chciał się wspólnie rozliczać... Teraz nie wiem, ile to było „dużo”, ale zarabiał tyle, że mógł sobie już wtedy pozwolić na niezły samochód i – gdy bardzo nalegałam – na obiad w bardzo dobrej restauracji. Na pierścionek z brylantem też go było stać. Taki właśnie dostałam.

– Mam klękać? – spytał.

Pierwszego listopadowego dnia, gdy leżeliśmy zziębnięci na sofie, oglądając telewizję, wyjął małe pudełeczko. Już od roku mieszkaliśmy razem i spodziewałam się tej chwili, ale jak każda marzyłam o wielkim bukiecie róż i oświadczynach niczym z Harlequina.

Wróciliśmy wtedy z odwiedzin u tych, których nie było już wśród nas. Każdego roku ich przybywało. Gdy zamknęłam oczy, widziałam setki światełek na grobach na jednym z gdańskich cmentarzy.

Pierwszy listopada nie wydawał mi się odpowiednim dniem na oświadczyń.

W marzeniach widziałam to wydarzenie zupełnie inaczej. Ale...

– Ewa, pierścionek mam dla ciebie. Klękać? – powtórzył.

– Nie klękaj! – Uśmiechnęłam się jak zawsze, idąc na ustępstwo.

– To dobrze, bo fajnie mi się tu z tobą leży i nie chce mi się wstawać – odparł beztrzesko, obejmując mnie i całując w policzek.

Wtedy potraktowałam to jako żart. Nie sądziłam, że w moim dalszym życiu te jego „żarty” wynikające z niechęci zrobienia czegokolwiek dla mnie, będą mnie doprowadzać do szewskiej pasji i staną się przyczyną wielu łez. Wtedy przytuliłam go, a oczy, mimo wszystko, mi się zaszklily, bo w końcu pierwszy raz mi się ktoś oświadczył, a jak wiele kobiet, bardzo chciałam wyjść za mąż.

– No to kiedy? – spytałam i przywarłam mocniej do niego.

– Może w sylwestra? – zaproponował.

– Już? Maciek, jak my zdążymy wszystko przygotować? Przecież ludzie mają różne plany... Dlaczego tak szybko? Kościół, knajpa, orkiestra, na samą sukienkę się czeka miesiącami... – wyliczałam.

– Kochanie... Może weźmiemy cichy ślub, na razie cywilny, zjemy sobie obiad w restauracji, tylko rodzice i świadkowie, a potem pójdziemy gdzieś potańczyć.

– Ale Maciek, co ze ślubem kościelnym? Przecież rozmawialiśmy... – Wizja ślubu moich marzeń oddalała się z prędkością światła. – Co z weselem?

– Myszko... Wiem, że chcesz kościelny. Ja również. – Pogłaskał mnie po głowie jak niesforne dziecko. – Na razie weźmy cywilny. Potem pomyślimy.

Myśleliśmy przez cały czas trwania naszego małżeństwa. Nieustająco myśleliśmy. Przynajmniej ja. Myślałam, tłumacząc mamie, że tak będzie lepiej, choć sama w to nie wierzyłam. Przekonywałam tatę, marzącego o poprowadzeniu jedynej córki do ołtarza, że NIEBAWEM to zrobi. „Niebawem” to było ulubione słowo mojego męża. Mogło znaczyć „za chwilę”, ale częściej znaczyło „nigdy”.

Jednak byłam szczęśliwa, że poprosił mnie o rękę. Że będę jego żoną. Chyba go kochałam... Dopiero kilka lat później uzmysłowiłam sobie, że on wcale mnie o nic nie prosił. Wyjął jedynie pierścionek i zapytał, czy musi klękać.

Chwilę potem powiedział, że we dwójkę łatwiej rozliczać się z urzędem skarbowym, że „po co pieniądze mają iść do skarbu państwa, jak mogą do naszej kieszeni”, oraz że zamiast wydawać kasę na wesele, można się wybrać we wspaniałą podróż poślubną. Co też na pewno zrobimy. Majorka, Cypr, może Portugalia.

Uśmiechnęłam się, wmawiając sobie, że Maciek ma rację, z trudem przetykając tę gorycz, która, zupełnie nie wiadomo dlaczego, pojawiła się we mnie...

Nie wiedziałam wtedy, że z małżeństwem jest jak z nową posadą: ile na początku wynegocjujesz, tyle masz. Potem bardzo trudno zmienić warunki – zarówno pracy, jak i życia. Mechanizm działania jest dokładnie taki sam.

Ja wynegocjowałam zbyt mało.

Ale o tym miałam się dopiero przekonać.

Mój mąż był w zasadzie dobrym człowiekiem. W jego przeświadczeniu – mężem idealnym, takim, którego niejedna mogła mi pozazdrościć. Mąż idealny nie pił, nie bił, nie wałęsał się z kolegami po knajpach i nie podszcypywał innych kobiet. Ba, nie podszcypywał nikogo. Nawet mnie. O tym jednak później.

Mąż idealny nie robił nic. Nawet się nie starał. Przez pierwsze chwile małżeństwa żyłam obrazem, jaki pamiętałam z czasów, kiedy byliśmy parą, i bez zobowiązań prowadzaliśmy się za ręce po piaskach trójmiejskich plaż, ale potem codzienne życie sprawiło, że spadły mi klapki z oczu.

Maćka poznałam przez Agnieszkę, moją przyjaciółkę. Co roku organizowała imprezę urodzinową u siebie na działce w Dolinie Radości. Miała tam mały domek, taki, że gdy siedziały w nim dwie osoby, już było ciasno. Wokół rosło mnóstwo drzew, krzewów i kwiatów.

Co roku, odkąd pamiętam, Agnieszka zapraszała mnie na tę imprezę. Tego lata byłam pewna, że mogę zdobyć świat i że do czegokolwiek się wezmę, wszystko się uda. Skończyłam studia z wyróżnieniem, jako jedna z pierwszych dostałam pracę, przeprowadziłam się do mieszkania odziedziczonego po babci. Jednak żaden z poznanych mężczyzn nie zdołał zainteresować mnie sobą na dłużej. Nie byłam na stałe z nikim związana, ale nie czułam się samotna. Zawsze był ktoś, kto zjawił się na dłuższą lub krótszą chwilę, by wypić kawę, wino lub zjeść przygotowaną przeze mnie kolację przy świecach. Dwukrotnie te spotkania zakończyły się czymś więcej niż pocałunkami... Nie było to jednak – przynajmniej z mojej strony – w żadnym z tych wypadków płomienne uczucie, ale raczej potrzeba bycia akceptowaną, pożądaną. Była to też chęć rozładowania stresów bieżących dni i tęsknota za miłością. Pocałunkom i namiętnemu dotykowi zdecydowanie sprzyjało czerwone wino, wypijane, być może, w zbyt dużych ilościach.

Michał chciał zostać na dłużej. Czasem wydawało mi się, że nawet na zawsze. Nie pozwoliłam. Stał długo pod moim oknem, odpalając papierosa od papierosa i obserwując, kiedy u mnie zgaśnie światło. Kochałam się z nim raz. Długo to wspominałam... Ba, wspominam czasem do tej pory. Bez pomocy wina, samym tylko dotykiem, Michał potrafił sprawić, że wirował mój świat i zgodziłabym się na wszystko, co by mi zaproponował. Dlatego też zgodziłam się na seks. Prawdę mówiąc, nawet nie musiałam się zgadzać. Samo tak jakoś wyszło...

Kochaliśmy się długo, leżąc na ciepłym, miękkim dywanie. Bez przerwy do mnie szeptał, nie wiedziałam już, czy to, że drzę, spowodowane jest słowami, czy tym, co on ze mną wyprawiał...

Jednak potem kazałam mu iść.

Długo, ukrywając się za zasłoną, obserwowałam mały punkcik żarzącego się

papierosa i ciemną, niewyraźną sylwetkę mężczyzny stojącego w blasku osiedlowej latarni.

Drugim mężczyzną, który kilka miesięcy później został trochę dłużej niż na kolację, był Jacek. Moje popisowe danie, łosoś w cieście i sałatka z rukoli, wywarło zamierzone wrażenie. Jednak seks trwał tak krótko, że ledwie zdążyłam zarejestrować to wydarzenie.

Zaraz po wszystkim Jacek wstał, przeciągnął się i wyszedł z pokoju, zbierając po drodze swoje ubrania rozrzucone wcześniej na podłodze. Usłyszałam szum wody, jakby chciał zmyć z siebie wszelkie ślady mojej osoby, a potem wszedł do kuchni.

Jeszcze przez chwilę łudziłam się, że wróci. Choćby na krótko. Nie, nie kochać się, ale choćby najzwyczajniej w świecie pogadać. Przytulić.

Niestety.

Nie przyszedł. Potraktował mnie jak narzędzie do zaspokojenia swoich i TYLKO swoich potrzeb.

Zniesmaczona tym, można powiedzieć, całkiem przypadkowym i zupełnie niepotrzebnym seksem, leżałam ze łzami w oczach w łóżku, szczelnie okryta kołdrą. Udawałam, że śpię, gdy Jacek, kompletnie już ubrany, delikatnie dotknął mojego ramienia i cicho szepnął:

– Wychodzę, zamknij za mną drzwi, kochanie.

To „kochanie” było chyba jakąś drwiną...

Po Jacku pozostał tylko zapach wody kolońskiej na mojej poduszce i umyte po kolacji naczynia, pozostawione na suszarce.

Na urodzinach u Agnieszki miał być właśnie Jacek. Właściwie to dla niego się wtedy stroiłam. Chciałam, by wiedział, kogo „miał” przez chwilę, ale kogo tym krótkim „posiadaniem” i jeszcze szybszym odejściem stracił na zawsze.

Chciałam mu pokazać siebie taką, jaką miał mnie zapamiętać na długo. Jeszcze dłużej miał żałować, że bardziej o mnie nie zabiegał.

A raczej nie zabiegał wcale.

Na imprezie wywarłam wrażenie na wszystkich.

Chyba każda kobieta wie, kiedy się podoba, a ja należę do tych, które rozkwitają pod wpływem zachwyconych spojrzeń i tym samym są jeszcze piękniejsze.

Tego wieczoru budziłam zachwyt zwłaszcza dwóch mężczyzn: Jacka, który przyprowadził ze sobą szczupłą brunetkę, później samotnie spędzającą większość wieczoru, oraz Maćka, który równo po dwóch latach i siedmiu miesiącach od tego spotkania u Agnieszki został moim mężem.

Zazwyczaj to mężczyźni są królami grillowania. Tak było również u Agnieszki. Maćkowi pomogłam wtedy przy grillu jedynie po to, by Jacek pomyślał, że taka fajna, piękna i superdziewczyna jak ja ma go gdzieś i wystarczy, że skinie palcem, a inny się pojawia na horyzoncie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, nigdy nie chciałabym być z Jackiem, w szczególności po tamtej nocy. Nocy? Po tych kilkunastu sekundach... Doprawdy, nie miałam czego wspominać.

Jednak urażona duma dawała o sobie znać. Która kobieta nie chce, by to mężczyzna o nią zabiegał? Ja chciałam. Jacek tego nie robił i nie miał zamiaru robić. Wtedy wstał, umył te gary po kolacji, a potem nawet się nie odezwał.

Mój urok, wspomagany czerwonym winem czy owocowym piwem, zadziałał zarówno na Jacka, jak i na Maćka.

A Maciek mnie przyciągał. Działał na mnie jak magnes. Wolny, inteligentny mężczyzna, w typie, który uwielbiam, choć wstydzę się do tego głośno przyznać... Maciej Malicki wyglądał jak starszy brat Leonarda di Caprio z czasów *Titanica*. Miał zniewalający uśmiech, który powodował, że wszyscy wokół czuli się szczęśliwi, oczy koloru nieba i miękki, ciepły głos, którego nie powstydziliby się niejeden wybitny baryton.

Pamiętam, jak Maciek przewracał na drugą stronę dobrze już przypieczoną karkówkę, podśpiewując sobie coś pod nosem.

Podeszłam, wyciągając talerz w jego kierunku.

– Karkóweczkę, droga pani? – zapytał.

– Tak, poproszę, drogi panie – odparłam.

Tego wieczoru nie odkleił się już ode mnie. Albo ja od niego. Siedzieliśmy przytuleni do siebie na wąskiej ławce, on obejmował mnie, głaszcząc po nagim ramieniu, bo niby nie było tam miejsca, by usiąść od siebie dalej, a ja na to przyzwalałam, bo dawno nikt mnie nie dotykał w ten sposób. Agnieszka co chwilę znacząco na nas spoglądała, ale jakby celowo zostawiała nas samych. Siedzieliśmy do późna zatopieni w rozmowie o wszystkim i o niczym.

Maciek odprowadził mnie do domu.

Oczywiście nie od razu.

– Zobacz, zaraz będzie wschodzić słońce! – Pokazał na niebo. – Chcesz zobaczyć wschód słońca nad morzem?

Wsiedliśmy w taksówkę, a zaraz potem poszliśmy na plażę, trzymając się za ręce.

Prawdę mówiąc, nie mam zwyczaju chodzić za rękę z kimś, kogo dopiero poznałam, lecz moje próby uwolnienia się z uścisku spełzły na niczym. Na deptaku nie było nikogo. Latem gwarny tłum bawi się tam do samego rana, a na plaży widać splątane ciała zakochanych, słysząc setki westchnień i wiele oczu spogląda wówczas

w gwiazdy.

Przed sezonem, w pierwszą sobotę czerwca, gdańskie molo było wyludnione. Ktoś gdzieś w oddali krzyknął, szumiały fale. W półmroku iskrzyły się światełka statków stojących u wejścia do portu. Pachniało świeżością.

Nie poszliśmy od razu na molo. Najpierw skierowaliśmy kroki na plażę. Maciek ściągnął buty, podwinął wysoko dzinsy i się uśmiechnął.

– Na co czekasz?

– No co ty! Zimno! – odparłam, ale zsunęłam czólenka. I tak niewygodnie mi było chodzić w nich po piasku.

– A dalej? – zapytał. Przysunął się, jakby chciał pomóc mi w zdejmowaniu dalszych części garderoby. Odsunęłam go ze śmiechem i kazałam mu się odwrócić.

W tej sytuacji jakaś filmowa kusicielka zsunęłaby z siebie zmysłowym ruchem pończochy z koronkami, czym rozpaliby do granic wytrzymałości obserwującego ją mężczyznę. Jednak to nie był film, tylko zwykłe życie, a ja nie miałam na sobie pończoch. Tym bardziej z koronkami. Kusicielką również nie byłam. Zdjęłam szybkim ruchem rajstopy, zwinęłam je w kłębek, który włożyłam do torebki, i stanęłam nagimi stopami na zimnym i nieco wilgotnym piasku.

– Zimno... – szepnęłam, przestępując szybko z nogi na nogę.

Maciek odwrócił się, spojrzał na moje bose stopy i stwierdził, że woli patrzeć na mnie, niż podziwiać migoczące gwiazdy. Widać niepotrzebne były pończochy z koronkami.

– Zimno to dopiero będzie! – oświadczył po chwili, złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę brzegu.

Nie powiem, żebym się opierała. Biegliśmy wzdłuż brzegu, chlapiąc bosymi stopami. Jak dzieci.

– Chodź na molo! – zawołał.

Pognał pierwszy, nawet nie sprawdzając, czy biegnę za nim. Zatrzymał się dopiero przy ławce, gdzieś w połowie mola.

Po chwili usiadłam koło niego.

Ujął moje stopy i zaczął otrzepywać je z piasku. Nie protestowałam. Zamknęłam oczy.

Po chwili usłyszałam tuż przy uchu szept.

– Nie śpij...

Otworzyłam oczy i włożyłam buty.

– Składam reklamację. – Uśmiechnęłam się. – Jeszcze piasek...

– To już byśmy musieli wziąć kąpiel.

– W morzu? – Wstałam i wskazałam na granatowe fale.

– Nie, w wannie. – Zmrużył oczy. Po chwili dodał: – Usiądź mi na kolanach. Popatrzmy sobie razem w niebo.

Nie... Już nawet na ten nietypowy masaż stóp nie powinnam mu pozwolić. Usiadłam

obok niego. Pod wpływem jego ręki, gładzącej mój kark, zeszywniałam.

Niebo robiło się już mocno pomarańczowe.

Gdy się pojawiło słońce, bez słowa wstaliśmy i poszliśmy w kierunku mojego domu. Mieszkałam niedaleko.

Maciek odprowadził mnie pod klatkę i zatrzymał się, jakby czekał na zaproszenie do mieszkania. Milczałam.

– Mogę cię pocałować? – zapytał.

Przysunęłam usta do jego ust po to, by je szybko odsunąć. Nie zaprosiłam „na drinka”, jak to zwykle bywa w amerykańskich komediach romantycznych. Otworzyłam drzwi, pomachałam mu przez szybę i wbiegłam szybko na trzecie piętro.

Agnieszka była pewna, że zaproszę go do siebie.

– Tak się do ciebie kleił, kochanie. Jestem zaskoczona, że nic z tego nie wyszło. Myślałam, że wejdzie na górę i wiesz...

Wiedziałam. Tamtego ranka nie chciałam, by do czegoś między nami doszło. Nie chciałam potem żyć złudzeniami ani patrzeć, jak kolejny facet po wszystkim myje gary i idzie sobie w cholerę, bądź sterczy pod oknem i czeka nie wiadomo na co. Tym razem miało być inaczej.

Leżąc w łóżku, pomyślałam, że topnieję. Że pancierz, który mnie pokrywał, jakimś cudem został naruszony. Naprawdę żałowałam, że wtedy, tam pod klatką, nie odwzajemniłam pocałunku.

Następnego dnia zadzwonił. Obudził mnie tym telefonem. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Chciałam spać. Odrzuciłam połączenie.

Niewiarygodne, prawda? ZAWSZE odbierałam telefony od potencjalnych narzeczonych. Tym razem ściszyłam telefon i przewróciłam się na drugi bok.

Gdy się obudziłam, na wyświetlaczu zobaczyłam trzy nieodebrane połączenia. Po chwili telefon znów zadzwonił.

– Cześć. Maciek Malicki mówi...

– Cześć. – Uśmiechnęłam się.

– To co dzisiaj robimy? – zapytał.

– Aaa... Robimy coś w ogóle? – rzuciłam zaczepnie.

– A nie?

– A tak? – Nie pomagałam mu wcale.

Umówiliśmy się na spacer. Oczywiście nad morze. Tym razem wiedziałam, że on do mnie przyjdzie, może nie na drinka, ale na kawę na pewno.

Cały dzień sprzątałam. Moje mieszkanie chyba jeszcze nigdy nie wyglądało tak nieskazitelnie. Nawet rękawiczki Anthei Turner, znanej z telewizji Perfekcyjnej Pani Domu, pozostałyby śnieżnobiałe...

Przyszedł punktualnie, trzymając małą herbacianą różyczkę i butelkę czerwonego wina.

– To na potem – szepnął, całując mnie w policzek. – Włóż różę do wazonu i chodźmy.

Gdy wróciliśmy, nalałam wino do kryształowych kieliszków. Uwielbiałam kryształy. Maciek wznosił toast.

– Za nas!

– A jesteśmy jacyś „my”? – zapytałam.

– Jeżeli teraz nie, to wkrótce będziemy – odpowiedział z przekonaniem.

Jego pewność siebie mnie przerażała. Później się przekonałam, że Maciek jest osobą, która konsekwentnie dąży do celu, w zasadzie nie zważając na opinie innych. Jego zdanie zawsze było najważniejsze, z innymi się nie liczył. Zawsze miał rację. Wtedy ta konsekwencja, determinacja, by mnie zdobyć, stworzyć „jakieś my” sprawiały, że zaczynałam czuć się szczęśliwa.

Jakiś czas później pojechaliśmy razem w Tatry.

Tak, wiem, że nie powinno się jechać gdziekolwiek na tydzień, ba nawet na dwa dni, z dopiero co poznanym mężczyzną. Moja mama wpajała mi to przez całe życie, przed tym wyjazdem również się nasłuchiłam. Z Mackiem jednak było inaczej. Od początku czułam, że jestem na właściwym miejscu i miałam wrażenie, że znamy się wieczność.

Podczas któregoś z naszych pierwszych spacerów, tym razem po oliwskich lasach, kiedy wdrapywaliśmy się na Pachołek, Maciek nagle stanął i zapytał, czy lubię góry.

– Oczywiście! – Obawiam się, że wtedy powiedziałabym „oczywiście”, nawet gdybym do gór czuła odrazę. Na szczęście tak nie było.

– Kiedyś zabiorę cię w góry – powiedział. – Szybciej, niż ci się wydaje.

Wtedy wydawało mi się to tak odległe. Niemalże nierealne.

W góry wybraliśmy się już pod koniec lata. Maciek wynajął pokój u znajomej goździny mieszkającej u wylotu Doliny Kościeliskiej, wsiedliśmy w pociąg i pojechaliśmy.

Do tej pory wspominam ten wyjazd z melancholią. Tam... Można powiedzieć, że tam został przypieczetowany nasz związek.

Wracaliśmy właśnie chyba z Kasprowego Wierchu, gdy zaczął padać rześisty deszcz. Nie pomogły wtedy nawet foliowe płaszcze.

Po krótkim ogrzaniu się w Murowańcu i wypiciu gorącej herbaty podanej w olbrzymich kubkach, zeszliśmy na dół. Już dokładnie nie pamiętam, dokąd schodziliśmy. Na kwaterę wracaliśmy busem.

Po drodze Maciek kupił wełniane skarpety i butelkę wina, z którego potem goździna wyczarowała pachnący, rozgrzewający i wielce rozweselający napój.

Siedzieliśmy przykryci jednym kocem w kratę z parującymi kubkami w dłoniach. Maciek założył mi te wielkie wełniane skarpety.

– Ciepło ci już? – spytał z uśmiechem.

Po chwili miałam na sobie już tylko te skarpety. Nie marzłam.

Smakowaliśmy siebie powoli, jakbyśmy chcieli zapamiętać na zawsze tę chwilę, jakbyśmy chcieli przez ten krótki moment nauczyć się na pamięć każdego zakamarka naszych ciał. Ta noc była niepowtarzalna, chciałoby się powiedzieć magiczna.

Wąskie, niewygodne łóżko w małym drewnianym zakopiańskim domku wydawało nam się wtedy królewskim łóżem.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam od Maćka słowa „kocham cię”.

– Niemożliwe. – Uśmiechnęłam się. – Prawie mnie nie znasz.

Maciek wtedy powiedział tylko, że może nie zna zbyt dobrze, ale bardzo, bardzo chce mnie poznać.

Tamtej sierpniowej nocy czułam dokładnie to samo.

Zasnęliśmy w swoich objęciach. Następnego dnia, wstyd przyznać, nie wyszliśmy na szlak. Nie wychodziliśmy nawet z pokoju...

Łóżko w dalszym ciągu wydawało się nam królewskim pościeleniem.

Przed ślubem często, przynajmniej na początku, z Maćkiem bywało jak w bajce. Bywało też gorzej, ale wiadomo, na początku związku człowiek ma klapki na oczach i nie widzi niepokojących sygnałów. Nie chce też słuchać życzliwych osób, które odbierają te sygnały. W tamtym czasie nawet jeżeli coś mnie niepokoiło, to nie przywiązywałam do tego wagi.

Nie mieszkaliśmy razem, więc chodziliśmy na randki. Och, jak ja uwielbiałam te przedrandkowe przygotowania! Ten dreszczyk emocji, gdy malując rzęsy, uśmiechałam się do swojego odbicia w lustrze, i ten ucisk w żołądku, gdy zza firanki wypatrywałam samochodu Maćka.

Kiedyś przyjaciółka zapytała, czego najbardziej brakuje mi w małżeństwie.

– Randek – odparłam bez namysłu.

– Randek? – zdziwiła się.

– Tak... Tego by się umalować, ubrać i ze ściśniętym sercem biec na spotkanie.

– Hmm... – mruknęła. – My z Miśkiem w zasadzie mamy randki... – Uśmiechnęła się. – Spotykamy się w łóżku.

Ona z Miśkiem... Idealna para...

W tamtym czasie, przed ślubem, chodziliśmy jednak na randki. Maciek pokazał mi Gdańsk, jakiego nie znałam. Niczym przewodnik turystyczny zabierał mnie w miejsca, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Był historykiem, architektem i archeologiem. I doskonale opowiadał.

Kiedyś, w najdłuższą noc w roku, kazał mi się ciepło ubrać, przygotować na „najgorsze” i czekać. Przyszedł około dwudziestej drugiej, wtedy, kiedy już prawie zapomniałam, że się umówiliśmy.

– Gotowa? – zapytał od progu.

– Myślałam, że nie przyjedziesz...

– Ja? Ja zawsze przyjeżdżam.

– Idziemy gdzieś? O tej porze? Gdzie?

– Zobaczysz.

Pojechaliśmy do Wrzeszcza. Maciek skręcił w boczną od Jaśkowej Doliny i zaparkował.

– Wysiadamy, kochanie. – Z bagażnika wyjął koc, szampana, wziął mnie za rękę i poprowadził w górę ulicy. – Willa Sobótki. Opuszczona. – Pokazał duży budynek. – Kiedyś należała do masonów. Wiesz, że w tej willi straszy? – powiedział. – Bo najpierw były tu czarownice!

– Czarownice? – zapytałam, wspinając się z nim na sporą górkę.

Noc była ciemna, pod naszymi stopami szeleściły trawa i liście, stukały kamienie. Słysząc było odgłosy miasta, ale też nieco inne. Czarownice? Zrobiło mi się jeszcze zimniej.

– Czarownice? I co one robiły?

Maciek złapał mnie mocno i delikatnie pchnął, aż oparłam się o spory kamień.

– W najdłuższą noc w roku oddawały się diabłu! Diabeł przytaczał tu ten kamień właśnie po to, by mogły się z nim kochać!

Zaczęłam się śmiać, on obsypywał mnie pocałunkami. Wtedy najchętniej sama oddałabym się swojemu przysłanemu mężowi na tym „diabelskim” wzgórzu, zaczęłam nawet w tym celu rozpinać polar, ale niestety Maciek popsuł całą atmosferę, mówiąc, że czarownicom i diabłu na pewno mrówki wchodzące w tyłek nie przeszkadzały, a nam będą z pewnością...

A ja tam bym mu się z chęcią oddała, mimo tych mrówek... Wtedy wypiliśmy tylko szampana, całując się pomiędzy kolejnymi łykami. Na końcu Maciek wzniósł toast „za swoją przeuroczą wiedźmę” i wróciliśmy do domu. Potem zrekompensowaliśmy sobie to, czego Maciek nie chciał zrobić na diabelskim kamieniu... Było chyba nawet przyjemniej...

Innym znów razem Maciek zabrał mnie na spacer na ulicę Łąkową, choć nigdy bym nie podejrzewała, że można tam spacerować. Marudziłam, że mieliśmy iść do parku. Do tej pory Łąkowa kojarzyła mi się jedynie ze znienawidzonym miejscem pracy koleżanek. A bo to wyzysk, a bo zwalnianą z dnia na dzień, a nawet nie wiesz za co... Właśnie opowiadałam o tym Maćkowi, ale on nawet nie słuchał. Kazał mi oglądać stare domy. Już lepiej by mnie zabrał na Długą...

– Popatrz uważnie. Widzisz, jakie wysokie okna?

– Noo... – odparłam, ziewając. Nawet chyba nie spojrzałam w tamtym kierunku.

– Zobacz. – Pokazał na jeden z budynków. – Podobno przy Łąkowej przed wojną było osiedle liliputów.

– Liliputów?

– Tak. Te wysokie mieszkania dzielili w poziomie na pół i specjalnie przystosowywali

je dla niskich ludzi. Płaciłaś pięć guldenów i mogłaś oglądać. Jak na tamte czasy – kupa forsy.

– O kurczę! A co się z nimi stało?

– Ponoć przyszedł Hitler, a oni nie pasowali do rasy aryjskiej... Resztę sama sobie dopowiedz. W czterdziestym trzecim bodajże te mieszkania przebudowano.

Życie z Maćkiem bywało ciekawe.

Między innymi dlatego się w nim zakochałam.

Dlaczego jeszcze?

Bo on mnie kochał.

Czasami to wystarczy, by odwzajemnić uczucie...

Kiedy jeszcze nie mieszkaliśmy razem, Maciek często wychodził ode mnie dopiero nad ranem. Tylko po to, by szybko skoczyć do domu, ogolić się i pędzić do pracy – często niewyspany, po naszych nocnych rozmowach do rana, przeplatanych namiętnością.

Już wtedy był dyrektorem. Pracował w firmie zajmującej się spedycją. Wysyłał te swoje kontenery w różne strony świata i naprawdę powinien być w pracy wypoczęty...

Zawsze zastrzegał się, że nie będzie u mnie nocował. Jednak wystarczyło jedno moje „Zostań, kochanie”, przymrużone oczy, dłoń na jego ramieniu i zapominał, że obiecał sobie nie zostawać u mnie dłużej.

W pracy zdradzały nas tylko podkrążone oczy, gdy siedząc przed monitorami, pozornie ciężko pracując, wysyłałyśmy do siebie pełne czułości mejle. To prawda, że gdy człowiek jest zakochany, nie musi spać, nie musi jeść, do życia wystarczy mu tylko miłość, która wtedy wydaje się wieczna.

Kiedyś, już długo po ślubie, przez przypadek trafiłam na te mejle. Porządkowałam komputer i znalazłam przepełnione miłością słowa od mojego – wtedy jeszcze przyszłego – męża.

To od Maćka, mojego męża? – pomyślałam ze zdziwieniem, gdy je czytałam. – Niemożliwe... Zupełnie niemożliwe...

Te mejle nie brzmiały jak od niego. Kilka lat temu to był zupełnie inny człowiek. Romantyczne słowa, czułe obietnice, miłe gesty, wspomnienia i komplementy.

– Maciek... Co się z nami stało? – zapytałam go wtedy, gdy przyszedł wieczorem do domu, zmęczony po długim dniu pracy. – Postawiłam mu obiad na stole i pokazałam wydrukowane wiadomości.

Ledwie rzucił na nie okiem.

– Nawet nie przeczytasz? – zapytałam.

Odłożył widelec, wziął do ręki kartkę, zanurzając jej brzeg w sosie.

– Życie – odpowiedział krótko. Jeszcze raz spojrzął na zadrukowaną stronę. –

Naprawdę ja to pisałem?

Uśmiechnęłam się.

– Będiesz jeszcze kiedyś taki? – Podeszłam do niego, przytuliłam się.

– Jaki? Czy będę pisał mejle? – zdziwił się. – Po co? Przecież widzimy się codziennie.

– Wtedy też widywaliśmy się codziennie – przypomniałam. – Wiesz, że nie chodzi mi o mejle. Nie tylko o mejle – poprawiłam.

– Przecież jestem taki sam – uciał krótko. – Jest jakiś keczup? – zapytał, uznając rozmowę za skończoną.

– Jest. – Wstałam i podeszłam do lodówki. Wyjęłam z niej keczup i podałam mężowi.

– Proszę bardzo.

Wziął ode mnie butelkę bez słowa.

I jak miałam mu tłumaczyć, że między innymi o TO też mi chodzi. O cholerne „dziękuję za keczup”, o to, że nie mówi dobranoc, tylko idąc do łóżka, mruczy coś niezrozumiale, że gdy rano wstaje, nie pocałuje mnie na przywitanie, czy mijając mnie w przedpokoju, nie muśnie przelotnie mojego policzka, po to by mnie dotknąć. Już prędzej odepchnie mnie, bo mu przeszkadzam w drodze do szafy czy półki z butami.

Jasne. To drobiazgi. Nieistotne, prawda?

– Czepiasz się. – Słyszałam. – Za dobrze ci.

Błahostki. Ale z czego składa się nasze życie, jeśli nie z drobiazgów? Dla mnie zawsze było ono wielką układanką, złożoną z malutkich, pasujących do siebie kawałków. Czasem jakichś części brakuje... I mnie właśnie brakowało... Te drobne gesty, małe, pozornie niewiele znaczące słowa były dla mnie tak bardzo istotne.

Jeszcze przed ślubem obiecałam sobie, że zanim pójdziemy spać, zawsze musimy wyjaśnić sobie wszelkie nieporozumienia, rozwiązać wszelkie spory i zasnąć w zgodzie.

Moja świętej pamięci babcia wyznawała zasadę, że spać można iść, dopiero gdy się człowiek pogodzi z całym światem.

Bardzo się starałam, by łóżko było dla nas oazą spokoju, miejscem, w którym łączy nas miłość. Nie chciałam rozmawiać w nim o żadnych przykrych sprawach.

Na początku to się udawało. Na moją prośbę Maciek posłusznie wstawał z łóżka i, siedząc na sofie w drugim pokoju, roztrząsaliśmy swoje problemy. Mieliśmy je, a jakże, któż ich nie ma.

Nie wiem, kiedy straciłam wiarę w zasadę, którą zawsze wpajała mi babcia.

Może wtedy, gdy jeden czy drugi raz Maciek powiedział mi, że jest zbyt zmęczony, żeby rozmawiać?

Pamiętam, jak kiedyś ze złością odwrócił się na drugi bok, sycząc:

– Jestem na ciebie za bardzo wnerwiony, by z tobą dziś gadać. Przełożmy tę dyskusję na jutro.

Jasne, miał prawo być wnerwiony. Chyba było to po jednej z moich słynnych scen

zazdrości, w których byłam mistrzynią...

Poszło o jego koleżankę, jeszcze ze studiów, z którą Gośka nakryła go na kawie. Potem mi przysłała zdjęcia. Boże, jaka ja byłam wtedy okropna.

Ale z drugiej strony... Mnie już wtedy nie zapraszał do restauracji, na kawę też nie.

„Po co chodzić na kawę, jak możemy ją sobie wypić w domu?”.

„Po co do restauracji? Ja lubię obiady mojej żony (chyba tylko w tym momencie dowiadywałam się, że Maciek ceni moją kuchnię)”.

„Po co do kina? Zobacz, mamy ten film, możemy go obejrzeć, to nic, że fatalna kopia, ale da się wytrzymać”.

Maciek po tym spotkaniu w kawiarni z koleżanką wcale się nie tłumaczył.

– A gdzie miałem ją zaprosić? – zapytał tylko. – Do domu? Zrobiłaś mi awanturę, jak ją zabrałem do kawiarni, a co by było, gdybym ją przyprowadził do domu!

Maciek nie rozumiał, że ja tak naprawdę nie jestem zazdrosna o kobietę. Byłam cholernie zazdrosna o czas, który poświęcał komukolwiek innemu, bo po ślubie widziałam swojego męża jedynie przy pracy albo drzemiącego z pilotem przed telewizorem.

No, ale to wszystko było potem.

Zanim razem zamieszkaliśmy, wszystko się dobrze układało. Do szczęścia wystarczał mi tylko Maciek. Dopiero potem zauważyłam, że nie mamy żadnych wspólnych znajomych.

U par zazwyczaj jest tak, że z biegiem czasu wszyscy znajomi stają się wspólni. U nas było inaczej. Maciek twierdził, że w ciągu wielu lat zdobywał różne przyjaźnie, a teraz nie ma już czasu na nawiązywanie nowych znajomości. Nie silił się nawet na to, by zapamiętać imiona moich znajomych, nie mówiąc już o ich nazwiskach czy koligacjach rodzinnych...

Przeważnie spędzaliśmy czas we dwójkę. Wtedy jednak zupełnie mi to nie przeszkadzało. Świat kręcił się wokół Maćka i naprawdę nie był mi potrzebny nikt inny do życia. Zaczęło mi to przeszkadzać dopiero później, jakiś czas po ślubie, gdy Maciek spędzał długie godziny w biurze, a ja nie miałam do kogo ust otworzyć.

Niepielęgowane przyjaźnie bledną. Byłam samotna. Miałam tylko Maćka, którego zwykle nie było.

Rok po tym, jak się poznaliśmy, Maciek zabrał mnie na wyprawę kajakiem po Motławie.

Piękna to była wycieczka. Długie Pobrzeże z tej perspektywy wygląda zupełnie inaczej.

Gdzieś na wysokości Żurawia Maciek zaproponował:

– Może zamieszkalibyśmy razem?

O mało co nie wpadłam do wody. Jasne, po roku prowadzania się za rękę i nie tylko, można by pomyśleć o byciu razem przez cały czas. Jak się potem okazało, Maciek brał pod uwagę głównie względy ekonomiczne. Wtedy o tym nie myślałam. Widziałam nasze wspólne poranki, codzienne powroty z pracy, leniwe wieczory na sofie przed telewizorem. Marzyłam, by po tym roku szukania swoich rzeczy w mieszkaniu tego drugiego, wszystko w końcu znalazło się w jednym miejscu. Było nasze.

Oczywiście, wolałabym, by on wtedy w tym kajaku naprzeciw Żurawia mi się oświadczył, wyciągnął ten pierścionek ze sporym brylantem i zapytał, czy za niego wyjdę, ale sądziłam, że to przyjdzie z czasem... Jeszcze z wrażenia wrzuciłabym ten brylant do Motławy... Na to byłam zdecydowana poczekać. Na oświadczyni, ale również na symbol, który był dla mnie tak ważny...

Na początku września Maciek się do mnie wprowadził. „Może zamieszkamy u ciebie?, zaproponował. Wiesz, kochanie, moje chyba szybciej się wynajmie. A i tobie będzie wygodniej”.

Oczywiście z miejsca się zgodziłam. Chyba tak bardzo potrzebowałam życiowej stabilizacji, że wtedy przystałam na każdą jego propozycję. To, że zamieszkamy u mnie, rzeczywiście wydawało mi się rozsądniejsze.

Niestety, nie mogłam przewidzieć, że już zawsze będziemy mieszkać „u mnie”. Dobrych stron tego rozwiązania, jak się okazało, było zdecydowanie mniej.

Goškę poznałam w autobusie linii sto dwadzieścia siedem, jadącym z Zaspy do Oliwy. Autobus co rano woził nas do szkoły. Ja dopiero wprowadziłam się z rodzicami do nowego, większego mieszkania, Goška mieszkała tam od zawsze. Pewnego dnia, gdy wsiadłam na swoim przystanku, zobaczyłam dziewczynę, którą znałam z widzenia. Chodziła do równoległej klasy. W tamtym okresie byłam zdecydowanie bardziej przychylnie nastawiona do życia niż obecnie. Podeszłam, zagadałam i... jeżeli w wypadku relacji damsko-męskich można mówić o miłości od pierwszego wejrzenia, to w wypadku mnie i Goški równie szybko połączyła nas przyjaźń.

Początek był trudny, bo przeważnie nasza znajomość polegała na ryczeniu i wzajemnym pocieszaniu się oraz leczeniu złamanych serc.

Raz jedna ryczała, a druga ją pocieszała, a potem przychodził czas na zmianę. I tak słodko nam upłynęły jakieś dwa lata przyjaźni, do czasu kiedy Goška poznała Miśka. Wtedy też płakała, ale z innych powodów.

Co miesiąc płakała, że jest w ciąży, a w przerwach, kiedy w ciąży nie była, płakała, bo jakaś przebiegła harpia i pirania zastawiła sidła na Miśka i na pewno on prędzej czy później ulegnie.

Jak widać, nie uległ.

Ja nadal płakałam z tych samych powodów co zwykle, bo albo mnie ktoś rzucił, albo nie kochał, albo ja właśnie kogoś rzucałam i było mi z tego powodu cholernie przykro.

Goška miała dyżurną paczkę chusteczek w wielkim opakowaniu, które było chyba uzupełniane po każdym naszym wspólnym spotkaniu, a kiedy i to opakowanie się kończyło, pozostawał nam papier toaletowy w misie.

Wracałam potem od niej z zaczerwienionymi od intensywnego płaczu oczami i nosem oraz zapasem papieru w misie upchanego na wszelki wypadek po kieszeniach.

Goška odprowadzała mnie zawsze do granicy.

Nie dalej, nie bliżej.

Do granicy.

Granicą została umownie ustanowiona zdezelowana ławka pod trzepakiem, który stał obok śmietnika, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy naszymi blokami. Kilka lat później ta ławka została zaanektowana przez chłopaków w spodniach z krokiem poniżej kolan. Ale wtedy my się już nie odprowadzałyśmy. Goška jako szczęśliwa mężatka zamieszkała gdzie indziej ze swoim Miśkiem.

Małżeństwo Goški było tak szczęśliwe, że aż nudne. Wiele bym oddała za tak „nudne” życie. Przewidywalne, spokojne i pozwalające na to, by wszystko szło według planu i w powolnym tempie.

Jednak ich związek zaczął się wcale nie nudno, bo kąpielą Gośki podczas pewnej księżycowej nocy, gdy zaprosiła paczkę przyjaciół do siebie na Kaszuby.

Na Kaszuby jeździliśmy regularnie. Długie weekendy, wakacje i grzybobrania. Sylwestry, imprezy imieninowe i urodzinowe wszystkich naszych przyjaciół.

Latem do Gośki jeździliśmy prawie co weekend.

I właśnie podczas jednego z tych wyjazdów, na którym świętowaliśmy akurat jej osiemnaste urodziny, jubilatka, chcąc uczcić swój krok w dorosłość, rozebrała się do naga i niczym nimfa wodna pluskała się w blasku gwiazd.

I w ten sposób odbiła Miśka Marcie. Dziewczynie, z którą prowadzał się już jakieś dwa miesiące, co powodowało oczywiście rzęsiste strumienie łez wylewane przez Gośkę podczas naszych spotkań.

Misiek ujrzał Gochę wynurzającą się z jeziora niczym Afrodyta z morskiej piany i przepadł.

Pozostało mu to aż do dziś.

Był to ten sam wyjazd, na którym zakopaliśmy puszkę.

Oczywiście to Gośka wpadła na ten pomysł. Zawsze była inicjatorką najbardziej oryginalnych przedsięwzięć.

– Do puszek włożymy wszystko, co nam się kojarzy z teraźniejszością! – powiedziała Gośka. – I za dziesięć lat odkopimy.

– Na przykład co? – zapytał ktoś.

– Za dziesięć lat? Tak długo? – jęknął ktoś inny.

– Nie można za pięć?

– Albo za trzy?

– A ja nie chcę. Nie mam co pisać.

– A ja chcę.

Wtedy, kiedy mieliśmy lat osiemnaście, dziesięć lat wydawało nam się wiecznością. Oczami wyobraźni widzieliśmy siebie samych w tym jakże odległym, nowym już stuleciu, ze współmałżonkami i otoczonych wianuszkami dzieci. Każdy patrzył na osobę, z którą przyjechał, i zastanawiał się, czy ten związek przetrwa próbę czasu. Ja byłam sama. I chyba jak zwykle po jakimś burzliwym, krótkotrwałym związku.

Tak. Dziesięć lat wydawało się nam czasem tak odległym, że aż nierealnym.

Gośka rozdała wszystkim kartki. Małe karteczki w kratkę, wyrwane z jakiegoś notesu.

– Po co to? – zapytał Misiek, który natychmiast narysował na kartce kobietę o bujnych kształtach, do złudzenia przypominającą Gośkę wychodzącą z jeziora. Kartkę tę nakleił sobie na czole i promiennie się uśmiechał.

Gośka nachyliła się wtedy nad nim, odkleiła kartkę, poślinionym palcem przesunęła po jego czole, niby czyszcząc resztki taśmy klejącej, i nie zważając na pioruny bijące z oczu Marty, zatrzepotała rzęsami.

– Misiu... Napisz, o czym marzysz... – powiedziała. – Widzę, że już narysowałeś...

Teraz napisz, jak siebie widzisz w tym dwutysięcznym drugim... – Uśmiechnęła się do niego. – I z kim?

Gośka już wtedy była mistrzynią uwodzenia.

Wszystkie kartki zostały schowane do puszki. Oprócz tego włożyliśmy tam aktualną gazetę i jeszcze kilka innych rzeczy, które wtedy wydawały się nam istotne, a może raczej wydawały się istotne dla przyszłych pokoleń. Zapomniałam, co to było. Gośka też nie mogła sobie później przypomnieć.

Nie pamiętałam też, co wtedy napisałam.

Pewnie marzyłam o królewiczu na białym koniu. Skoro wtedy byłam po jakimś dramatycznym zerwaniu, na pewno marzyłam o królewiczu... Zwykle po dramatycznych zerwaniach szczególnie intensywnie marzyłam o wiecznej miłości.

Gocha też nie wiedziała później, co naskrobała na swojej kartce. Kiedyś chciała wygrzebać z ziemi tę puszkę tylko po to, by zobaczyć, co Misiek wtedy napisał, ale ją powstrzymaliśmy. Dziesięć lat, to dziesięć. Nie mniej.

Nie wiedziałam, czy kiedyś odkopimy tę puszkę.

Nie było kontaktu ze wszystkimi. Marta się na Goškę i Miśka śmiertelnie obraziła, na mnie tym samym też, potem krótko była z Bartkiem, słyszałam, że i z tego nic nie wyszło, a Aśka z Markiem siedzą w Irlandii. Zaraz mi się przypomina „Nasza Klasa” Kaczmarek. Samo życie. Może u nas nie było tak dramatycznie, ale dużo osób się rozpierchło po świecie.

Gośka była jednak zawsze na dobre i na złe.

Faceci się zmieniali, a ona po prostu była. Zawsze gotowa wyciągnąć pomocną dłoń i przytulić, choćby z najbardziej błahych powodów.

Dlatego tak cholernie mnie bolało, że Maciek traktował ją lekceważąco. Jakby była powietrzem, kimś zupełnie nieistotnym w moim życiu.

A ona była najważniejsza. Może dlatego tak go drażniła?

– Ta... No ta... Jak jej tam?

– Gosia.

– Aha.

Spotykaliśmy się już z pół roku, gdy Gosia powiedziała mi, że zamierzają z Miśkiem wyjechać na chwilę do Irlandii, Holandii, Anglii... Gdziekolwiek, gdzie Misiek dostanie pracę.

– Na chwilę? – zapytałam przerażona. – Ile to jest chwila?

– Rok, może dwa... Zależy...

– Gocha... I ty mówisz, że to chwila? – jęknęłam. – To przecież wieczność.

Od tamtej pory, gdy na wyświetlaczu swojej komórki widziałam „Gośka”, modliłam się, by i tym razem nie była to informacja, że Gocha wyjeżdża na koniec świata.

Wiedziałam jednak, że ta wiadomość prędzej czy później nadejdzie. Nadeszła szybciej, niż się spodziewałam.

Maciek wprowadził się wkrótce po tym, jak podjęliśmy tę decyzję. Pojawił się z całym swoim dobytkiem, spakowanym w cztery walizki, garniturem wiszącym na drewnianym wieszaku oraz torbą z laptopem.

Zrobiłam mu miejsce w szafie, a na jego cześć przygotowałam uroczysty obiad.

– Jeszcze kilka rzeczy muszę stamtąd zabrać – powiedział. – Ale już dzisiaj dam ogłoszenie o wynajmie.

Nie mogłam pojąć, jak on zdołał tak szybko się spakować. Dziwiłam się, że tak mało miejsca zajmują jego rzeczy. Bez sentymentów zostawił swoje mieszkanie, bez śladu jakiegokolwiek żalu czy tęsknoty.

Ot, życie w czterech walizkach i torbie na laptopa. Dorobek ponad trzydziestu lat życia.

Gdybym ja się miała wyprowadzać, musiałabym wynająć ciężarówkę. Nie tylko dla mebli. Były też różne inne rzeczy, choćby obraz, który dostałam od rodziców, kawałek rafy koralowej, który przywiozłam z Afryki, i muszla przez którą o mało co nie spędziłam nocy w afrykańskim więzieniu. Bo o tym, że z Kenii nie wolno wywozić muszli, poinformował mnie dopiero celnik na lotnisku prześwietlający mój bagaż. Boże, jak wtedy się bałam! Do tej pory widzę świdrujące oczy czarnoskórego urzędnika. I czuję ten strach.

Każdy przedmiot w moim domu był dla mnie ważny i z niemal każdym wiązała się jakaś historia z mojego życia. Wspomnienia.

Były też zdjęcia w ramkach... Wielkie stosy książek, piętrzące się na wszystkich stołach, szafkach i regałach. Całe moje życie.

Dobrze, że to Maciek się wprowadził, a nie ja. Tak wtedy sądziłam.

Jednak nieco później pomyślałam, że może lepiej byłoby wspólnie coś wynająć albo kupić, by dom był nasz. Nie mój. By na tym gwoździu, który jest wbijany w ścianę, zależało nam w równym stopniu. Bym, kupując obraz, nie słyszała „Ewka kupiła sobie obraz”. Nie! Ja kupuję nam obraz. Do naszego mieszkania. I wspólnie decydujemy o miejscu zawieszenia tegoż obrazu i wspólnie go podziwiamy, i obojgu nam zależy, by tu, gdzie mieszkamy, było nam jak najlepiej.

Niestety. Mieszkanie było tylko moje.

Maciek podkreślał to na każdym kroku. Po ślubie nawet zastanawiałam się, czy nie przepisać go na nas, ale trzeźwo patrząca na życie Gośka wyperswadowała mi to szybciej, niż zdążyłam poważnie o tym pomyśleć.

Teraz, patrząc z perspektywy czasu, jestem pewna, że dla dobra naszego małżeństwa o wiele lepiej byłoby sprzedać te dwa mieszkania i kupić jedno wspólne.

Urządzić się od zera, zabierając przeszłość w postaci pamiątek w nowe miejsce. Nasze miejsce.

By większość rzeczy była NASZA. Nie „moja” bądź „twoja”.

NASZA.

Wspólna.

Chociaż mieszkaliśmy razem, Maciek był u mnie wiecznym gościem. Nawet po ślubie. Nie podejmował żadnych decyzji związanych z mieszkaniem, choćby takich jak wymiana drzwi, kupno szafy czy wymalowanie korytarza, a nawet nie wspierał mnie w tych działaniach.

Na początku kwestia rachunków również była nieuregulowana.

Dwa osobne konta i wieczne kłótnie o to, kto za co zapłacił i dlaczego ja znowu kupiłam coś, co na pewno nie będzie mi potrzebne.

Nie zwracałam na to uwagi. Ale gdy kolejny raz cała moja pensja poszła na życie i nie zostało mi nic na koncie – wreszcie to dostrzegłam.

Miałam dosyć.

Chciałabym móc wspominać, że dni upływały nam sielsko. Czasem tak było. Na początku zdarzały się weekendy, gdy nie wychodziliśmy z łóżka, a na obiad dostarczano nam pizze z pobliskiej pizzerii.

„Gość w dom, Bóg w dom”. Przeklinałam tę staropolską zasadę, bo mój mąż interpretował ją na swój sposób. Według niego te słowa oznaczały, że on jako gość będzie sobie siedział, leżał, stał i nic-nie-robił, a ja – właścicielka mieszkania, będę wokół niego skakać.

Wspólne zamieszkanie miało przede wszystkim jedną bardzo istotną wadę. Przestaliśmy prawie zupełnie razem wychodzić.

Teatr nigdy Maćka nie interesował, kino zastąpiliśmy filmami na komputerze, restauracje i kawiarnie daniami serwowanymi w domu. Przeze mnie, oczywiście.

Zupełnie znikł ten stary, bardzo ciekawy Gdańsk z opowieści Maćka. Spacer po moim mieście ograniczały się teraz tylko do wędrówek z domu do pracy, z pracy do domu i na zakupy do pobliskiego supermarketu. Czasem z Goską szłyśmy na kawę do jednego czy drugiego centrum handlowego.

Kiedyś starałam się powrócić do tych chwil, gdy trzymając się za ręce, przemierzaliśmy z Maćkiem stare gdańskie uliczki, wypatrując ciekawych miejsc czy szczegółów, o których wiedzą tylko pasjonaci. Mój mąż był kiedyś takim pasjonatem. Zawsze tak interesująco opowiadał różne historie o zapomnianym już dawno Gdańsku. Tęskniłam za tym.

Pewnego dnia pojechaliśmy na Stare Miasto i zaprosiłam Maćka do pierogarni „U Dzika”. Przepyszne pierogi. Najedliśmy się za trzech. Byłam w świetnym humorze i zaproponowałam spacer.

– Pokaż mi miejsce, gdzie widać trzy Neptuny – poprosiłam.

– Już tyle razy ci pokazywałam – mruknął.

– Pokaż jeszcze raz. – Przytuliłam się do niego.

Poszliśmy w stronę Motławy. Maciek się zatrzymał.

– To tutaj – powiedział. – Widzisz? Jeden, fontanna, drugi, tam na dachu – wyliczał

– i trzeci, w tej uliczce. – Wskazał palcem.

Zadawałam jakieś pomocnicze pytania, próbując namówić go, by zaczął tak jak kiedyś z pasją opowiadać, ale bezskutecznie.

Wszelka pasja u mojego męża zakończyła się wraz z przeprowadzką do mnie. Sprawiał wrażenie wiecznie spiętego, trzymającego na wodzy wszelkie emocje, które nim targają. O ile w ogóle takowe były.

Jedynie po kilku kieliszkach wódki czy innego mocniejszego trunku puszczał wodze fantazji, prawił mi komplementy, przytulał, głaskał, zachowywał się jak ten Maciek, którego kiedyś znałam.

Dlatego też, o dziwo, czasem lubiłam, jak pił. Nie zdarzało się to często, bo prowadziliśmy niezbyt bujne życie towarzyskie.

Wtedy też zwykle wyjątkowo pozwalał mi usiąść za kierownicą swojej wypieszczonej hondy, bym bezpiecznie odwiozła go do domu. Gdy był trzeźwy – nigdy mi na to nie pozwalał.

Myślałam, że ten stan rzeczy jest przejściowy. I dlatego gdy usłyszałam to „mam klękać?”, założyłam, że pyta mnie, czy za niego wyjdę i nie miałam żadnych wątpliwości, by powiedzieć „tak”.

Wydaje mi się, że przez cały okres naszego małżeństwa i czasu, gdy byliśmy razem, podporządkowywałam się i naginałam do zdania Maćka. Bałam się chyba, że go stracę. Po prostu go kochałam.

Kiedyś myślałam, że miłość polega na tym, że nie dostrzegamy wad drugiej osoby. Teraz jestem przekonana, że byłam w błędzie. Miłość to przede wszystkim akceptowanie wszystkich niedoskonałości partnera. Bo kocha się nie za coś, ale mimo wszystko...

Na początku tradycją w naszym (Maciek by powiedział, że w moim) domu były obiady czwartkowe. Królowie mieli swoje tradycje, zwykli śmiertelnicy też mogą. Nie były to spotkania przedstawicieli kultury jak na dworze króla Stanisława Augusta, ale spotkania we dwoje. Tylko we dwoje.

Wyłączaliśmy telewizor, wyciszaliśmy komórki, nie odbieraliśmy telefonu.

Robiłam lepszą niż zazwyczaj obiadokolację i rozmawialiśmy.

Z czasem i ta tradycja znikła. Nie pamiętam dokładnie kiedy. Jak wiele innych, po prostu się rozplynęła. Tak jak ten przelotny pocałunek w policzek, gdy mijaliśmy się w przedpokoju, czy obietnica zawieszenia broni przed snem.

Właśnie któregoś czwartku, gdy jeszcze kultywowaliśmy tę tradycję, Gośka dzwoniła

kilka razy.

– Maciek... Muszę oddzwonić – powiedziałam, gdy zobaczyłam siedem nieodebranych połączeń. – Coś się stało...

Byłam przerażona. Gośka wiedziała o naszych obiadach czwartkowych. Nie dzwoniłaby bez powodu. Wyszłam z pokoju i wybrałam numer Gośki.

– Stało się coś? – zapytałam z przerażeniem.

– Ewa... Wyjeżdżamy.

– Kiedy? Już?

– Misiek jedzie w poniedziałek. Ma wynająć mieszkanie, ja dojadę nieco później.

Ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Gośka zawsze była blisko. Zawsze mogłam do niej pójść, przekraczając tę niby-granicę koło śmietnika, i wypłakać się jej w rękaw, a potem wytrzeć nos tym papierem w misie. A teraz będzie za prawdziwą granicą.

Dlaczego wyjeżdża?

– Czy wy w ogóle musicie jechać? – zapytałam, prawie łykając łzy.

– Musimy... – odparła Gosia. – No, może nie musimy... Ale chcemy.

– Boże... – jęknęłam. – Ty też chcesz? – Wydawało mi się to niewiarygodne.

– Chcę być z Miśkiem. Wiem, że mu zależy.

– A... Nawet nie zapytałam, gdzie jedziecie.

– Cambridge. Samolotem w trzy godziny się uwiniesz. Lepiej niż do Krakowa. –

Słyszałam, że się uśmiecha. – Odwiedzisz nas?

– Matko, Gocha, jasne, że cię odwiedzę! – Myślałam intensywnie. – Ale my musimy się teraz spotkać! Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie... Wiesz, teraz muszę Miśka przygotować przed tym poniedziałkiem – odpowiedziała. – Może się spotkamy, jak on już pojedzie, co?

– Jasne.

– No... Będiesz mi chyba potrzebna... I papier w misie...

Roześmiałam się, mimo że wcale mi nie było do śmiechu. Gocha wyjeżdża na koniec świata, do miasta, które mi się kojarzyło jedynie z uniwersytetem i dietą. Całe szczęście, że w tej kolejności.

Wróciłam do Maćka, siedział przed telewizorem. Na stole stały dwa kieliszki z niedopitym winem.

– Maciek. Gośka z Miśkiem wyjeżdżają. – Usiadłam przy nim i mówiłam dalej. – Jadą do Cambridge. Misiek dostał pracę, Gośka się cieszy, a ja jestem zrozpaczona. Na dwa lata chyba jadą... – Zamyśliłam się. – Maciek, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Nie odpowiedział mi.

– Maciek? – zapytałam.

– Możesz mi podać wino? – Wskazał na kieliszek.

Podeszłam do stołu, wzięłam dwa kieliszki, z powrotem usiadłam na sofie.

– Maciek, co jest? – Upiłam łyk.

– Co jest? Czwartek dziś jest – powiedział. – Stanisław August i te sprawy.

– Boże, Maciek, wiem, ale to była wyjątkowa sytuacja! – W głowie mi się nie mieściło, że on może się obrazić o to, że rozmawiałam z Goską.

– U mnie też w zeszłym tygodniu była wyjątkowa sytuacja – powiedział i wypił do dna.

Wstałam po butelkę. Nalałam nam znowu do pełna.

– Maciek... – Położyłam mu rękę na kolanie. Nawet nie zareagował. – W zeszłym tygodniu twoją „wyjątkową” sytuacją była tylko praca!

– A twoją TYLKO Gośka – mruknął. – Zaczął się fajny film. Możemy tę rozmowę przełożyć na kiedy indziej? – Ostentacyjnie podkreślił dźwięk w telewizorze i usiadł na sofie.

Nie odpowiedziałam. Byłam na niego wściekła. Jak on mógł powiedzieć „TYLKO Gośka”. Nie pomyślałam wtedy, że miał prawo być tak samo zdenerwowany jak ja poprzedniego czwartku.

Może dla niego praca była tak ważna jak dla mnie Gośka. Nie mieściło mi się to w głowie.

Ale chyba właśnie wtedy przestaliśmy tak celebrować te nasze wspólne czwartki. Szkoda.

Dopiero teraz, gdy wspominam tę sytuację, widzę, że Maćkowi wtedy jeszcze na nas zależało. Czyżby wtedy mnie zależało trochę mniej? Nie, to nie tak. Ale Gośka... Nie, nie była najważniejsza, ale po prostu musiałam z nią pogadać. Potrzebowała mnie właśnie wtedy. Maciek, siedząc sam przy stole, oczekiwał, że szybko załatwię sprawę, wrócę do kolacji, a potem, może wieczorem albo jutro czy pojutrze, gdy będę miała czas, zadzwonię do Gośki, a ona w kilku prostych słowach opowie mi, o co chodzi.

Wtedy o tym nie myślałam. Maciek czuł się bardzo urażony. Zrozumiałam to dopiero później. Tamtego dnia czwartki przestały być najważniejsze. Znowu na pierwszym miejscu Maciek stawiał pracę. Gośka wyjechała daleko. Ja nie miałam substytutu. Byłam sama.

Gdy myślę o obiadach czwartkowych, jestem przekonana, że tym razem to ja nawaliłam. Jednak wiem, że gdybym teraz zobaczyła siedem nieodebranych połączeń od Gośki, gdziekolwiek bym była i cokolwiek bym robiła, natychmiast zadzwoniłabym do niej, by zapytać, co się stało.

Nawet kosztem obiadów czwartkowych.

Gośka wyjechała, więc tak naprawdę poznała Maćka dopiero na naszym ślubie. Może gdyby była na miejscu, poradziłaby mi, bym się zastanowiła nad moim związkiem? Gdyby obserwowała nasz związek, może znalazłaby jakieś lekarstwo?

Gośka знаła Maćka wyidealizowanego. Czasem ciężko mi było zwierzać się jej przez

telefon. Poza tym połączenia międzynarodowe na bilingu nie budziły zachwytu Maćka... Skype również zawodził. Nie można było zamknąć się z komputerem w łazience, by szeptem dzielić się swymi sekretami. Nasze rozmowy zawsze słyszał mąż, albo jeden, albo drugi. Na mejle brakowało siły i odwagi. Gdy emocje zostają przelane na papier, często wydają się inne. Sytuacja nie przedstawia się wówczas wystarczająco ponuro albo wygląda tak źle, że człowiek woli tego nie widzieć.

Gośka wróciła z Anglii kilka dni po tym, jak Maciek mi się oświadczył. Zastała mnie przeschęśliwą, pełną nadziei, czekającą na lepsze czasy. I na zmiany. Na zmiany na lepsze.

Plany dotyczące ślubu w sylwestra prysły dość szybko. Nie wyszło, nie zdążyliśmy wszystkiego przygotować. Nie było miejsc w urzędach stanu cywilnego, w restauracjach, nawet na szybki obiad. Teraz to nieważne. Wtedy – bardzo się rozczarowałam.

Na rękę lśnił pierścionek z brylantem, który przypominał mi każdego dnia, że wkrótce będę żoną. Sylwester był tak symboliczną datą – koniec starego – początek nowego.

Nie wyszło.

Ślub odbył się jedenastego lutego, w Urzędzie Stanu Cywilnego w Pałacu Opatów, w pięknej scenerii parku Oliwskiego. Jeszcze zdążyliśmy. Słyszałam, że teraz już tam nie ma ślubów. A szkoda...

Raz tęsknie spojrzałam na katedrę oliwską, potem na parę, która robiła sobie zdjęcia w zaśnieżonym parku. On w meloniku, ona w koronkowej sukni, długim, powiewającym na wietrze welonie, osłonięta białym futrem. Wyglądała pięknie. Królowa Śniegu. Przydałaby się karetka albo jeszcze lepiej sanie zaprzęzione w białe, rosłe konie.

Wpatrywałam się w nich zauroczona. Mężczyzna delikatnie zdejmował spadające z nieba płatki śniegu z jej policzków, z jej włosów. Każdy gest wyrażał tyle uczuć.

My wyglądaliśmy jak goście weselni, a nie jak para pragnąca złożyć sobie przyrzeczenie miłości i wierności na zawsze. Jedynym przejawem romantyzmu były kwiaty w moich włosach. Miałam na sobie elegancki pastelowy garnitur i kosztujące fortunę buty, na które namówiła mnie Gośka.

Romantyzm postanowiłam zostawić sobie na ślub kościelny, tak samo jak długą i zwiewną, wymarzoną sukienkę, na którą przyjaciółka starała się mnie do końca namówić.

– Kochanie... Nie musi być biała... Ale niech to będzie ślubna suknia! – mówiła, gdy wybrałyśmy się na zakupy. – Nie ma czegoś takiego jak ślubny garnitur, choćby i różowy!

Nie chciałam żadnej sukienki. Wygląd księżniczki z bajki postanowiłam sobie zostawić na ten jedyny dzień, kiedy wsparta na ramieniu taty będę szła, w rytm muzyki, główną nawą jakiegoś starego kościoła, może właśnie katedry oliwskiej, prosto w ramiona czekającego z niecierpliwością przyszłego męża.

Gośka była bardzo zawiedziona. Tym bardziej że i Maciek nie dał się namówić na odświętny strój. Wystąpił po prostu w swoim dyżurnym garniturze. Tym samym, który do mnie przytargał razem z czterema walizkami i torbą z laptopem. Wkładał go

na wszelkie śluby, pogrzeby, ważne wystąpienia i biznesowe prezentacje. Jedyнным uroczystym akcentem w jego stroju była biała róża w butonierce, taka sama, jaką ja trzymałam w ręku.

Pamiętam, jak Gośka wychodziła za mąż w środku upalnego lata. Była piękna jak księżniczka, w białej, długiej aż do ziemi, pełnej koronkowego uroku sukni.

Szaleństwo przygotowań zaczęło się już chyba rok przed ślubem. A może i wcześniej. Gosia wszystko musiała mieć najlepsze. I najbardziej dopracowane. Jej ślub musiał być wyjątkowy. I taki był.

Suknia sprowadzona z Włoch, orkiestra smyczkowa w kościele, najlepszy zespół weselny. Wszystko było idealne. Zaproszenia pasowały do winietek na stół, a te do wstążeczek zdobiących kwiaty w butonierce pana młodego i jej bukiet.

Szalałyśmy wtedy po sklepach. Byłam zawsze do jej dyspozycji, gotowa służyć radą i wsparciem, jak przystało świadkującej przyjaciółce.

Zorganizowałam jej również wieczór panieński. Nie pozwoliłam Goście w to ingerować. Wymogła tylko na mnie obietnicę, że nie będzie żadnego faceta kręcącego biodrami. Twierdziła, że tyłkiem to pokreśli jej Misiek w noc poślubną, i że woli to tysiąc razy od rozbierającego się gacha. Przyrzekłam, zatem Gocha dała mi wolną rękę.

Kilka dni przed ślubem zabrałam ją prosto z pracy do SPA. Tam przez dwie godziny się nad nią pastwili, doprowadzając ją do jeszcze większego ideału, chociaż wydawało się to niemożliwe. Następnie zaprowadzono ją do jacuzzi, gdzie siedziało już kilkanaście półnagich, rozchichotanych i niezupełnie trzeźwych dziewcząt. To była chyba najlepsza babska impreza, w jakiej uczestniczyłam!

Ja tak nie szalałam przed ślubem. Ślub cywilny był dla mnie jedynie formalnością. Gośka próbowała zarazić mnie swoją euforią, podsyłała mi mejle pełne linków do stron z bukietami, sukniami, fryzurami, adresy stylistek, wizażystek i innych specjalistów od wizerunku. Ja tego jednak nie potrzebowałam.

– Gosieńko, kochanie, poszalejemy przed kościelnym – mówiłam. – Teraz i czasu mało, by coś przygotować, i wiesz, że robimy to bez pompy. – Nawet wierzyłam w swoje słowa.

Goście to się również nie podobało. Ona lubiła błyszczeć i nie mogła zrozumieć, że chcę wziąć cichy ślub.

Rzeczywiście, był bardzo cichy. Nie poinformowaliśmy nawet swoich przyjaciół. Dowiedzieli się po fakcie.

– Zaprosimy was na przyjęcie po kościelnym – tłumaczyłam się. – Na pewno będzie już niedługo – dodawałam.

Gośka była na ślubie, bo świadkowała. Chyba jedyne ustępstwo mojego ówczesnego

narzeczonego. Drugim świadkiem, pewnie w ramach oszczędności, był jej mąż. Bardzo kameralnie. Chyba aż za bardzo.

Patrząc na Gośkę, Miśka i ich małżeństwo, czasem sobie myślę, że ślub powinien być huczny, by wspólne życie się udało. Musi kilku pijanych wujków spać pod stołem, a jakaś ciotka być podszczypywana przez seniora rodu, by wszystko było, jak należy.

Może szczęśliwe małżeństwo to zasługa białej sukni, rzucanego welonu i marszu weselnego przy akompaniamencie szlochów mamusi, babci i przyjaciółek. Może właśnie wtedy wychodzi? Tak jak wyszło Goście i Miśkowi?

Nasz ślub był bardziej niż skromny.

Rodzice, Gośka i Misiek. I my, oczywiście.

Pani urzędniczka myślała, że to Gosia jest panną młodą. Może rzeczywiście wyglądała bardziej odświętnie.

Obiad odbył się w małej, dość ekskluzywnej restauracji w Oliwie. Poszliśmy tam na piechotę, bo ku zgorszeniu Gośki nie pomyśleliśmy, „czym będziemy jechać do ślubu”.

Po obiedzie wróciliśmy do domów. Każdy do swojego. Nawet rodziców nie zaprosiliśmy na kawę. Mama miała do mnie o to żal. Tata stwierdził, że mamy się sobą nacieszyć.

Plan „nacieszenia się sobą” jednak nie wypalił. W dniu ślubu chyba tak naprawdę pierwszy raz poczułam, co to samotność. Maciek oświadczył, że musi gdzieś pojechać, by zawieźć komuś zlecenie spedycji. Nagle – szybko – koniecznie. Miał to załatwić wcześniej, ale nie zdążył.

– Dzisiaj? – zapytałam, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

– Kotku, muszę dzisiaj. – Pocałował mnie. – Obiecałem.

Bez słowa podeszłam do okna. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, tylko przelykałam łzy i starałam się głęboko oddychać.

– Zaraz wrócę, kotku! – Objął mnie z tyłu i przytulił policzek do mojego policzka.

– Okej. – Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

– Będiesz na mnie czekać? – zamruczał. – Czekaj nas noc poślubna – dodał znacząco. Cóż miałam robić, jak nie czekać?

– A... Może z tobą pojedę? – zapytałam.

– Nie, kotku. Nie ma sensu. Obrócę szybko. – Cmoknął mnie gdzieś w okolicy ucha.

– Czekaj na mnie. Jadę tylko do Sopotu.

Nie pierwszy raz czekałam wtedy na Maćka i nie ostatni. Odkąd pamiętam, zawsze na niego czekałam. Zwykle na pierwszym miejscu były sprawy zawodowe, potem jego ukochany samochód, długo, długo nic i daleko potem stałam ja, dopominając się o chwilę uwagi.

Może nie domagałam się jej wystarczająco głośno, bo czasem, stojąc tak daleko, nie

byłam zauważana.

Było mi tak cholernie smutno. Zagryzałam wargi i powtarzałam sobie jego słowa: „Kotku, obróćę szybko. Czekaj na mnie”.

Spojrzałam na zegarek. Już dwie godziny minęły od jego wyjścia z domu. Zdjęłam wreszcie swoje bardzo drogie buty. A chciałam, by to on je zdejmował.

Marynarkę i spodnie powiesiłam w szafie. Przechodząc obok lustra, zobaczyłam swoje odbicie.

Piękna kobieta w bieliźnie. Jeszcze bardziej mnie to załamało. Piękna samotna panna młoda.

Poszłam do łazienki, by zmyć makijaż, który i tak częściowo już spłynął wraz ze łzami. Nago położyłam się do łóżka i dalej czekałam.

Przyszedł po trzech godzinach.

– Kotku... Przepraszam cię. – Przytulił się do mnie.

Nawet się nie odwróciłam. Zaczął całować moją twarz, mokrą od łez.

– Boże. Kotku, ty płakałaś? – Głaskał mnie delikatnie po policzkach, raz jednym, raz drugim. – Przepraszam!

Nadal się nie odwracałam.

Wyszedł z pokoju, wziął szybki prysznic. Po chwili wrócił. Położył się pod kołdrą i przytulił do moich pleców. Po chwili zaczął gładzić moje piersi. Potem wszedł we mnie.

To była nasza noc poślubna. Kochaliśmy się, ale zupełnie nie tak, jak sobie wyobrażałam. Tej nocy właśnie zrozumiałam znaczenie słów „samotność we dwoje”.

Maciek chyba tego nie rozumiał. Po chwili już spał, a ja leżałam naga, nadal odwrócona tyłem do niego, a z oczu ciekły mi łzy.

Ślub niczego nie zmienił w naszym życiu. Musiałam za to załatwić mnóstwo formalności związanych ze zmianą nazwiska. Nowy dowód, prawo jazdy, paszport. Zmiana kart bankomatowych i nazwiska na fakturach z opłatami. To tyle.

I mogłam nazywać się „żoną”. Na początku jakże sztuczne słowo „mąż” weszło mi szybko w krew. Już nie wydawało mi się takie pretensjonalne jak kiedyś.

Maciek nie chwalił się, że zmienił stan cywilny. Traktował to jako naturalną kolej rzeczy.

– Nie powiedziałaś mu, że się ożeniłaś? – pytałam zdziwiona, gdy potrafił pół godziny rozmawiać z dobrym znajomym na tematy tylko i wyłącznie służbowe.

Czasem, gdy na ulicy spotkaliśmy jego znajomych, po zdawkowym „co słyhać”, dzielił się tą informacją w dość typowy dla niego sposób.

– Małżeństwo to przekupstwo, by pomoc domowa myślała, że jest panią domu – wyjaśniał, zwykle na końcu, zaśmiewając się przy tym w głos. – Kotku, to taki żart przecież – mówił za każdym razem, gdy widział moją niezbyt zadowoloną minę.

Znałam się na żartach, ale ten słyszałam już tyle razy, że śmieszył mnie mniej więcej tak jak kawał o babie, która poszła do lekarza.

Cha cha cha.

A lekarz też baba.

„Kotku, to taki żart przecież”, chciałoby się powiedzieć.

Co gorsza, dla mnie nie było to wcale śmieszne jeszcze z innych powodów. Naprawdę czułam się jak ta pomoc domowa, która na dodatek niezbyt hojnie została przekupiona.

Ja dawałam z siebie dużo – Maciek niewiele. Powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę, że to się chyba nie zmieni.

Żyliśmy z dnia na dzień. Rano wychodziliśmy do pracy, ja marzłam na przystanku, Maciek wsiadał do swojej hondy i mknął do biura. Czasem mnie podwoził. Jeśli bardzo nalegałam i tylko wtedy, gdy miał coś do załatwienia na mieście.

Często czekałam z obiadem, podgrzewałam go potem po raz kolejny, w końcu jadłam sama. Potem Maciek w kuchni zjadał kanapki, bo okazywało się, że wyskoczył z pracy na lunch. I nie jest głodny. Poza tym wątróbki nie lubi. Tak, tak, kiedyś lubił, ale teraz już nie.

W naszym małżeństwie byłam sama.

– Maciek, my razem nic nie robimy... – wypominałam mu.

– Jak to? – Udawał zdziwionego. – Razem oglądamy telewizję. – Włączał Discovery i nie widział, że ja siedzę skulona w fotelu z książką o wiele znaczącym tytule w stylu „Jak uzdrowić swój związek”.

Naszego związku nie mogłam uzdrowić.

Do tego tanga trzeba dwojga.

Kiedyś Maciek wrócił z pracy dość wcześnie i w świetnym humorze.

– Wychodzimy! – krzyknął od progu. – Mam dla ciebie niespodziankę!

– Niespodziankę? – Wytarłam mokre ręce w kuchenną ścierkę i wyszłam z kuchni.

Wziął mnie w objęcia i oświadczył, że wychodzimy do knajpy. Zabrał mnie do pięknej restauracji w głębi starego Wrzeszcza. Gdy już zjedliśmy przepyszny obiad, Maciek oznajmił:

– Kotku, dostałem awans. – Wzniósł kieliszek i powiedział: – Za to, by się udało!

– Za to, by się udało – powtórzyłam szeptem. Niezupełnie mi wtedy chodziło o jego awans, pracę, karierę. Bardziej chodziło mi o nas.

Żeby się udało – powtarzałam wielokrotnie te słowa tego wieczoru, stukając się co

chwila kieliszkiem z mężem.

Nie było mi wesoło. Awans Maćka oznaczał jeszcze mniej czasu dla mnie. Jeszcze mniej wspólnych wieczorów, weekendów, wyjazdów. Jeżeli w ogóle mogło być mniej.

Maciek cieszył się z tego dokładnie w takim samym stopniu, jak ja byłam zmartwiona. Na siłę uśmiechałam się, wznosząc z nim te toasty.

Gdy w domu, wieczorem, zdecydowanie pijana, zasypiałam, zdałam sobie sprawę z absurdu sytuacji. Mąż po raz pierwszy zabrał mnie do knajpy, by razem spędzić czas. Zabrał mnie, by wspólnie świętować swoją radość. By ten awans uczcić ze mną. Właśnie ze mną. A ja, zamiast się cieszyć tą ulotną chwilą, myślałam o przyszłości. O tym, jak będzie wyglądać nasze życie, gdy Maciek zacznie pracować jeszcze więcej. Zamiast się emocjonować jego sukcesem, pozwalałam wyobraźni pisać czarne scenariusze. Po co? Sama tego nie wiedziałam.

Jednak te wymyślone scenariusze były bardzo zbliżone do prawdy. Maciek, oprócz tego, że pracował do późna w firmie, tachał jakieś papierzyska do domu. Gdy pytałam o wakacje, odpowiadał tylko jedno:

– Może w przyszłym roku. Wiesz, teraz ten awans...

Gdy robiłam mu z tego powodu awantury, twierdził, że potrafię myśleć tylko i wyłącznie o przyjemnościach.

– W jakim świecie ty żyjesz? – zwykł pytać.

A ja chciałam żyć w normalnym świecie. Zachować tę potrzebną do szczęśliwego życia równowagę pomiędzy pracą i rodziną. U Maćka równowaga ta była zdecydowanie zachwiana.

Za wszelką cenę próbowałam ratować nasz związek. „Kobiety dają seks, by dostać miłość, mężczyźni dają miłość, by dostać seks” – przeczytałam gdzieś... U nas się to nie sprawdzało, a naprawdę się starałam.

W ogóle nasze życie seksualne od pewnego momentu leżało w gruzach. A raczej wcale go nie było. Trudno mi było uchwycić ten moment, kiedy to się zaczęło.

Koleżanki opisywały swoje łóżkowe ekscesy, mężczyźni rywalizowali w opowiadaniu dowcipów z podtekstem bardziej lub mniej erotycznym.

Kiedyś u nas na imprezie pijany w sztok przyjaciel Maćka, Andrzej, opowiadał stary jak świat dowcip, który wtedy nabrał dla mnie nowego znaczenia. Jeszcze bardziej mnie wkurzał i to nie z racji tego, iż słyszałam go już tysiąc razy, ale dlatego, że w stu procentach mnie dotyczył. I sama z siebie mogłabym się tak śmiać.

Studenci uzyskali zgodę dyrekcji na krótką ankietę wśród stoczniowców. W stołówce poprosili ich o chwilę uwagi i zapytali:

– Kto z panów uprawia seks małżeński codziennie?

Zgłosiła się co dziesiąta osoba.

– A kto raz w tygodniu?

Tym razem było już znacznie więcej rąk w górze.

– A kto raz na miesiąc?

Kilka procent potwierdziło.

– A kto rzadziej?

– Ja, ja, ja! – wrzeszczał jeden ze stoczniowców.

– No, dobrze, już dobrze, a jak często?

– Raz w roku! – krzyczy podniecony stoczniowiec.

– Okej, zapisaliśmy, ale dlaczego pan tak krzyczy?

– Bo to już jutro, już jutro!

Maciek wtedy zaśmiewał się, prawie turlając się po dywanie. Nawet nie zauważył drwiny w moich oczach. Na swoje nieszczęście byłam nieprzyzwoicie trzeźwa.

No i ja niczym ten wrzeszczący, podniecony stoczniowiec cieszyłam się z każdego przejawu czułości ze strony męża, do tego stopnia, że jak klepnął mnie w tyłek, gdy zmywałam na kolanach podłogę, bo coś się rozlało, przez trzy dni miałam dobry humor.

Fantastycznie, prawda?

Bo mnie zauważył. I na tyle mu się podobałam, że on, „pan i władca” miał ochotę klepnąć mnie w tyłek. Jaki wspaniałomyślny, prawda?

„Aby ocieplić atmosferę w związku, załóż koronki i przygotuj kolację przy świecach” – radził ktoś w jednym z poradników, które kupiłam, by ratować to, co jeszcze z nas zostało.

Przyszedł, zjadł kolację, nawet na mnie nie spojrzał. Usiadł na kanapie, włączył telewizor, przerzucił bezmyślnie kilka kanałów, nawet nie udając, że coś go interesuje, mruknął, że jest bardzo zmęczony i zasnął. Moich koronek oczywiście nie zauważył.

To była pierwsza rocznica ślubu. Nie pamiętał. O niczym nie pamiętał poza pracą. Rozmowy przez telefon prowadził tylko służbowe, kalendarz obfitował w zapiski ważnych spotkań, zebrań i konferencji. Urodziny, imieniny, rocznice były dla niego nieważne.

Wkurzona zsunęłam pończochy. Wolałam już siedzieć w szlafroku. Starym, wysłużonym, różowym szlafroku frotté. Sięgnęłam po grube wełniane skarpety, pamiątkę z jednego z naszych pierwszych i w zasadzie ostatnich wyjazdów w góry. Włożyłam je. Koronki miałam ochotę wyrzucić do śmieci.

Chyba już nigdy mi się nie przydadzą, pomyślałam i pociekły mi łzy prosto do kieliszka z winem. Po cholere mi koronki. Tej atmosfery między nami już nic nie ociepli.

Nie wiem, kiedy się to zaczęło. Od razu po ślubie chyba nie, były fajne momenty w naszym życiu. Może wtedy, gdy dostał awans? A może po tym, jak zaszłam w ciążę? Tak, chyba to było wtedy...

– Nie radzisz sobie – mawiał.

Radziłam sobie doskonale. Szczególnie właśnie wtedy. A było mi tak cholernie ciężko! Gorący obiad na stole, mieszkanie posprzątane, nawet starałam się uśmiechać. A nie było łatwo.

„Nie radzisz sobie” bolało jak użądlenie osy. „Zmęczony jestem” słyszałam, gdy chciałam się do niego przytulić.

Zostałam odstawiona na boczny tor. Na tor BARDZO oddalony od głównej drogi. Już sama nie wiedziałam, co to za droga i do czego prowadzi. Nie wiedziałam, czy powinniśmy kroczyć nią razem, czy osobno.

Tamtego dnia czekałam na niego w swojej najlepszej bieliźnie, przewiązana w pasie czerwoną kokardką. Głupia, chciałam być jego prezentem. Szampan się chłodził w lodówce, a ja stygłam, siedząc w fotelu. Godzinę, dwie. Wreszcie wrócił z pracy.

No i nawet na mnie nie spojrzał.

Dziwnym trafem, przypadkiem, zrzędzeniem losu, kilka dni wcześniej przypomniał sobie o mnie Michał, ten od papierosa... Znowu, po tylu latach.

Jakiś czas temu wymieniliśmy kilka zdawkowych esemesów. Wczorajsza wiadomość miała już zupełnie inny charakter.

Patrząc ukradkiem na męża, wyciągnęłam telefon. Przeczytałam wiadomość, którą dostałam poprzedniego dnia: „Wciąż Cię kocham. Spotkajmy się. Proszę”.

Stara miłość nie rdzewieje, myślałam, słuchając chrapania męża. Zawsze chrapał. Kiedyś wystarczyło się do niego przytulić i przestawał. Teraz już nie miałam ochoty się przytulać. Po tym wieczorze na nic już nie miałam ochoty.

Wtedy zaczęłam tę grę. Grę wielce niebezpieczną. Stawką było wszystko, co miałam. Moje zachowanie zaczęło przypominać balansowanie na linie. Na cienkiej nitce, która dzieliła wierność od zdrady. Powtarzałam sobie jednak, że przecież nic takiego nie robię. To tylko słowa.

„Zgadnij, co mam na sobie”, napisałam w esemesie. Wysłałam, zamykając oczy, i już w tym momencie zaczęłam żałować, że to zrobiłam.

Po chwili odebrałam odpowiedź: „Powietrze?”.

„Czarne koronki. Pończochy, zwiewna halka, nic poza tym...”. Spojrzałam na góralskie skarpety i ściśle zawiązany w pasie różowy szlafrok.

„Spotkajmy się, proszę. Wciąż Cię kocham” – odczytałam po chwili.

Znałam go od tak dawna. Wspomnienia powróciły.

Był synem mojego wykładowcy, młodszym ode mnie o jakieś dwa lata. Kiedyś przez przypadek spotkaliśmy się na jakimś egzaminie. Wiecznie uśmiechnięty chłopak od razu mi się spodobał. Jednak nigdy nie brałam go pod uwagę jako kandydata na mężczyznę mojego życia. Nie był dla mnie.

– Przyjdę do ciebie dziś wieczorem, obejrzymy film – powiedział wtedy któregoś dnia, wiele lat temu.

Przyszedł wieczorem z kilkoma płytami i butelką wina pod pachą. Usiadł na podłodze i zaczął masować mi stopy. Nie pamiętałam, o czym był film. Widziałam tylko jego wpatrzone we mnie oczy, słuchałam jego słów. Pocałunków nie liczyłam, było ich zbyt wiele.

– Nie zakochuj się we mnie – prosiłam wtedy. – Nic z tego nie będzie. Nigdy.

Patrzył na mnie tymi szeroko otwartymi, jakby wiecznie zdumionymi oczami i mówił:

– A jeżeli już jest za późno? Może za późno, by mnie ostrzec przed kochaniem ciebie?

Odwracałam głowę i starałam się zmieniać temat, aby nie myśleć i nie widzieć tego wzroku, odsuwałam się, by nie czuć jego dotyku. Sama nie wiem, dlaczego wtedy się z nim spotykałam. Może chciałam poczuć, jak to jest być kochaną? Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że go ranię...

– Musisz już iść – mówiłam.

Nieważne, czy to była wiosna, czy zima.

– Idź już.

Wychodził, potem stał pod moim blokiem, paląc jednego papierosa za drugim. W niezastłoniętym oknie obserwował mnie, gdy się rozbierałam, potem chwilę czekał, aż zgaszę światło. Mówił, że wyobrażał mnie sobie, jak biorę do ręki książkę, czytam ją, a potem odkładam na bok i wtulona w kołdrę zasypiam. Palił kolejnego papierosa, wsiadał w swój zdezelowany samochód, wspólnie naprawiany z kolegą w starym garażu ojca, i odjeżdżał do domu.

Kiedyś się zakochałam. A przynajmniej tak mi się wydawało. Słuchał moich opowieści o tym, jaki to tamten jest wspaniały, jak mi jest dobrze... To „uczucie” okazało się krótkotrwałe, przynajmniej ze strony tego, w którym się zakochałam. Potem Michał pocieszał mnie, znowu siedząc u moich stóp i głaszcząc mnie po udach.

– Nie płacz, kochanie – mówił.

Gdy słyszałam „kochanie”, kazałam mu znowu wychodzić. No i on, jak to on, stał pod oknem, paląc papierosa za papierosem...

Ostatni raz widzieliśmy się ponad trzy, może cztery lata temu, jeszcze zanim Maciek się do mnie wprowadził. Nawet nie pamiętam, czy wtedy już byłam z Maćkiem. Spacerowaliśmy nad morzem, gdy powiedział mi, że za tydzień, w sobotę, bierze ślub.

– Wiesz... Wystarczy, że powiesz słowo... – zaczął.

– Michał, nie kończ, wracamy do domu.

Cieszyłam się wtedy, że znalazł sobie kogoś, naprawdę miałam nadzieję, że będzie szczęśliwy.

Tonący brzytwy się chwyta, myślał wtedy. I jak mi później napisał w mejlu, dalej wierzył, że w tę sobotę, kiedy będzie stał przed ołtarzem, stanę z tyłu kościoła i krzyknę: „Nie!”. Mówił, że od razu by wtedy za mną pobiegł i już mnie nie wypuścił ze swojego życia.

Nic takiego oczywiście się nie stało. Żona urodziła mu córkę, którą uwielbiał. Jednak, jak się okazało, wciąż jeszcze myślał o mnie. Ironia losu. I te esemesy, że kocha. Wciąż kocha.

„Przyjedź jutro o 20. Będę sama”, napisałam, ale nie zdążyłam wysłać, bo Maciek się obudził. Szybko schowałam telefon do kieszeni szlafroka.

Wstałam z fotela, poszłam do łazienki, by usunąć z ciała zapach ciężkich perfum, którymi pachniały koronki, zmyć swoje myśli. Szorowałam się szorstką rękawicą, jakbym chciała zderzyć z siebie samą myśl o spotkaniu z Michałem. Czułam się, jakbym samymi tylko marzeniami zdradziła Maćka. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdybym się wtedy spotkała z Michałem...

Usłyszałam pukanie do łazienki. Wszedł mój mąż.

– Zasnąłem – powiedział. – Założysz dla mnie kiedyś jeszcze te swoje koronki?

– Proszę, wyjdź. – Już nie miałam żadnej ochoty ubierać się dla Maćka w koronki, które i tak nie robiły na nim wrażenia.

Wyszedł z łazienki. Nie stał i nie czekał, aż zasnę. Nie palił papierosa jednego za drugim, nie wyobrażał sobie tego, co robię sama w łazience.

Poszedł do swojego pokoju, by skończyć kolejne ważne zadanie „na wczoraj”, a ja zasnęłam, jak zwykle sama.

Już chyba nawet nie cieszyłaby mnie myśl, że to „już jutro”... Wtedy nie zdradziłam Maćka. Ale właśnie w tę pierwszą rocznicę ślubu pierwszy raz o tym pomyślałam.

Bardzo długo dzieci były w naszym związku tematem tabu. O dzieciach się nie rozmawiało, ale wiadomo było, że nie są pożądane.

Przez Maćka na pewno.

A ja dziwnym trafem bardzo szybko wmówiłam sobie, że mam dokładnie taki sam pogląd na życie jak Maciek. Nie lubił poezji śpiewanej i piosenek ogniskowych, więc przestałam słuchać Starego Dobrego Małżeństwa i wszystkie ich kasety sprzedawałam na Allegro. Maciej nie lubił kaszanki – nie gotowałam. Wolał kino niż teatr, opery nie cierpiał. Od czasu kiedy zaczęliśmy się spotykać, w teatrze byłam jedynie raz. I to na sztuce, na którą zaprosiła mnie Asia Kreft-Baka, aktorka i przyjaciółka koleżanki. Pewnie gdybym nie miała biletów podanych na tacy, nigdy bym się nie wybrała. *Monologi waginy* poruszyły mnie do głębi. Balansowałam na granicy uśmiechu i smutku... Do teatru poszłam sama, Maciek pracował...

Do tego, że JA nie chcę dzieci, również bardzo szybko mnie przekonał.

– Naprawdę nie chcesz? – pytała mnie Gośka, która co miesiąc nerwowo robiła test ciążowy, mając nadzieję, że wreszcie się udało. – Wiele bym dała za to, by być w ciąży! – mówiła.

– Nie chcę – wmawiałam sobie, jej i wszystkim wokół. – Kiedyś pewnie to się zmieni. Wiesz – powtarzałam słowa swojego męża – najpierw większe mieszkanie, musimy się ustawić, potem ślub kościelny – to już sama dopowiadałam – a potem pomyślimy – mówiłam, jakbym odtwarzała nagrane na dyktafon słowa Maćka.

– Dziewczyno, wiele tak myślało. A potem inseminacje, in vitro... Zobacz, ile my się już staramy...

– Pesymistka – roześmiałam się. – Ja nie mam jeszcze trzydziestki! – Rzeczywiście, do trzydziestki brakowało mi dwóch miesięcy.

Tak naprawdę to marzyłam o dzieciach. Życie bez nich nie miało dla mnie sensu. Bo ja musiałam zawsze DLA KOGOŚĆ żyć. Bez dzieci świat mógłby nie istnieć. Przynajmniej dla mnie.

Miłość do dziecka zawsze wydawała mi się taka bezwarunkowa. I taka „po prostu”. W głębi serca wiedziałam, że dzieci wypełniają życie, ten kawałek, którego chyba nikt i nic nie jest w stanie wypełnić.

Dlatego też nie kryłam radości, gdy pewnego dnia, jakiś czas przed naszą drugą rocznicą ślubu, na teście ciążowym kupionym pierwszego listopada w dyżurnej aptece na Przymorzu pojawiły się dwie kreski.

– Bardzo panią przepraszam, że dziś przychodzę po test ciążowy – tłumaczyłam młodej farmaceutce – ale ja koniecznie muszę go mieć dzisiaj. Muszę się natychmiast

dowiedzieć!

Uśmiechnięta dziewczyna w białym fartuchu rozumiała mnie doskonale, życzyła mi szczęścia, kazała kupić kwas foliowy i dała próbkę kremu na rozstępy. Kupiłam te małe tabletki, od razu jedną połknęłam, zagryzając krówką z reklamą firmy, w której pracowałam.

Czekałam na autobus, z trudem się powstrzymując, by nie schować się w krzakach obok przystanku i nie siknąć sobie na tę płytkę. Tak bardzo chciałam, by wynik był pozytywny.

Po powrocie do domu od razu skierowałam się do łazienki. Nawet nie musiałam czekać trzech minut, jak zalecano w ulotce. Prawie od razu na teście pojawiły się dwie grube kreski.

– Maciek, przyjeżdżaj. – Zadzwoiłam do męża, który odwoził do domu ciotki po wizycie na cmentarzach. – Przyjeżdżaj jak najszybciej. Nie zostawaj na kolacji u ciotki, proszę...

Nie wiem skąd, ale Maciek wiedział. Nawet nie musiałam mu mówić. Wiedział i się uśmiechał.

Tamtego dnia, pamiętam, kochaliśmy się pod prysznicem, jego ręce błądziły po moich piersiach i wmawiał mi, że już są większe i że właśnie takie uwielbia. Ja uwielbiałam cały świat. Zaniósł mnie na rękach do łóżka, nawet nie wytarł, było nam tak gorąco w ten listopadowy wieczór, że nawet nam nie przeszkadzało mokre, zimne prześcieradło, które było świadkiem naszej namiętności. Potem długo nie mogłam spać.

Przewracałam się z boku na bok, myśląc, jak bardzo zmieni nasze życie ta mała istotka, która właśnie w tym momencie rozwijała się z miliona komórek.

Wstałam wtedy z łóżka, włączyłam komputer i zaczęłam czytać. Studiowałam fora dyskusyjne, portale dla młodych matek i kobiet w ciąży i z trudem powstrzymywałam się, by co chwilę nie budzić Maćka.

A jak podoba ci się imię Jaśmina?, mówiłam do niego w myślach. A Jeremiasz? A wiesz, że nasze DZIECKO ma już dwa milimetry? Maciek, ono już w przyszłym tygodniu będzie miało ręce i nogi!

Nie obudziłam męża, ale nad ranem założyłam blog, przyrzekając sobie sumiennie prowadzić pamiętnik z każdego dnia ciąży.

Następnego dnia zadzwoniłam do lekarza. Chociaż szczęśliwa wraz ze mną Gośka mówiła, że mam czas, że mam poczekać, że jeszcze nic nie będzie wiadomo.

Nie słuchałam. Pognałam jak na skrzydłach, przekonana, że dla dobra dziecka muszę iść się zbadać jak najwcześniej.

Wyszłam z gabinetu rozczarowana. Kazano mi zrobić szereg badań, nie miałam nawet USG. A ja myślałam, że już zobaczę lokatora mojego brzucha, jakąkolwiek byłby malutką kropeczką... Jednak wyposażona w recepty na różnorakie specyfiki i mądrość ludową, informującą, że ciąża to nie choroba, pojechałam do domu.

Maluszkę – napisałam tego wieczoru – Byłam u pana doktora, ale nie udało mi się Ciebie obejrzeć. Jesteś taki malutki. Pan doktor nie chciał Cię niepokoić. Może i dobrze. Czuję, że jesteś chłopcem. Takie rzeczy się wie. Pewnie wyrośniesz na prawdziwego mężczyznę. Na mężczyznę, który umie kochać. Maluszkę, już Cię kocham, mimo iż masz zaledwie dwa milimetry. Twój tata przyniósł mi dziś kwiaty. Pięć wielkich czerwonych róż. Mam nadzieję, syneczku, że będziesz wspaniałym facetem. Kocham cię.

Nie ukrywałam, że jestem w ciąży. Z Gością wznosiłyśmy toasty sokiem pomarańczowym, na który miałam ochotę w zastraszających ilościach i snułyśmy plany. Już widziałyśmy, jak Gości córka, która jeszcze siedziała w brzuchu, stoi na ślubnym kobiercu wraz z moim synem.

Natychmiast też pobiegłam do rodziców, którzy byli wniebowzięci. Do szczęścia w zasadzie brakowało im tylko wnuków. Mojego męża uwielbiali. Czasami miałam wrażenie, że na spotkania rodzinne jestem zapraszana tylko ze względu na niego...

Kilka dni później mama przyniosła zrobiony przez siebie na drutach maleńki sweterek.

Agnieszka, która poznała mnie z Maćkiem, też zrobiła mi prezent.

– Kochanie, kupiłam mu coś. – Pogłaskała mnie po jeszcze płaskim brzuchu. – Rozpakuj – powiedziała, wręczając mi mały kartonik owinięty czerwoną wstążeczką.

W kartoniku były miniaturowe adidas. Agnieszka musiała wydać fortunę.

– Ponosi jakieś dwa tygodnie – śmiała się – potem wyrośnie. I nie zniszcz! – dodała, kiwając palcem. – Będzie dla mojego! W bliżej nieokreślonej przyszłości, oczywiście!

Obfotografowała te buty na tle mojego brzucha, który starałam się w miarę możliwości wypinać, i uciekła do domu, bym „odpoczęła”.

Gośka nie dawała mi żadnych prezentów, powiedziała, że po narodzinach dziecka na pewno to nadrobi. Zła byłam na nią, że wierzy w jakieś przesady.

W pracy również szybko się pochwaliłam. Kupiłam ciasto, zaprosiłam wszystkich do pokoju, by obwieścić tę dobrą nowinę.

Szefa miałam idealnego. Gdy się dowiedział, gorąco mi pogratulował.

– Nie wybierasz się na zwolnienie? – zapytał.

– No co ty, doskonale się czuję! – odparłam. – Tryskam energią i gotowa jestem do nowych wyzwania!

Nowe wyzwania szef wyznaczył mi już jakiś czas wcześniej, umowa miała mi się niedługo skończyć, ale nie bałam się zwolnienia. Już wiedziałam, że będzie przedłużona. Korporacja szanowała ludzi. Tych, którzy ją szanowali.

Mój mąż chyba nieco się przestraszył tego, że będzie ojcem. Podobno każdego mężczyznę ta perspektywa trochę przeraża. Wiedziałam, że starał się to przede mną za wszelką cenę ukryć, ale z jego zachowania wynikało zupełnie coś innego. Jednego

dnia ustalał ze mną, gdzie postawimy łóżeczko, drugiego liczył, jak wysoki kredyt musimy wziąć, by kupić większe mieszkanie, a jeszcze kiedy indziej zastanawiał się, jak sobie poradzimy.

Kiedy przestawał się zamartwiać, było nawet przyjemnie.

Powoli zmieniałam się zewnątrz, Maciek nie mógł się na mnie napatrzeć.

– Pięknie wyglądasz – mówił często.

Musiałam odłożyć na bok wszystkie staniki, chwilowo chodziłam bez, co, nie ukrywam, powodowało, iż mój mąż nie mógł się ode mnie odkleić.

Codziennie też pisałam blog.

Maluszkę, dziś rozpoczął się dziewiąty tydzień. Masz dwa centymetry i podobno już potrafisz ssać palec. Niewiarygodne. Jutro Cię zobaczę. Powieszę sobie Twoje zdjęcie nad łóżkiem i będę codziennie z Tobą rozmawiać. Kiedyś Ci pokażę ten pamiętnik. Na pewno ucieszysz się, że mama tak bardzo kochała Ciebie już od pierwszych chwil...

Maciek nie mógł ze mną jechać do lekarza. Jakieś bardzo ważne spotkanie zatrzymało go w pracy. Nie powiem, że bym była zdziwiona. Chciałam jechać z Goską, ale ona akurat trochę gorzej się czuła, więc wybrałam się sama.

W poczekalni zastałam same uśmiechnięte kobiety, noszące dumnie mniejsze lub większe brzuchy.

– U pani to już końcówka, prawda? – zagadnęłam brunetkę z ogromnym brzuchem. Ledwo siedziała na kanapie.

– Wczoraj był termin – westchnęła. – Nie mam już siły. W zasadzie to mam dość!

– Mnie to wszystko dopiero czeka... Dopiero dziewiąty tydzień – pogłaskałam się po brzuchu. – Moje dziecko podobno ma już dwa centymetry!

– Ani się pani spostrzeże, a już będzie pani rodzić! – uśmiechnęła się.

Po chwili zostałam wezwana do gabinetu.

Lekarz mnie zbadał, po czym zaprosił na USG.

Trajkotałam jak szalona. Wyciągnęłam kartkę z pytaniami, które zapisałam poprzedniego dnia i machałam lekarzowi przed oczami. Wziął ją ode mnie i nawet nie patrząc na nią, zaczął w napięciu obserwować monitor.

Widząc jego minę, zaniepokoiłam się.

– Coś nie tak? – zapytałam.

I wtedy usłyszałam trzy słowa, które miały bardzo istotny wpływ na moje dalsze życie.

– Serduszko nie bije – powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

Wtedy nie przyjąłam chyba tego do wiadomości. Tego, że moje dziecko nie żyje. Cicho

zapytałam, co to znaczy.

– Proszę zrobić badania i do mnie zadzwonić.

Czułam się, jakby ktoś mi głowę ścisnął w imadle. Wezwałam taksówkę. Nie byłam w stanie wracać do domu kolejką. Taksówkarz, jak to taksówkarz, próbował zagadywać. Bezskutecznie.

Udało mi się nie poryczeć wtedy, w tej taksówce. Zrobiłam to dopiero w domu. Męża jeszcze nie było. Wzięłam telefon do ręki.

– Maciek, gdzie jesteś?

– Kochanie, co się stało? – Poznał po głosie, że jestem w marnej formie.

– Nic z tego, Maciek – płakałam. – Nie ma naszego Maluszka!!!

Nawet z Goską tego dnia nie miałam już siły się kontaktować.

Rzeczywiście. Beta HCG spadała z prędkością światła.

Zadzwoiłam do lekarza. Kazał czekać, aż się zacznie i jechać do szpitala.

Zaczęło się późnym wieczorem. Siedziałam skulona w korytarzu, zwijając się z bólu, a Maciek mnie pakował.

– Pizamę zieloną ci zapakować? – zapytał.

– Jaką chcesz. Jest mi to obojętne. – Wpatrywałam się w ścianę.

– Kapcie, szczoteczka, ręcznik, woda do picia – mruzczał Maciek z drugiego pokoju.

Nie chciałam tego słyszeć. Było mi wszystko jedno. Właśnie traciłam swoje dziecko.

Moje kochane maleństwo. Bezpowrotnie.

Około północy trafiliśmy na izbę przyjęć. W poczekalni siedziało kilka kobiet, każda z nich z tym samym problemem, każda ze łzami w oczach. Weszłam do gabinetu, badanie niestety potwierdziło wstępną diagnozę.

– Proszę się przebrać w pizamę – rzuciła zdawkowo pielęgniarka.

Włożyłam zieloną pizamę przygotowaną przez Maćka. Na piersiach widniał wielki napis *Happy woman in bed*. Dostałam histerycznego ataku śmiechu. Wyszłam z gabinetu i powiedziałam głośno:

– Dziewczyny, zobaczcie, co ja mam na bluzce!

Ironia losu.

Happy woman in bed.

Po godzinie Maciek przyniósł mi inną pizamę. Tamtą kazałam mu wyrzucić w cholerę. Żebym już nigdy nie musiała na nią patrzeć.

Zabieg miałam około trzeciej w nocy. Gdy zostałam wybudzona po narkozie,

wybuchłam płaczem.

– Czy mogłaby mnie pani przytulić? – zapytałam pielęgniarkę.

Następnego dnia wróciłam do domu. Czekala na mnie gruba koperta.

– Agnieszka coś ci przyniosła – powiedział Maciek. – Ale tak jak prosiłaś, nic jej nie mówiłem.

– Sama do niej zadzwonię. – Usiadłam w fotelu, rozrywając kopertę. Wysypały się z niej zdjęcia. Te z małymi adidasami na tle mojego brzucha.

Gdybym wierzyła w depresję, wtedy natychmiast poszłabym do psychiatry, dostała jakąś małą białą czy różową tabletkę i się po niej radośnie do wszystkich uśmiechała.

W depresję nie wierzyłam. Uważałam, że depresję mają jedynie te kobiety, które mogą sobie na nią pozwolić. Ja nie mogłam.

Dzień po wyjściu ze szpitala wpadłam w wir obowiązków domowych, szorowałam kafelki, myłam kryształ, czyściłam fugi i odsuwałam meble, by dotrzeć do najbardziej oddalonego brudnego kąta.

Robiłam to w przerwach, kiedy nie wypłakiwałam się przed Goską. Ona zresztą nieco się ode mnie odsunęła. Teraz wiem, że nie chciała, by było mi przykro na widok jej rosnącego brzucha... Nie byłoby mi przykro. Bardzo jej wtedy potrzebowałam. Potrzebowałam kogoś, kto mnie zrozumie.

Miałam wrażenie, że nie rozumie mnie nikt. Wtedy, siedząc w domu, robiłam wszystko, jeszcze zanim o tym zdążyłam pomyśleć. Byle nie wspominać, byle nie czuć.

Przygotowywałam obiady i piekłam ciasta. Tym bardziej że zbliżały się święta i sylwestrowy wieczór, który zamierzałam spędzić w łóżku. I tak spędziłam. Nie pamiętam zbyt wiele z tego czasu.

Nie mogłam siedzieć beczynn timer. Miałam długie zwolnienie, musiałam je jakoś przetrwać. Byle minęło jak najszybciej. Tylko myśl o pracy trzymała mnie w pionie.

Na początku stycznia tamtego roku, w niedzielę wieczorem, w przededniu mojego powrotu do biura, gdy właśnie prasowałam sobie bluzkę, by wyglądać jak człowiek, zadzwonił telefon.

– Cześć, tu Monika.

Monika pracowała w kadrach. Przyjaźniłyśmy się prawie od początku mojej pracy w korporacji. Zajmowała się umowami.

– Cześć, Monia! – ucieszyłam się. – Ty będziesz ze mną negocjować tę nową umowę?

– No tak... – odpowiedziała cicho Monika. – A jak się w ogóle czujesz?

– Fizycznie już całkiem dobrze, psychicznie gorzej. Ale to nic. Wrócę do pracy i mi się poprawi.

– Ja właśnie w tej sprawie... Nie będę owijać w bawełnę... Przypadł mi przykry obowiązek poinformowania cię, że nie przedłużą ci umowy...

– Monia, jak to? – Byłam w szoku. – Dlaczego?

– Wersja oficjalna jest taka, że nie będzie już w firmie takiego stanowiska...

– A nieoficjalna? – zapytałam drżącym głosem.

– Boją się, że zajdziesz znowu w ciążę i pójdziesz na zwolnienie i macierzyński. Ta kolejna umowa miałaby już być na stałe. Swoją przerwą blokowałabyś etat.

Słuchałam, nie słysząc. Właśnie straciłam jedyny powód, dla którego chciało mi się wstawać rano z łóżka i uśmiechać.

Dowiedziałam się, że nazajutrz mam przyjść do pracy, wypełnić kartę obiegową i przekazać komuś swoje obowiązki.

Life is brutal.

And full of zasadzka.

Korporacja jednak nie szanowała tych, którzy ją szanowali.

Znad deski do prasowania unosił się dym. Podniosłam żelazko. W rękawie do tej pory nieskazitelnie białej bluzki była wypalona ogromna dziura.

Brak pracy przybił mnie zupełnie.

Gdy wchodziłam do firmy, walcząc z masywnymi drzwiami, które jakby nie chciały mnie tam wpuścić, miałam łzy w oczach.

Państwo prorodzinne, cholera.

Zostałam ukarana za to, że kiedyś w przyszłości chciałabym mieć dziecko i nie daj Boże się nim jakiś czas zajmować.

Karierę w Polsce mogą robić tylko mężczyźni. Albo te kobiety, co nie mają dzieci. Lub takie, które urodziły w szkole średniej. Odchowane dzieci nie szkodzą awansom...

Oczywiście, są wyjątki od reguły. Miła pani prezes, przeglądająca bilans roczny w MacDonalddie, gdzie jej synek cieszy się czasem spędzonym z mamusią, bądź kobieta na porodówce, która pomiędzy skurczami wydaje przez komórkę ostatnie instrukcje podwładnym...

Te, które w miarę świadomie, w normalnym wieku rozrodczym decydują się na dzieci, są wywalane z pracy, by nie „blokowały etatów”.

Wyciągnęłam identyfikator, przyłożyłam do czujnika i weszłam dalej. Mój dyrektor zupełnie nie miał dla mnie czasu. Dziewczyny były bardzo zapracowane. W zwykłej gwarnej kuchni wszystkie śmiechy na mój widok ustały.

Ot. Przyszła. Niech zostawi telefon służbowy, identyfikator i sobie idzie. Niech sobie idzie dzieci robić, a nie blokować etaty.

Korporacja jest jak pociąg ekspresowy na szczyt. Jedni przychodzą, inni odchodzą. Niektórzy jadą daleko, czasem na gapę, ale mają szczęście i mogą sobie pozwolić na

długą podróż, inni ucziwie kupują bilety i pilnie czekają na swój przystanek, a jeszcze inni mają pecha i zostają wyrzuceni w trakcie jazdy.

Nawet nie zdążą się na to przygotować. Byleby spadli na cztery łapy jak kot.

I jeszcze jedno jest pewne. W tym pociągu nie ma przedziałów dla matek z dziećmi.

Kiedyś, jeszcze na studiach, po jakiejś wyjątkowo uciążliwej sesji przyjaciel zaproponował mi spacer.

– Chodź, pojedziemy do Gdańska. Przejdziemy się wzdłuż Motławy, może wejdziemy do Pikawy na szarlotkę?

Na szarlotkę z bitą śmietaną w Pikawie zawsze miałam ochotę. Siedzieliśmy w kawiarni i piliśmy kawę z cynamonem, jabłecznik z lodami i ze śmietaną został już zjedzony.

– Ewa... W Mikołaju zaczęły się rekolekcje. Idziesz ze mną?

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

Do kościoła zwykle chodziłam. W niedziele i święta. Z naciskiem na święta. Ale rekolekcje?

– Pewnie nie byłaś nigdy na rekolekcjach u dominikanów?

Jasne. Nie byłam. Powiedziałam, że pójdę. W sumie co mi tam. Raz mogę iść. Nie zaszkodzi.

Szliśmy prawie po ciemku, ulice rozjaśniały już tylko latarnie. Zmusiłam Krzyśka, by ze mną podziwiał kapelusze w oknie wystawowym. Od mrozu mieliśmy czerwone nosy.

– Bardzo lubię ten kościół – powiedział. – Chyba jest jedynym, który ma wejście z boku. Wiesz, że wcześniej był pod tą halą targową?

Weszliśmy do środka, prosto w tłum młodych ludzi. Nie było gdzie usiąść. Stanęliśmy tak, by widzieć małego, korpulentnego zakonnika, który ocierając pot z łysiejącego czoła, biegł do mikrofonu, pewnie głośno sapiąc. Tego już nie było słyhać.

– Witajcie! – powiedział ciepłym głosem. – Cieszę się, że przyszlście mnie posłuchać. Czasem warto! Mam nadzieję, że cieszycie się na mój widok chociaż w połowie tak, jak ja się cieszę, gdy was widzę!

Uśmiechnęłam się. Podobnie ci, którzy stali wokół. Miał w sobie coś takiego, że człowiek od razu stawał się lepszy.

– Wiecie... Bo siebie trzeba kochać. Bardzo. I lubić siebie trzeba. I szanować. I musicie się sobie podobać – mówił dominikanin. – Bo jeżeli sami siebie nie lubicie, nie kochacie, to jak możecie wymagać, by inni was kochali? Jeżeli sami nie zasługujecie na swoją miłość, to jak możecie zasługiwać na miłość innych? Męża? Żony? Czasem przychodzi ktoś do mnie z płaczem. „On mnie nie kocha”, mówi. A ja wtedy pytam: czy ty kochasz siebie?

Wszyscy słuchali, zapatrzeni. Miał rację.

– Gdy wstaniecie rano z łóżka, zaraz potem jak umyjecie zęby, bo wiecie, z brudnymi nie każdy czuje się komfortowo, popatrzcie w lustro i powiedzcie sobie, jak bardzo siebie lubicie. I jacy jesteście piękni. Ja robię tak codziennie. Mam w łazience takie duże lustro, zaraz gdy wstanę, stoję przed nim i mówię: Zdzisiu, jak ja ciebie lubię! Jaki ty fajny chłopak jesteś! – Złapał się za gruby brzusek. – Zdzisiu! I jaki śliczny! Normalnie oczu nie można oderwać!

Krzysiek wyjechał do Australii, ma żonę i śliczną córeczkę. Jestem ciekawa, czy mówi sobie co rano: „Krzysiu, jaki ty fajny jesteś” ...

Zupełnie o tym zapomniałam. Bez pracy, bez dziecka nie miałam siły ani ochoty mówić sobie, jak siebie lubię, a tym bardziej jaka to ja śliczna jestem i fajna.

Wcale siebie nie lubiłam. Uważałam również, że nie nadaję się do niczego. Ani do tego, by być rekinem czy gazelą biznesu, ani by być matką.

Siedziałam w domu i rozmyślałam. Nie dbałam o siebie. Po kilku miesiącach przybyło mi szesnaście kilo. Rozciągnięty dres również nie dodawał uroku.

Przeoglądając się nago w lustrze, widziałam tylko celulit. Wydawało mi się, że nie mam go jedynie na uszach. Jeżeli tak wyglądam, myślałam, to nic dziwnego, że mąż chce mieć ze mną jeszcze mniej wspólnego, niż miał dotychczas...

Naprawdę ostatnie, na co miałam ochotę, to stanąć przed lustrem i powiedzieć sobie: „Ewunia, jaka ty śliczna jesteś”.

Maciek pracował jeszcze więcej niż wcześniej. Co chwila wypominał, że „utrzymuje rodzinę”. Bardzo ciężko było mi bez własnych pieniędzy. Kontrolował moje wydatki na każdym kroku.

– Dlaczego ten jogurt kupiłaś w Realu? – czepiał się. – W Biedronce przecież jest o dziesięć groszy tańszy. Do jakiego fryzjera? Przecież dobrze wyglądasz! – mówił, nawet nie odrywając wzroku od komputera. – Chociaż może i lepiej. Będziesz miała krótsze włosy, mniej szamponu zużyjesz. – Uważał to za świetny żart.

Byłam zdana na łaskę i niełaskę męża. Kompletnie od niego uzależniona pod względem ekonomicznym.

Nie polecam.

Nie kochałam samej siebie. Miałam wrażenie, że mąż kochał mnie również coraz mniej. Uważam, że robił również wtedy wszystko, co w jego mocy, bym i ja go przestała kochać, dokładnie jak kilka lat temu robił wiele, bym zaczęła.

Coraz częściej spałam sama. Maciek nie wracał na noc do domu. Nawet nie dzwonił, że zostaje dłużej. Jego telefon był często zajęty albo nie odpowiadał.

Gdy przychodził do domu, był tak zmęczony, że od razu zasypiał na sofie w pokoju z telewizorem. Nie byłam w stanie go obudzić. Szłam do sypialni sama, by potem nad

ranem usłyszeć, jak przeciąga się, klnąc na niewygodne spanie i idzie pod prysznic, by zaraz potem szybko pędzić do biura.

Teraz myślę, że się bał. Że przestraszył się odpowiedzialności za przyszłą, jak wtedy sądził, trzyosobową rodzinę. Ruszył zbyt szybko jakąś niekoniecznie właściwą drogą i nie miał tyle odwagi, siły czy chęci, by się zatrzymać. Dążył do celu, który sobie ściśle wyznaczył, nie zważając na nic, co jest po drodze. Nie zbaczając z określonego szlaku nawet na jedną chwilę.

Nasze życie intymne prawie zupełnie zgasło. Może bał się kolejnej ciąży?

Chyba on tak bardzo nie czuł się gotowy, by być ojcem, tak jak ja całą sobą pragnęłam być matką.

– Niedługo zapomnisz, jak wyglądam nago – mówiłam.

– Nie przesadzaj – ucinał.

Gdy siadałam obok niego, przytulałam się, nie reagował. Gdy starałam się go prowokować, było jeszcze gorzej.

– Ewa, za dużo masz energii. – Odpychał mnie. – Siedzisz w domu i nic nie robisz. Ktoś musi zarabiać na rodzinę.

No i zarabiał. A ja siedziałam w domu, coraz bardziej się dołując.

Wtedy wydawało mi się, że tylko kolejna ciąża może mnie postawić na nogi. Może za bardzo naciskałam?

– Nie teraz, kochanie – mówił. – Przecież nie można tak szybko.

– Można, Maciek. Lekarz mówił, że nie trzeba czekać...

– Ewa, wiesz, teraz nie ma warunków... Mieszkanie powinniśmy zmienić na większe, pracy nie masz... – Maciek rzucał argumentami jak z rękawa.

To nie była jedyna rozmowa. Było ich wiele. Kończyły się zwykle tak samo. Mój mąż potrafił sprawić, że kończąc z nim rozmowę, czułam się nikim. Kompletnie bezwartościową, pozbawioną szans na lepsze jutro osobą. Osobą, która doprawdy nie jest w stanie nic dla siebie zrobić.

Z takim podejściem męża do moich działań nie było mi łatwo. Ale gdy powiedział, że jak znajdę pracę, pomyślimy o dziecku, obudziła się we mnie nadzieja. Bo wcześniej nawet jej nie miałam.

Tak, na początku nawet nie szukałam pracy. Nie miałam na to siły. Życie, dosłownie, przeciekało mi przez palce.

Czytałam książki, robiłam swetry na drutach, serwetki szydełkiem i haftowałam. Powyciągałam jakieś stare, dawno zapomniane robótki. Jedynie to powodowało, że zapominałam.

– Do roboty byś się wzięła! – wrzeszczał. – Jakiegokolwiek!

Miał rację. Oczywiście. Wzięłabym się do roboty. Nie mogłam jednak się zmobilizować, by tej roboty zacząć szukać. Czułam się dokładnie tak samo, jak widział mnie mój mąż. Do niczego.

Mijały kolejne miesiące i myślałam, że już zawsze będzie źle. Przełom jednak

nastąpił.

Pewnego dnia około południa zadzwoniła do mnie Gośka, która była już w dziewiątym miesiącu ciąży.

– Ewa, ty jeszcze śpisz? – Była przerażona. – Za dwadzieścia minut będę u ciebie.

Może to trywialny sposób na poprawę humoru, ale wzięła mnie na zakupy. Biegałyśmy pomiędzy kieckami dla mnie i ciuszkami dla niemowlaków.

– Nie przeszkadza ci mój widok? – upewniła się. – Dawno się nie widziałyśmy...

Uśmiechnęłam się tylko. Jej piękny, ogromny brzuch wcale mi nie przeszkadzał. Miałam nadzieję, że to zaraźliwe.

Wtedy, chyba dla poprawy nastroju, wydałam prawie połowę kasy odłożonej na czarną godzinę. Nie było tego dużo, ale zawsze... Płaciłam kartą, Gośka oglądała jeszcze jakieś śpiochy, kiedy nagle usłyszałam:

– Ewa, o Boże! – Goście odeszły wody. – A Misiek we Wrocławiu!

Amelka urodziła się dwa tygodnie przed terminem. Ważyła prawie trzy kilo, miała pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, bujną czuprynę i była prześliczna!

I ja towarzyszyłam Goście przez cały czas porodu!

Świeżo upieczona mama kazała mi kupić gazetę.

– Kup „Wyborczą” i „Dziennik Bałtycki” – mówiła, usiłując spowodować, by mała ssła jej pierś. – Jak Amelka będzie miała osiemnaście lat, dam jej te gazety w prezencie. Wiesz, poczyta, kto wziął łapówkę, kto dał, kto się z kim kłóci, kto się rozwiódł... A nie, w „Wyborczej” tego nie będzie. Weź też jakąś kolorową. Potem jej jeszcze wino kupię. Rocznik dwa tysiące cztery!

Zgodnie z życzeniem, wracając do domu, poszłam do kiosku. W obu gazetach był dodatek z ofertami pracy.

Przyszłam do pustego mieszkania, zmęczona, a zarazem podekscytowana minionym dniem, zrobiłam sobie kawę w wielkim kubku, miałam taki swój ulubiony, i zaczęłam przeglądać ogłoszenia.

Po dwóch godzinach wysłałam list motywacyjny i CV w odpowiedzi na ogłoszenie, które miało być początkiem lepszego „ja”.

„Wiesz, zaczynam nowe życie”, napisałam w esemesie do Michała.

„Super! Kiedy mam przyjechać?”, odpowiedział po chwili.

„Ty znowu o jednym! Pracy szukam!”.

„Niedobrze, teraz to już w ogóle się nie spotkamy. A czekam już tyle lat”.

Uśmiechnęłam się.

Zasypiając, przed oczami miałam widok szczęśliwej Gośki z Amelką i siebie

w stukocących szpilkach, biegnącej do pracy.

„Dobranoc” – wysłałam esemesa do Michała i usłyszałam zgrzyt zamka w drzwiach.

Maciek wrócił.

Nie przyszedł do mnie powiedzieć „Dobry wieczór”.

Włączył telewizor, a po chwili rozległo się chrapanie...

Jakiś czas potem Maciek dostał od jakiejś ciotki ziemię. Była to całkiem spora, uzbrojona działka budowlana, kilka kilometrów od centrum miasta. Wszystko byłoby okej, ale tym miastem był Kraków. Miałam tylko nadzieję, że Maciek nie wymyśli budowy domu pod Krakowem. Nigdy nie chciałam wyprowadzać się z Gdańska, tym bardziej tak daleko.

Niestety, stało się inaczej. Wymyślił. Jeszcze przed rozmową ze mną rozmawiał z szefem, który się bardzo ucieszył, że może go przerzucić do filii w Krakowie. Ja się ucieszyłam nieco mniej.

Mimo to postanowił, że moje mieszkanie, czyli to, w którym mieszkaliśmy, „się sprzeda”, by mieć za co ten dom wybudować, a jego nadal będzie się wynajmować, bo „przecież ono przynosi taki pewny dochód”. Nic dziwnego, że nasze dochodu nie przynosiło, skoro w nim mieszkaliśmy... Przynosiło wręcz straty, bo przecież czynsz trzeba płacić...

Uważał, że nie będę miała nic przeciwko takiemu rozwiązaniu. Przecież to normalne, że ja, bez pracy, posiadająca jedynie swoje mieszkanie, natychmiast je sprzedam i uzależnię się w stu procentach od męża.

I miał rację. Zgodziłam się.

„Wyprowadzam się do Krakowa” – napisałam w esemesie do Michała.

„Szkoda. Będzie mi ciebie brakowało” – odpisał tylko.

„Jak to «brakowało», przecież wcale się nie widzimy”.

„Tak. Ale wciąż mamy szansę. Jak się wyprowadzisz, to ją stracimy”.

W następnych tygodniach Maciek spędzał mnóstwo czasu u różnych architektów i projektantów. Mnie w ogóle w te sprawy nie mieszał.

– Maciek, naprawdę nie interesuje cię moje zdanie? – pytałam. – Przecież to będzie NASZ dom?

Widocznie go nie interesowało. Widocznie on budował SWÓJ dom na SWOJEJ ziemi i ważne było to, aby ON się tam jak najlepiej czuł. Dowiedziałam się, że nie mam pojęcia na temat budowy domu i najlepiej, jak nie będę się wtrącać, wtedy na pewno

niczego nie popsuję.

Miałam naprawdę dość.

Jasne, myślałam czasem, że zostanę w Gdańsku, w swoim mieszkaniu, a on niech sobie wyjedzie, najlepiej daleko.

Ale przecież obiecałam. Przecież on marzył o domu. Ten dom będzie jego radością, myślałam. A dla mnie stanie się przepustką do macierzyństwa.

Właśnie wtedy zaproszono mnie na rozmowę do firmy, która miała mi umożliwić nowe życie. Nie spodziewałam się tego. Od urodzin Amelki minęły już trzy miesiące, od ogłoszenia w gazecie również, więc dlaczego dopiero teraz się odezwali?

Mąż jak zawsze mnie „wspierał”.

– Ktoś im się nie spodobał i szukają drugiego głupiego. Jakie to jest w ogóle stanowisko?

– Koordynator marketingu w wydawnictwie medycznym...

– Ewcia, i ty miałabyś coś koordynować? Jak nawet wokół siebie nic zrobić nie potrafisz? – zaśmiał się drwiąco i wzruszył ramionami. – Nawet nie umiesz sprzedać tego cholernego mieszkania! A zresztą wyjeżdżamy, to po cholere szukasz pracy?

– Wiesz co? Nigdzie nie wyjeżdżam. Sam sobie jedź do tego Krakowa. Ja zostaję – oznajmiłam mu prosto w oczy. – Nie sprzedam żadnego mieszkania – dodałam.

Wyszłam z pokoju, trzaskając drzwiami.

Popsuł mi całą radość. Wiedziałam, że sytuacja się skomplikowała, bo wyjeżdżamy, ale popsuł mi satysfakcję z tego, że miałam szansę dostać tę robotę.

Położyłam się do łóżka z płaczem.

Maciek przyszedł do sypialni chwilę później, pachnący wodą kolońską, którą dostał ode mnie na gwiazdkę. Nie położył się na sofie. Początkowo udawałam, że śpię, ale udało mu się mnie rozbudzić.

Kochaliśmy się do późna, a ja zasypiałam, czując, że jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. To przykre, że tak mało mi było potrzeba do szczęścia.

Następnego dnia, jeszcze w euforii po wspólnie spędzonej nocy, postanowiłam zrobić krok w kierunku sprzedaży mieszkania. Szef firmy, w której miałam starać się o pracę, był uchwytny dopiero po weekendzie, zatem miałam trochę czasu, by przekazać mu wiadomość, że jednak nie skorzystam z oferty. Zależało mi na tym, by zrobić to osobiście. Nie lubiłam załatwiać takich spraw, zwłaszcza przez telefon. No, ale cóż, w Krakowie też jest praca... I będzie dziecko...

Włączyłam laptopa, w wyszukiwarce wpisałam „biuro nieruchomości Gdańsk”. Wyświetliło mi kilka wyników.

Na jednej z pierwszych pozycji widniało: „Rawski Nieruchomości. Paweł Rawski i wspólnicy”.

Paweł? Paweł Rawski?

Kilkanaście lat temu znałam Pawła Rawskiego.

Paweł pojawił się w moim dorosłym życiu tak samo nagle, jak nagle zniknął, gdy byłam nastolatką.

Poznaliśmy się na obozie wędrownym w Bieszczadach. Mieliśmy po szesnaście lat i głowy pełne marzeń, planów i szczytnych ideałów.

Jakie to dziwne, że gdy człowiek jest szczęśliwy, często nawet o tym nie wie. Nie zdaje sobie z tego sprawy. Dopiero później, żyjąc wspomnieniami, zauważa, że to, co go wtedy spotkało, to było właśnie szczęście. Dokładnie tak myślę, wspominając Bieszczady tamtego roku.

Dalekie wędrówki, niezależnie od pogody, zmęczone nogi, które moczyliśmy w schronisku w wielkich miskach, jego gitara, nasz śpiew.

Tak, wtedy byłam bardzo szczęśliwa. Nie wiem, dlaczego kontakt nam się urwał. Po powrocie jeszcze tylko kilka razy się spotkaliśmy. Może on się zakochał w kimś innym? Może ja? Wiadomo, jak człowiek ma szesnaście lat, zupełnie inaczej podchodzi do życia...

Kiedyś szukałam go w internecie. Bezskutecznie. A teraz wyrzuciło mi go na pierwszym miejscu... Przez zupełny przypadek.

– Paweł Rawski, słucham. – Głos nie brzmiał znajomo, ale prawdę mówiąc, nie pamiętałam, jaki on miał głos.

Powiedziałam, że szukam pomocy w sprawie sprzedaży mieszkania. Po czym zapytałam, czy mówi mu coś nazwisko Kownacka. Ewa Kownacka.

Pamiętał. Pamiętał wszystko. I to, gdzie mieszkałam, i to, co lubiłam. Pamiętał, że kilka razy byliśmy na spacerze...

Umówiliśmy się, że jak skompletuję papiery, odezwę się do niego. Zrobiłam to wcześniej. Jeszcze tego samego wieczoru napisałam do niego mejla.

Mile mnie zaskoczyło Twoje nazwisko w internecie.

Kiedy ostatnio się widzieliśmy? Piętnaście lat temu? Szesnaście?

Jestem zdziwiona, że mnie pamiętasz. Nie ukrywam, że jest mi z tego powodu bardzo miło!

Jak będę miała skompletowane papiery, dam znać.

Ewa

Poszłam sobie zrobić kolację. Maciek już zjadł coś sam. Nigdy nie jedliśmy razem kolacji. Na początku chciałam celebrować wspólne posiłki, ale widząc, że jedynie mnie na tym zależy – odpuściłam. Ja zwykle jadłam kolację z książką, Maciek sam, stojąc przy blacie w kuchni...

Wróciłam do pokoju. Gdy popijałam gorącą herbatę, zobaczyłam, że nadszedł mejl. Od Pawła.

Miałbym Ciebie nie pamiętać? To niemożliwe! Pamiętam schronisko, ciepły barszcz z torebki w wielkim kubku. Pamiętasz? Dostałem od Ciebie kubek. Mam go jeszcze.

I to, jak śpiewałaś, a ja grałem i to, że wtedy chciałem, by ta noc nigdy się nie skończyła...

Kiedys byłem u Ciebie. Nikogo nie zastałem. Potem wypatrywałem Cię, przechodząc koło Twojego bloku – bezskutecznie.

Cieszę się, że się odezwałaś!

Uśmiechnęłam się i zaraz odpisałam.

Chwilę jeszcze czekałam na mejla od niego, łudząc się, że zaraz mi odpowie, ale tego wieczoru dostałam już tylko wiadomość informującą mnie, że na pewno marzę o nowej kolekcji bielizny, by oszołomić swojego mężczyznę.

O kolekcji bielizny marzyłam, oszołomienie „mojego mężczyzny” wydawało mi się nierealne.

Maciek już spał, następnego dnia wyjeżdżał na cały weekend do Krakowa. Bardzo chciałam się z nim tam wybrać, ale miałam być matką chrzestną Amelki i musiałam zostać. Chrzciny córki mojej przyjaciółki nie były na tyle ważne dla mojego męża, by zmienić plany.

Gośka uważała, że oczywiście to właśnie ja powinnam być chrzestną.

– Ewa, ty ją ze mną rodziłaś! Pierwsza ją zobaczyłaś! Ty musisz być chrzestną.

Oczywiście, miałam obiekcje, no bo co to za chrzestna bez ślubu kościelnego? Gośka to też załatwiła. Poszła do proboszcza i oświadczyła mu, że ona sobie nie wyobraża innej matki chrzestnej dla swojego dziecka, że ja jestem IDEALNA. I że żadnej innej nie chce.

Roztoczyła przed proboszczem wizję, jak to zgarnęłam ją w bólach porodowych spod tej półki ze śpiochami i choć wcześniej nigdy nie miałam do czynienia z automatyczną skrzynią biegów, wskoczyłam do jej mercedesa, wciągnęłam ją na tylne siedzenie, a zważając na jej gabaryty, było to na pewno nie lada wysiłkiem, i łamiąc wszystkie przepisy drogowe, pojechałam do szpitala.

– Ale ona tak zazwyczaj nie łamie! – krzyknęła, widząc, że ksiądz przewraca oczami.

– Księżo proboszczu, ona w słusznej sprawie!

Nie wiadomo, co w końcu przekonało księdza o słuszności decyzji Gośki, ale ostatecznie się zgodził.

Chrzciny miały się odbyć w leśnym kościele w Matemblewie, w którym byłam kilka razy po stracie dziecka, by pogadać z Matką Boską Brzemienią stojącą na wzgórzu w kapliczce i prosić, by mi dała jeszcze jedną szansę. Tym razem również zamierzałam ją o to poprosić.

Amelka była urocza. Tak radosnego dziecka nie widziałam nigdy w życiu. Jedynie

ilość wody, którą wylał na nią ksiądz, jej nie odpowiadała, bo oblał ją zbyt obficie. Rozpłakała się na cały głos.

Przyjęcie odbyło się w ekskluzywnej restauracji. Gośka miała gest, a jej mąż pieniądze. I, o dziwo, żyli w doskonałej symbiozie. Niemalże związek partnerski. Gośka zwykła była mówić:

– Mamy układ partnerski, Misiek zarabia, a ja wydaję!

Maciek wtedy dodawał:

– To tak jak u nas! Też związek partnerski. Moja żona gotuje, a ja jem!

To już mnie mniej śmieszyło.

Gdzieś pomiędzy przystawką, na którą składało się carpaccio z polędwicy z parmezanem, a daniem głównym (krem z pomidorów i mięso rozpływające się w ustach), oświadczyłam Goście, że się wyprowadzam. Zamarła z kieliszkiem w dłoni.

– Jak to? Dokąd?

– Do Krakowa. Maciek dostał ziemię. Będziemy się budować. – Nie mogłam spojrzeć jej w oczy.

– I jak to, zostawisz tutaj wszystko?

– Co ja mam, Gośka, zostawiać... Pracy nie mam... Mieszkanie sprzedam...

– Mieszkanie sprzedasz? Po jaką cholere? – Gośka była wzburzona.

– No... Z czegoś trzeba ten dom wybudować... A jego mieszkanie się wynajmuje...

Gośka była czerwona ze złości. Maćka nie darzyła sympatią. O wiele wcześniej niż ja przejrzała na oczy i byłaby zachwycona, gdyby Maciek sam sobie do tego Krakowa pojechał, mnie zostawiając w spokoju. Przyznam, że później bywały chwile, gdy ja również tak myślałam.

– A co z pracą? Mówiłaś, że pójdziesz na tę rozmowę.

– No tak... Ale to było, zanim podjęłam decyzję o Krakowie...

– Ty podjęłaś? Cholera, jak to ty podjęłaś? Misiek, weź Amelkę na ręce, ja muszę z Ewką poważnie porozmawiać!

Wyciągnęła mnie do holu, posadziła na krześle w stylu Ludwik XVI i zaczęła na mnie krzyżeć. Chyba wtedy pierwszy raz zadałam sobie pytanie, czy na pewno muszę jechać do tego Krakowa. Czy na pewno powinnam zrezygnować z szansy, jaką może mi dać nowa praca. Najważniejsze pytanie sobie też zadałam. I również sobie na nie odpowiedziałam. Pytanie brzmiało: „Czy jestem szczęśliwa?”.

Odpowiedź była przecząca...

Maciek wrócił w niedzielę w nocy. Zachwycony swoją ziemią, sąsiadami, Krakowem i wszystkim wokół.

Przywiózł mi obwarzanki.

Od czasu gdy powiedziałam Goście o Krakowie, coraz mniej chciałam tam jechać. Przecież... Przecież to tutaj jest mój dom, moje miejsce na ziemi...

Nie, przecież mój, a właściwie nasz dom budował się w Krakowie... Nasz dom. Chciałabym umieć się tym cieszyć.

Poniedziałkową poranną kawę piłam przed komputerem. Okruszki z obwarzanków sypały mi się na klawiaturę. Maciek tego bardzo nie lubił. Dla niego miejsce pracy musiało być nieskazitelnie czyste. Nawet kawę rzadko pił przy biurku. Mój stół był zawsze zavalony papierzyskami, bibelotami, zdjęciami...

W prawym dolnym rogu pojawiła się koperta informująca o nowej wiadomości.

Myślę o Tobie.

Uśmiechnęłam się. Paweł.

Co o mnie myślisz? – odpisałam szybko.

Wspominam, zastanawiam się, czy się zmieniłaś. Nie wiem, jaka jesteś teraz, a chciałbym wiedzieć. Chciałbym wiedzieć, czy masz tak samo chłodne ręce jak kiedyś i czy tak samo szybko potrafiłbym je rozgrzać w swoich dłoniach...

Dawno nie czytałam takich słów skierowanych do mnie. Dłoni już nie miałam zimnych. Rozpięłam bluzę i westchnęłam.

Jestem taka sama jak kiedyś, tylko dłonie mam ciepłe...

Wysłałam.

Po co? Nie wiem. Czy to już flirt? Może nie powinnam? No... Ale dlaczego, przecież ja mówię jedynie o ciepłych dłoniach... Dotknęłam swojego policzka. Zamknęłam oczy. Wtedy, w tym schronisku to on mnie gładził po policzku. Do tej pory czuję ten dotyk. Bardziej niż niejeden pocałunek w moim późniejszym, bardziej dorosłym życiu...

Pół dnia spędziłam przed komputerem, wymieniając mejle z Pawłem. Zakazany owoc? Może tylko czułe słowa.

Ten mężczyzna znał mnie kilkanaście lat temu. Czy gdyby mnie teraz spotkał, byłoby tak samo? Czy poczulibyśmy ponownie „to coś”?

Nie. Przecież mam męża. Na chwilę o tym zapomniałam i... Było mi z tym dobrze. Bardzo dobrze... Beztrosko? Tak. Beztrosko. Dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy miałam szesnaście lat...

Potem Paweł miał jakieś ważne spotkanie. Wymieniliśmy kilkaset słów, a ja nie wiedziałam o nim nic więcej, niż mogłam wyczytać w internecie.

Zjadłam ostatnie obwarzanki, wypiałam łyk kawy, który pozostał na dnie szklanki, i poszłam prasować kreację na jutrzejszy występ w roli kandydatki na szefową marketingu w całkiem sporej firmie wydawniczej.

Na tę rozmowę poszłam tylko dlatego, że Gośka kazała mi to sobie obiecać. Starła się mnie przekonać, że wyjazd do Krakowa nie jest najlepszym rozwiązaniem. Powiedziała, że mam tę rozmowę potraktować szkoleniowo.

Zatem wcisnęłam się w spodnie i żakiet, które nosiłam jakiś czas temu, gdy korporacja starała się być moim drugim domem, i udałam się do przeszklonego budynku, gdzie na drugim piętrze już na mnie czekali.

Do rozmowy podeszłam rzeczywiście „szkoleniowo”. Na luzie poprosiłam o kawę i opowiadałam o swojej byłej karierze zawodowej.

Tylko ja wiedziałam, ile przyjemności sprawiły mi ta biała bluzka, garnitur w drobne prążki i stukające obcasami czółenka. W pełnym makijażu i ułożonej fryzurze czułam się, jakbym właśnie zdobywała świat.

I właśnie tak było. Dostałam tę pracę.

Dowiedziałam się o tym już kilka dni później. Razem z Maćkiem oglądaliśmy projekt domu dostarczony niedawno przez architekta. Maciek wyjątkowo wcześniej wrócił z pracy i postanowiliśmy to uczcić zamówieniem naszej ulubionej pizzy. Wyciągnęłam wino, a gdy Maciek rozlał je do kieliszków, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos sekretarki z firmy, w której byłam na rozmowie: „Pani Ewo, serdecznie gratuluję i witam na pokładzie!”.

Miałam tę pracę.

Takiego obrotu spraw się nie spodziewałam.

– I co? Powiesz im, że nie chcesz tam pracować? – zapytał Maciek.

– Nie wiem... Zaskoczyli mnie.

– Ile kasy chcą ci dać?

– Tyle, ile zażądałam. Na wszystko się zgodzili...

Maciek wypił duszkiem wino.

– Chyba zadzwonię, powiem im, że nieaktualne... – dodałam po chwili.

– Zależy ci na tej pracy? – zapytał, patrząc znad kieliszka.

– Tak... Nie mogę już siedzieć w domu. – Pokiwałam głową – No, ale po ptakach...

Przecież jedziemy do Krakowa... – westchnęłam. – Jak tylko dom stanie... – Uśmiechnęłam się smutno.

– No właśnie, czyli za jakiś rok. Może do tego czasu tam popracujesz?

Tym zdaniem mój własny mąż mnie zaskoczył. Z całego serca pragnęłam wyrwać się z domu i pojawiła się właśnie realna szansa, że to się stanie.

Podaję, że gdyby Maciek potrafił przewidzieć skutki mojego pójścia do pracy, na pewno by mnie na to nie namawiał. Wręcz by odradzał... Tymczasem wypiliśmy

toast za mój sukces i pierwszy raz od nie wiadomo jakiego czasu poszliśmy razem do łóżka.

Rano zadzwoniłam do Gośki, która na wiadomość, że dostałam tę pracę i wyprowadzka do Krakowa dopiero za rok, zaczęła krzyczeć z radości tak, że obudziła Amelkę. Zaraz potem napisałam esemesa do Michała: „Dostałam pracę! Czuję się taka ważna!”.

„Zawsze byłaś ważna. Przynajmniej dla mnie”.

Uśmiechnęłam się. Prawie przewidziałam, co napisze.

Po chwili drugi esemes: „Co z Krakowem?”.

Napisałam mu, że Kraków za rok. Po chwili usłyszałam sygnał odebranej wiadomości. „To dobrze, może w końcu zechcesz się ze mną spotkać...”.

Nasze spotkanie miało się odbyć szybciej, niż nam obojgu się wydawało. I scenariusz tego spotkania miał być zdecydowanie inny, niż sobie wyobrażaliśmy. Przynajmniej ja. Jak często w życiu scenariusze pisze przypadek.

Gdy myślałam o Michale, zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie zadzwonił, by naprawdę się ze mną umówić... Przecież zależało mu na spotkaniu. Gdy mnie na czymś zależy, drążę temat, staram się osiągnąć cel, a on... Jedynie sygnalizował swoją chęć, a tak naprawdę czekał na moją inicjatywę. Albo na przypadek. Miał szczęście.

Nowa posada wymagała wielu zmian. Oczywiście zanim poszłam do pracy, wymieniłam całą garderobę. Dosłownie. Gośka zostawiła Amelkę babci i znowu buszowałyśmy w sklepach. Kolejne zaskórniaki wydałam w Alfa Centrum na trzy pary spodni, dwie nowe bluzki i marynarkę. Gośka nie byłaby sobą, gdyby nie namówiła mnie na buty. Jęknęłam, ale przymierzyłam. I już w nich zostałam. Jeżeli chodzi o zakup butów, Gocha miała olbrzymi dar przekonywania.

Wylądowałyśmy potem w kawiarni i piłyśmy pyszną kawę z syropem karmelowym. Gośka delectowała się wyjściem bez Amelki, a ja nie mogłam się powstrzymać, by co chwilę nie głaskać nowych ciuchów wystających z reklamówek.

– Zobacz, jakie to miękkie... – Przytuliłam policzek do marynarki. – Kurczę, chyba zaraz buty też przymierzę... – powiedziałam, wyjmując nowy nabytek z kartonu.

– Przymierz – śmiała się Gośka. – Zobacz – dodała po chwili. – Kobiety są mało skomplikowane. Wystarczą spodnie, bluzka i buty, a już nam się humor poprawia.

– Gdyby faceci o tym wiedzieli... – mruknęłam, zanurzając usta w mlecznej pianie. – Chociaż Misiek chyba wie, co?

– Eee, on też nie jest ideałem. – Gosia wzruszyła ramionami. – Nie wynosi śmieci, skarpety rzuca, gdzie popadnie, siorbie czasem... – Gosia się zamyśliła.

Ja o mało co nie wybuchnęłam śmiechem.

– Gosia, posłuchaj siebie – powiedziałam.

Gośka się roześmiała.

– Ewa – szepnęła cicho. Jej twarz zmieniła wyraz. Można nawet powiedzieć, że Gosia była przerażona. – Zobacz, kto tam jest! – Wskazała ręką na blondynkę w krótkiej spódniczce.

– O matko! Marta! – powiedziałam chyba zbyt głośno, bo blondynka się odwróciła, zmrużyła oczy w sposób typowy dla krótkowidza i pomachała nam ręką.

– Kurde, po co ona tu? – syknęła Gośka.

Niestety, dziewczyna już szybko szła w naszym kierunku.

– O Boże – jęknęłyśmy obie.

– Cześć, kochane! – Marta uśmiechnęła się rozbrajająco. Zbyt rozbrajająco, jak to potem oceniliśmy z Gosią. Gośka siliła się na uśmiech. Choć minęły już lata od czasu, kiedy Marta spotykała się z Miśkiem, Gosia wciąż była o nią zazdrosna. Do tej pory nie uzyskała od męża wyraźnej odpowiedzi, czy spał z Martą, czy nie. Intrygowało ją to do tego stopnia, że była w stanie drażnić temat przez cały dzień, aż biedny Misiek, wnerwiony, uciekał do pokoju Amelki, by tam na tapczanie, nie będąc nękany bezsensownymi pytaniami, w spokoju spędzić noc. Nawet kosztem podawania mleka co kilka godzin.

– Cześć, Marta – odpowiedziałyśmy równocześnie. Gośka nieco ciszej, bo właśnie była zajęta wciąganiem brzucha, by zrobić jak najlepsze wrażenie na byłej rywalce.

– Co za dziwny przypadek! – rzuciła z uśmiechem Marta. – Dzisiaj was tu spotykam, a w zeszłym tygodniu umówiłam się tu z Miśkiem!

– Z Miśkiem? – Gosia zrobiła się czerwona. – Z moim Miśkiem?

Widziałam zaciśnięte pięści Gośki. Próbowwała się opanować, ale nie bardzo jej to wychodziło. Marta bardzo nieudolnie udawała, że wcale jej nie cieszy reakcja Gośki.

– Nie mówił ci? – Położyła dłoń na zaciśniętej pięści Gosi. – Spotkaliśmy się we wtorek. O, widzę, że tę samą kawę pijecie. – Zajrzała mi do kubka i powąchała kawę. – Misiek właśnie taką mi zaproponował. Miał rację, że jest najlepsza. – Uśmiechnęła się i rozsiadła na krześle przy naszym stoliku.

Widziałam minę Gośki i wiedziałam, że zaraz wybuchnie.

– Miło was spotkać! Po tylu latach! – trajkotała Marta. – Co tam u was słyhać? Co u Gosi, wiem, Misiek mówił, że zrzucasz kilogramy po ciąży. – Zmierzyła Gośkę wzrokiem. – Z tego co mówił, myślałam, że gorzej wyglądasz!

Myślałam, że moja przyjaciółka zaraz Martę uderzy.

– Trochę nam się spieszy – zaczęłam. – Skoro gadałaś z Miśkiem, to o nas chyba wszystko wiesz. – Spojrzałam na jej rękę. – Nadal panienka? – Tak, chciałam być jak najbardziej złośliwa, na oczekaniu nic innego nie wymyśliłam.

Marta skinęła głową. Chciała coś powiedzieć, ale Gośka ją ubiegła.

– Nie martw się! – Zrobiła zbolalą minę. – Na pewno sobie jeszcze kogoś znajdziesz!

Marta uśmiechnęła się szeroko.

– Nie mam ciśnienia – powiedziała. – Wiesz, w naszym wieku ci najfajniejsi to już po

ślubie. – Spojrzała znacząco na Goškę. – A jeszcze się nie zdążyli rozwieść. – Wybuchnęła śmiechem.

Wstałam z fotela i wyciągnęłam rękę do Goški.

– Gocha, musimy uciekać! Już szesnasta!

Goška, nie mogąc złapać oddechu, wstała bez słowa, łypiąc morderczym wzrokiem na Martę, która sobie z tego nic nie robiła. Udawała, że wcale nie dostrzega złowrogiego spojrzenia.

Wstała.

– Pa, dziewczyny. – Musnęła ustami powietrze gdzieś w okolicy moich uszu, rzuciła się, by to samo zrobić z Gosią, która z obrzydzeniem na twarzy się usunęła, i pobięła gdzieś, stukając obcasami.

– Na kawie z Miśkiem? – Gocha sapała ze złości. Usiadła z powrotem w fotelu. – Już się pożenili, a jeszcze nie rozwiedli – powtórzyła, parodiując Martę. – Głupia cipa – syknęła. – Cholera, Ewa, czy wszyscy mężczyźni na świecie to dupki? Twój do niczego, ale chociaż za babami nie lata.

Gosia zgasła. Poszarzała, siedziała skulona. Po dziewczynie pełnej energii nie było śladu.

– We wtorek? – Zamyśliła się. – Co ja robiłam we wtorek?

Głaskałam Gosię po dłoni. Byłam pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie, jakoś nie wyobrażałam sobie Miśka, który prowadzi podwójne życie.

– Szczepienie Amelki – powiedziała nagle Gosia, jednocześnie dzwoniąc do Miśka.

– Co? – zapytałam.

– Szczepienie Amelki. We wtorek byłam na szczepieniu – mówiła. – Zadzwoniłam do Miśka i powiedział, że nie może rozmawiać, bo jest na spotkaniu. I kurna, był na spotkaniu. Niewątpliwie! Nie odbiera – dodała po chwili i wrzuciła telefon do torebki.

– Gosia...

– Spoko. Jak chce się z nią spotykać, niech spada. – Wzruszyła ramionami. Wyciągnęła puderniczkę z torebki i nerwowo poprawiała makijaż.

– Gocha, zrozum, może to wcale nie było tak!

– Taa... – Po raz kolejny wybrała numer męża. – Znowu nie odbiera! Jestem ciekawa, z kim teraz jest na spotkaniu!

– Gocha...

Nie bardzo wierzyłam, że zapatrzony w Goškę Misiek może ją z kimkolwiek zdradzić, a tym bardziej z Martą. Nie mieściło mi się to w głowie. Niestety, nim się rozstałyśmy, Gocha ułożyła sobie już cały plan przyszłego życia. Samotność z Amelką, wyprowadzka, alimenty, odwiedziny... Odprowadziłam ją do samochodu, wydawała się bardzo drobna, gdy tak siedziała ze spuszczoną głową na fotelu w swoim mercedesie.

Wróciłam do domu. Maćka, jak zwykle, nie było. Zrobiłam sobie kawę, rozłożyłam zakupy na tapczanie, na nogi włożyłam nowe buty. Rozmyślałam.

Wydawało mi się nieprawdopodobne, że świat Goški mógłby się zawalić. Idealna

rodzina. Gosia, Misiek, Amelka. Kupa kasy, mnóstwo miłości i szczęścia. Jeżeli im się nie uda, stracę wiarę we wszystko. W życie, w miłość, w mężczyzn.

Cały czas miałam przed oczami Martę mówiącą, że ci najfajniejsi to już dawno się ożenili, a jeszcze nie zdążyli rozwieść. Czyżby chodziło jej o Miśka?

Zaczęłam rozmyślać o swoim małżeństwie. Jedno wiedziałam na pewno: Maciek mnie nie zdradza. Może to wystarczy, by budować związek? On nie ma czasu na nic innego poza pracą. Na inne kobiety również. Zadzwoiłam do męża

– O której będziesz? – spytałam.

– Zbieram się.

– To dobrze – powiedziałam. – Może sobie jakiś film razem obejrzymy?

– Okej, zobaczymy. Kończę, muszę jeszcze coś zrobić. Zaraz będę. Pa.

– Pa.

Tego dnia, w przeddzień mojego pierwszego dnia pracy, spędziliśmy razem bardzo miły wieczór. Maciek wyciągnął wino, w telewizji leciał oglądany po raz dwudziesty, a wciąż tak samo śmieszny „Miś”, a my siedzieliśmy na kanapie i po raz pierwszy od nie wiadomo jakiego czasu coś wspólnie robiliśmy. Oglądaliśmy telewizję.

Prawdę mówiąc, chciałam, by wieczór trwał i trwał. Jasne, gdzieś tam w podświadomości martwiłam się Gośką, jednak wiedziałam, że kryzys jej związku jest bardzo mało prawdopodobny.

Położyłam się spać tuż przed północą. Wcześniej na krześle ułożyłam ubranie na następny dzień. Wyciągnęłam ze szkatułki kolczyki, z szafy apaszkę. Przygotowywałam się do pracy niczym na ważne spotkanie. To „spotkanie” było dla mnie ważne. Miało otworzyć mi drogę do lepszego samopoczucia, z czego doskonale zdawałam sobie sprawę.

Około trzeciej w nocy obudził mnie esemes. „Wszystko ok. Nie zdradza mnie. Marta to wariatka”. Uśmiechnęłam się i zasnęłam z komórką w dłoni.

Obudził mnie głos męża.

– A ty na którą idziesz? Nie wstajesz?

– Która godzina? – Zerwałam się z łóżka i spojrzałam na zegarek. – Boże, wpół do! Podwieszysz mnie? Kurczę, musiałam wyłączyć budzik w telefonie. – Miotalam się po pokoju, próbując włożyć bieliznę, spodnie. – Maciek, podwieszysz mnie?

– O, Jezu, nie możesz pojechać tramwajem? – Robił sobie kawę w kuchni.

– Maciek! Proszę cię! Zaspałam! – Już byłam prawie gotowa. Makijaż, kolczyki, nowe buty włożone. – Maciek!

Prosiłam go jeszcze kilka razy, W końcu, naburmuszony, wyzywając mnie od niezaradnych życiowo i nienadających się do niczego bab, powiedział, że łaskawie mnie podwiezie. W czasie drogi swoje epitety powtórzył jeszcze kilkakrotnie, zaraz na samym początku, więc w zasadzie większość trasy upłynęła nam w milczeniu.

Po miłym wieczorze poprzedniego dnia nie pozostało nawet wspomnienie. Starając się zapomnieć o tym, że jestem „nienadającą się do niczego babą”, do firmy weszłam

przed ósmą. Z każdym krokiem i z każdym odgłosem stukotu swoich szpilek czułam się coraz bardziej szczęśliwa.

Jeszcze w domu, obłożona rozlicznymi motywacyjnymi lekturami, typu „Grzeczne dziewczynki nie awansują”, postanowiłam być pracownikiem roku. Czułam, że mi się uda.

I co najważniejsze, miałam rację.

Tego pierwszego dnia, mimo niezbyt sympatycznego poranka, pełna energii wkroczyłam do biura. Przejrzałam papiery, porozmawiałam, z kim trzeba, i miałam ogólny zarys sytuacji. Nie powiem, że się nie bałam. Bałam się, i to bardzo. Wewnątrz wręcz dygotałam z przerażenia.

Czułam jednak, że jestem we właściwym miejscu. Trzeba będzie wziąć się solidnie do roboty, by to wszystko ogarnąć. Ale komu się uda, jeśli nie mnie? Nikomu.

Maciek nawet nie zapytał, jak było. Nie wykazał normalnego ludzkiego zainteresowania, jak mi poszło pierwszego dnia w pracy.

Wróciłam przed nim. Akurat gdy podgrzewałam obiad, który jako przykładna żona przygotowałam poprzedniego dnia, usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Poszłam otworzyć.

Gdy zdjął garnitur i przebrał się w dres, zajął do kuchni.

– Nie ma obiadu?

– Jest.

Nałożyłam jedzenie na talerze i usiedliśmy przy stole. Gdy zjadł w kompletnym milczeniu ostatniego kotleta, zapytałam:

– Nie zapytasz, jak było?

– Jak było? – powtórzył mechanicznie.

– Super – odpowiedziałam.

– Aha.

Koniec. To była cała rozmowa dotycząca mojego pierwszego dnia w nowej pracy. Włożyłam talerze do zmywarki, wzięłam książkę, telefon i poszłam do sypialni.

Po chwili zadzwoniła Gośka.

– Cześć, gazelo biznesu! – zawołała wesoło. – Z tej strony matka Polka karmiąca! I jak było?

– O matko, Gocha! – zaczęłam się śmiać. – Matko Polko karmiąca! Widzę, że humor dopisuje, zatem z Miśkiem okej?

– Okej, okej, pisałam ci w nocy. Rozvodu nie będzie. Ale ty mów! Misieeek, weź Amelkę na chwilę! Dobra, już. Słucham.

Cała Gośka.

Opowiedziałam jej ze szczegółami co i jak. Gośka entuzjasmowała się moją pracą nie

mniej ode mnie. Zadała setki pytań na tematy biznesowe, a potem jeszcze wypytała o to, kto nosi jakie buty, czy już wiem, która babka jest kochanką prezesa oraz z kim jadłam lunch. Wreszcie opowiedziała mi o Miśku.

– Ewa, pognałam do domu, nawet nie wstępując po Amelkę. Zostawiłam ją mamie. Przyszłam i zaczęłam go od wejścia opierdzielać. Wiesz, jak ja potrafię, prawda?

Wiedziałam. Nie chciałam być w skórze „opierdzielanego”.

– No i okazało się, że Marta to wszystko sobie wymyśliła. Rzeczywiście spotkali się w Galerii, ale przez przypadek, a nie celowo. I to ona zaprosiła go na kawę, ale on zapłacił, bo przecież nie wypadało inaczej. Tylko jednego mu nie zapomnę, tego, że powiedział, że się muszę odchudzać, bo gruba jestem.

Roześmiałam się.

– No co. Walczę przecież, prawda?

– Walczysz, walczysz – przytaknęłam.

– A, Ewka, jakie było godzenie!!! – Gosia się rozmarzyła.

– Uważaj, żeby Amelka nie miała brata!

– Uważam, uważam. A jak Pan Mąż? – Gosia często tak złośliwie nazywała Maćka. Jakże trafny był ten epitet.

– Śpi.

– No tak, grzeczna żonka podała obiadek i Pan Mąż zasnął. Ach, on to ma rajskie życie!

Praca stała się dla mnie wszystkim. Odskoknią od codzienności.

Zaczęłam traktować ją jak kochanka, dla niej chciałam pięknie wyglądać, dla niej chciałam żyć. Już nie miałam pretensji do męża, że spędza dużo czasu w biurze. Byłam zbyt zmęczona, by rozmawiać. Może już wtedy przestało mi zależeć?

Często zostawałam po godzinach, wychodziłam z biura, gdy było już ciemno. Ku mojemu zaskoczeniu Maciek często siedział już w domu.

– Nie ma dziś obiadu? – pytał.

– Jest, rosół.

– Sama zupa? Znowu obiadu nie zrobiłaś. – Brał kanapkę, robił sobie herbatę, zamykał się w pokoju, a ja, przeglądając raporty ze sprzedaży, jadłam rosół, który ugotowałam poprzedniego dnia.

Fakt, nie byłam żoną idealną. Żony idealne mieszkają w Afryce. Mówi się, że kobiety afrykańskie mają po osiem rąk, by sobie mogły poradzić ze wszystkimi obowiązkami. Jedną ręką winny pracować, drugą gotować, potem zmywać, sprzątać, pielnić w ogródku, szyć, bawić dzieci i jeszcze dogadzać mężowi. Do afrykańskiej żony było mi daleko.

Kiedyś miałam aspiracje, by sprostać ideałowi żony, któremu hołdował mój mąż. Pichciłam obiady dwudaniowe, szykowałam deser. Wracałam zmęczona, obładowana

zakupami, by przygotować obiad lub ciepłą kolację.

Przeszło mi w momencie, kiedy po raz kolejny zrobiłam obiad, którego by się nie powstydział niejeden mistrz kuchni, i który wyglądał jak z ekskluzywnego czasopisma, a mój mąż zjadł go, nic nie mówiąc. Ledwo zerknął na talerz znad papierów, które właśnie przeglądał.

– Smakuje ci? – pytałam.

– No tak, a czy ja coś mówię?

– No właśnie nic nie mówisz...

– Smakuje, gdyby było inaczej, przecież bym powiedziała...

Jasne, mówił tylko o rzeczach, które mu nie pasowały. Nie skomplementował nowej fryzury, nie pochwalił obiadu. Ale jeżeli go nie było, natychmiast mi to wypominał.

Na początku bardzo się starałam. Kuchnia lśniła czystością, z podłogi można było jeść. Jednak gdy coraz częściej widywałam stół usmarowany keczupem, a podłogę zabrudzoną błotem traperek Maćka, przestałam się starać.

Mieliśmy zatem więcej tematów do rozmowy. A raczej do kłótni.

Jasne, gdy nie pracowałam, cały dom spoczywał na moich barkach.

– Nic w tym domu nie robisz! – słyszałam często.

– Pomógłbyś mi trochę... – prosiłam nieśmiało.

– Ja zarabiam pieniądze! – ucinał dyskusję.

Czasem wydaje mi się, iż Maciek uważał, że jedyną rolą męża jest zarabianie pieniędzy. Gdyby jeszcze zarabiał po to, by żyło nam się lepiej i przyjemniej. Nie. Dla niego pieniądze były celem samym w sobie, nie środkiem, który pomagał osiągnąć cel.

Maciek miał wizję licznych kataklizmów, które nawiedzą naszą rodzinę i zostaniemy bez grosza przy duszy. Pracował nieustannie, by zapewnić nam godziwy byt podczas tych masowych klęsk żywiołowych, które przewidywał.

Pieniądze oraz to, co za nie kupił, były dla niego najważniejsze. Mąż mój bardzo szanował swoje rzeczy. Ale w zasadzie tylko te, na które ciężko zapracował. Rysa na wypielegnowanym samochodzie doprowadzała go do kilkuniedniowej depresji, to samo było z kinem domowym, którego prawie nie mogłam dotykać.

Czasami sobie myślę, że gdyby wykupił mnie od ojca za czterdzieści wielbłądów, również by szanował. I dbałby o mnie. I pielęgnował.

Taki Beduin, na przykład, jak chce się żenić, idzie do ojca wybranki i zaczyna się targować. Żeby negocjacje były w miarę uczciwe i chętny do żeniaczki wiedział, za co płaci, ojciec panny młodej pozwala jej ten jeden raz odsłonić twarz. Jeżeli wybranka jest piękna, zostaje „sprzedana” nawet za sto wielbłądów. Te brzydsze są o wiele tańsze. Myślę, że za mnie mój ojciec mógłby spokojnie dostać sto wielbłądów. Nie targował się. Niestety.

Na północy Ghany żonę można kupić za kilka krów, a w Etiopii za czterdzieści. Podejrzewam, że gdyby Maciek mnie kupił nawet za kilka krów, nasze życie byłoby o niebo lepsze.

Po to, by zarobić te swoje wielkie pieniądze, mój mąż z biura wychodził ostatni, a czasem nawet wcale nie wychodził, drzemał na kozetce w swoim gabinecie, by następnego dnia, znowu nieskazitelny, inteligentny i elokwentny stawić czoło kolejnym ważnym personom na służbowych spotkaniach. Noce w biurze same podpowiadały gotowe scenariusze.

Moje przyjaciółki twierdziły, że Maciek ma romans. Wszystkie, co do jednej. No, może z wyjątkiem Gośki, która uparcie twierdziła, że żadna by go nie chciała.

Ja z kolei wiedziałam, że Maciek nie byłby zdolny do romansu. Nigdy w życiu by mnie nie zdradził. Nie dlatego, że mogłabym cierpieć, ale po prostu by mu się nie chciało. Za dużo energii musiałby zainwestować w nowy związek, a przecież wolał skoncentrować się na zarabianiu pieniędzy na czarną godzinę. Co też robił. Nieustająco.

A ja nieustająco siedziałam sama w czterech ścianach, popijając czerwone wino, zajadając smutki czekoladą i tyjąc. Ale on przecież TYLKO pracował. Nie zdradzał mnie. Ideal. Nie mąż.

To przecież ja byłam tą złą, tą niedobrą, której nie wystarczało, że z człowiekiem, z którym mieszka, łączy ją tylko mały papierek formatu A5, na którym widnieje napis „Akt ślubu”.

Czasem marzyłam, by dał mi choć jeden konkretny powód, dla którego mogłabym kazać mu spakować manatki i się wynosić. Jednak mąż idealny nie daje takich powodów. Mąż idealny, taki jak mój, zabija miłość powoli. Codziennie dolewa kroplę trucizny, której odrobina nie szkodzi, ale gdy jest jej więcej, ma działanie śmiertelne...

Praca nabierała dla mnie coraz większego znaczenia. Zastępowała mi męża i kochanka. Pozwalała gromadzić środki, by kiedyś uciec. Tak. Też w ten sposób o pracy myślałam. Kiedyś uciec i zacząć od zera.

Coraz częściej uciekałam w świat wspomnień, a mejle od Pawła powodowały we mnie dreszcz emocji.

Pamiętasz, jak wtedy, o czwartej rano przyszedłem do waszego pokoju i śpiewałem ci *Bluesa o czwartej nad ranem* Starego Dobrego Małżeństwa? Teraz myślę, że te słowa są jeszcze bardziej prawdziwe...

Czemu cię nie ma na odległość ręki?

Czemu mówimy do siebie listami?

Gdy ci to śpiewam – u mnie pełnia lata.

Gdy to usłyszysz – będzie środek zimy.

Ewa, właśnie, czemu mówimy do siebie listami? Może... Mnie odwiedzisz?

Paweł

Ten mejl spowodował, że pół nocy siedziałam przed komputerem i na YouTube słuchałam tej piosenki... Przyznam, że ze łzami w oczach. Trawiła mnie tęsknota za tym, co było, a znikło bezpowrotnie. Miałam wrażenie, że świat już się dla mnie skończył. Chociaż miałam dopiero trzydzieści lat, czułam, że nic dobrego w tym życiu nie może mnie już spotkać. Już nikt nie zaśpiewa mi Bluesa o czwartej nad ranem, nikt nie obudzi mnie w środku nocy, by mnie przytulić, pogłaskać, nikt nie powie mi sam z siebie, że jestem super.

Stałam przed lustrem, uśmiechnęłam się do siebie i powiedziałam: „Ewcia, jaka ty fajna jesteś. Skoro nikt ci tego nie mówi, sama musisz”. Potem położyłam się obok śpiącego już Maćka i szybko zasnęłam.

Dopiero rano, gdy pijąc poranną kawę, przeczytałam jeszcze raz mejl od Pawła, zobaczyłam wyraźne zaproszenie: „Może mnie odwiedzisz?”. Sprzedaż mieszkania przecież przesunęliśmy z racji przeprowadzki spodziewanej najwcześniej za rok, a biorąc pod uwagę kłopoty, jakie mieliśmy przy budowie domu, być może za dwa lata, więc nie bardzo mieliśmy pretekst do spotkania. Przyznam, że nie miałam nawet takiej potrzeby.

W naszych listach nie było terażniejszości. Nie wiedziałam, czy Paweł ma żonę, dzieci... Nie wiedziałam nic poza tym, że prowadzi agencję nieruchomości „Rawski i wspólnicy”, a on nie wiedział nic poza tym, że mam męża i plany związane z wyprowadzką do Krakowa.

Nasze mejle były pozbawione prywatności. Pisaliśmy o swoich wspomnieniach, o marzeniach, jakie kiedyś mieliśmy. Tak mi było dobrze, nie potrzebowałam więcej. Żyłam w jakimś wymyślanym świecie, w którym ktoś mi mówił, że byłam piękna i byłam czyjąś inspiracją, i to mi na razie wystarczało.

Równolegle prowadziłam też korespondencję esemesową z Michałem. W tym wypadku wiedzieliśmy o swoim życiu wszystko. On o moim nie do końca szczęśliwym małżeństwie, ja o tym, że jemu również w życiu nie wyszło. O tym, że „żona go nie rozumie, że wcale ze sobą nie śpią”, również zostałam poinformowana.

Michał był kołem ratunkowym, gdy dopadł mnie smutek, gdy miałam ważny dzień w pracy. Przechowywałam te jego esemesy: „Dasz sobie radę!”. W chwilach zwątpienia były nieocenione.

Zwykle nie rozmawialiśmy przez telefon. Kiedyś zadzwonił w czasie zebrania. Nie mogłam rozmawiać. Potem oddzwoniłam, rozmowa się nie kleiła.

Czasem tak jest, że możemy z kimś pisać długie mejle, rozmawiać przez internet, a gdy widzimy się na żywo, czar pryska. Z Michałem aż tak źle nie było. Zналиśmy się przecież już kiedyś, a teraz tylko odnowiliśmy kontakt. Jednak, rozmawiając z nim, czułam się niezręcznie. Spotkania nie potrafiłam sobie wyobrazić. Rozmowy w cztery oczy... Bo niby o czym? O tym, że mnie kochał? Czy o tym, że mu się małżeństwo sypie? O jego dziecku rozmawiać nie mogłam. Z wiadomych względów.

Kiedys zadzwonił i chciał się spotkać. Bardzo nalegał.

– Michał... Po co? – spytałam. – To nie ma sensu.

– Chcę cię po prostu zobaczyć – odpowiedział.

– Wyślę ci zdjęcie – zażartowałam.

– Super, czekam! – powiedział po prostu.

– Michał, no co ty? – roześmiałam się. – Naprawdę chcesz moje zdjęcie? Ja... Ja...

Od czasu kiedy się widzieliśmy, bardzo się zmieniłam.

– Nieważne. Wiesz, że to nieważne

– Michał, nie mam aktualnych zdjęć. Ostatnio chowam się przed aparatem... – To była prawda. Przez ostatni okres unikałam fotografów. – Nie lubię teraz siebie, nie czuję się atrakcyjna.

– Wiesz... Ja myślę, że nie wyglądasz źle. To chyba niemożliwe. Po prostu nie masz nikogo, dla kogo mogłabyś być piękna.

– Michał... No... Maciek jest...

– Kiedy ci ostatni raz powiedział, że mu się podobasz? Dzisiaj rano, czy rok temu?

Michał miał rację. Miał cholerną rację. Mój mąż wcale mnie nie zauważał, mogłabym przyjść do niego łyśa i nawet by tego nie spostrzegł.

– Ech... – westchnęłam. – Może masz rację.

– Widzisz...

– Wiesz, co czasem myślę? Myślę, że dla zdrowia psychicznego i harmonii w związku małżeńskim trzeba by sobie znaleźć kochanka. Wtedy wszyscy byliby zadowoleni. I żona, bo adorowana, szczęśliwa, i mąż, bo żona nie zrzędzi, jest wesoła i uśmiechnięta.

– I kochanek...

– No tak, kochanek też szczęśliwy – roześmiałam się.

– Zależy.

– Jak to zależy?

– Jak kocha, to niezbyt.

– To trzeba znaleźć takiego kochanka, który tylko pożąda. Reflektujesz? – zażartowałam.

– Wiesz, ja jestem jak baba, ciężko mi oddzielić seks od miłości.

– Kurczę, to szukam innego!

– No dobra... A co z naszym spotkaniem? – Wydawało mi się, że w przeciwieństwie do mnie, wcale go ta rozmowa nie bawi.

– Nie wiem...

Rzeczywiście, nie wiedziałam. Do czego takie spotkanie mogłoby prowadzić? Do niczego. Nie potrzebowałam spotkań, prawdę mówiąc, nie miałam na to czasu. Codziennie praca, wieczorami Gośka wyciągała mnie na męczarnie fizyczne. Sama chciała zrzucić pociągowe kilogramy i twierdziła uparcie, że mnie się to też przyda.

Nie miałam czasu na spotkania przy kawie, czy, nie daj Boże, w łóżku innego

mężczyzny. Seks prawie przestał mi być potrzebny, ten jeden raz na jakiś czas, gdy mój mąż miał dobry humor i nie był wyjątkowo zmęczony, w zupełności mi wystarczał.

Miałam pracę. Do pracy czasem też wkładałam koronkową bieliznę i szpilki. To powodowało, że czułam się ważna.

Na wyraźną propozycję Pawła nie odpowiedziałam. Dalej wymienialiśmy sobie mejle nasycone wspomnieniami.

W pierwszą delegację pojechałam w czerwcu.

Czułam się, jakbym wyjeżdżała na wakacje, co najmniej na Wyspy Kanaryjskie albo do Portugalii, a jechałam tylko do Warszawy. W zasadzie nie „jechałam”, ale leciałam. Już samo to, że leciałam samolotem, wprawiało mnie w stan euforii. Ostatni raz wybrałam się tak z Mackiem do Turcji, sto lat temu. A właściwie zaraz po tym, jak zaczęliśmy być razem.

Samolot, hotel, nawet program konferencji, na którą leciałam, powodowały, że chciało mi się żyć. Oprócz garsonki, kilku bluzek, piżamy, znalazła się w mojej walizce nieśmiertelna mała czarna, w której dzięki Goście i jej wywlekaniu mnie na te ekscesy sportowe znowu wyglądałam bardzo dobrze. Kobiety winny dziękować codziennie Coco Chanel za tak uniwersalny ciuch.

W samolocie usiadłam obok grubego biznesmena, który natychmiast wyciągnął skórzany kalendarz i zaczął coś notować. Zamknęłam oczy i szybko przełykałam ślinę, gdy samolot wzbijał się w niebo. Na moim sąsiedzie lot nie robił zupełnie wrażenia. Obserwowałam go kątem oka, odmawiając zdrowaśki i przypominając sobie wszystkie niedokończone zadania na tym padole łez, kiedy przyszła stewardesa, przyniosła kawę, małe ciasteczko i już znowu trzeba było zapinać pasy, bo lądowaliśmy.

W Warszawie nadal czułam się jak na wakacjach. Zawsze lubiłam wędrować z plecakiem, prosto przed siebie, albo podróżować zwinięta w kłębek pociągami jadącym gdzieś bardzo daleko. Za czasów studenckich można było sobie pozwolić jedynie, by zapakować do plecaka dwie pary dzinsów, ciepły polar i z wyciągniętą ręką stać przy szosie, by złapać okazję do pięknych miejsc w Europie. Potem, gdy pieniędzy było więcej, nie było czasu... Ironia losu, prawda? Dużo czasu mają ci, co nie mają pieniędzy. Jak już masz pieniądze, okazuje się, że całe twoje życie to ich zarabianie. Nie masz już wolnej chwili na nic innego, nawet na to, by te pieniądze wydawać...

Ja nawet miałabym czas, by gdzieś pojechać, ale jeszcze nie dojrzałam do tego, by robić to sama. Maciek nie mógł sobie pozwolić na urlop, ja zostawałam z nim.

– Jak ja nie mogę, sama nie pojedziesz – mówił. – Żona powinna siedzieć z mężem, a nie szwendać się samopas.

Zatem nie szwendałam się samopas. Urlopy spędzałam w domu.

Teraz naprawdę chłonełam całą sobą wszystko wokół. Nawet te małe mydełka i miniaturowe buteleczki z szamponem powodowały, że się do siebie uśmiechałam.

Spojrzałam przez okno na Warszawę nocą, rozświetloną neonami, latarniami ulicznymi i światłami pędzących samochodów.

Samotność w wielkim mieście. Byłam sama i było mi dobrze.

Niby w Gdańsku też nieustająco byłam sama, ale jednak ta samotność poza domem była zupełnie inna. Wzięłam do ręki folder reklamowy hotelu. Sauna, jacuzzi... Dlaczego nie?

Poczułam się, jakbym tej nocy mogła pływać się w luksusie.

Zarzuciłam szal, bo noc była chłodna, i wyszłam z hotelu. W barze kanapkowym w tunelu kupiłam sobie kanapkę z tuńczykiem, w sklepie nocnym jedno wino i wróciłam do pokoju.

„Jestem na wakacjach”, napisałam do Michała.

Zaraz potem zadzwoniłam do męża, czując się w obowiązku poinformować go, że zajechałam cała i zdrowa. Maciek nie odbierał.

„Sama?”, przeczytałam w telefonie.

„Z kochankiem”, odpisałam, pijąc wino z kieliszka, który znalazłam w hotelowej szafce.

„Szkoda, że ja nim nie jestem”, odparł.

„Żartuję. Jestem sama w Warszawie, mam wino. Przyjedź”, zażartowałam.

Zdażyłam wypić już jedną trzecią butelki.

„W Warszawie? Gdzie?”.

„Novotel”, odpisałam i poszłam pod prysznic.

Gdy wróciłam do pokoju, czekał na mnie esemes.

„Jestem na dole w barze. Czekam”.

Przeczytałam go jeszcze raz. Wybrałam numer Michała i zadzwoniłam.

– Ewa mówi... Żartujesz...

– Nie, nie żartuję – powiedział. – Naprawdę jestem w Novotelu. Mam nadzieję, że ty też.

– No... Ja też... Co ty tu robisz?

– Konferencja – odparł. – Może jednak zejdziesz, to pogadamy. – Słysząc było, że się uśmiechnął.

– Michał, poczekaj chwilę. Wysuszę włosy, bo właśnie wyszłam spod prysznica. Poczekasz?

– Tyle lat czekałem, to poczekam te pięć minut. – Zaczął się głośno śmiać.

Odłożyłam słuchawkę, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. W Gdańsku mieszkaliśmy kilka kilometrów od siebie, nigdy nie było okazji do spotkań, a tu nagle taki zbieg okoliczności. Wytarłam włosy ręcznikiem, wgniotłam w nie trochę pianki, nawet nie musiałam ich czesać. Zaleta kręconych włosów. Zastanawiałam się nad małą czarną, lecz wybrałam dzinsy. Z bluzki z dekoltem

jednak nie zrezygnowałam. Upchnęłam piersi w staniku push-up, zrobiłam delikatny makijaż, spryskałam się perfumami i szybko wybiegłam z pokoju. Denerwowałam się jak przed pierwszą randką.

Michał stał na dole, ze szklanką w dłoni.

– Tylko woda mineralna? – spytałam, by powiedzieć cokolwiek. Ciężko jest znowu nawiązywać znajomość po kilku latach...

– Na razie woda. – Pocałował mnie w policzek. – Czego się napijesz?

– Wiesz co? Ja bym chciała jakiegoś drinka z palemką – odparłam wesoło. – W domu takich nie pijam.

– Koniecznie z palemką? – zapytał mnie i uśmiechnął się w stronę barmana.

– Koniecznie. – Odwzajemniłam uśmiech. – Inaczej wracam do pokoju.

– Musi pan coś wykombinować – powiedział Michał. – Za długo na nią czekałem.

Dostałam drinka z palemką. Niejednego. Potem palemki zostały zastąpione parasolkami, ale obiecałam, że mimo wszystko nie ucieknę.

Potem przenieśliśmy się do mnie do pokoju. Ile można pić drinki z palemkami i parasolkami.

Tam opowiedzieliśmy sobie chyba całe swoje życie. Ja o mojej potrzebie bycia kochaną i o mężu, który tej potrzeby nie zaspokajał. Michał o żonie, która zimna jak lód czekała jedynie na przynoszone przez niego pieniądze, oraz o Julce, która rozświetlała cały jego świat.

– Ty masz przynajmniej córkę... – westchnęłam. – Wiesz, że poroniłam?

– Nie wiedziałem. Przykro mi...

– Teraz już dobrze. Minęło trochę czasu. Ale nadal marzę o dziecku.

– To na co czekasz? Czekacie? – poprawił.

– Nie wiem. Na dom w Krakowie, na przeprowadzkę, na moją stałą umowę w pracy...

– Chyba sama nie bardzo wierzysz w to, co mówisz? – zapytał. – Prawda?

– Nie wiem...

Jednak wiedziałam. Właśnie wtedy uzmysłowiłam sobie, że te wszystkie warunki spełnienia mojego marzenia zostały postawione tylko i wyłącznie przez Maćka. Pamiętam tę ostatnią awanturę, po której straszyla go, że jak nie dziecko z nim, to z kimkolwiek innym. Drwiąco się wtedy uśmiechnął, złapał mnie za oponkę na brzuchu i zapytał, czy jestem pewna, że łatwo mi będzie znaleźć takiego, co będzie mnie chciał...

Nigdy nie uderzyłam mężczyzny. Wtedy miałam ochotę. Teraz nawet żałuję, że tego nie zrobiłam. Jak i wielu innych rzeczy.

Nie zrobiłam tego, zamknęłam się jedynie w łazience, puściłam wodę, by nie słyszał,

że płaczę. Myślałam, że już doszłam do siebie po stracie dziecka... Niestety. Nie było to łatwe. Staralam się z całych sił zapomnieć. Wmówić sobie, że to nie ja. Że to jakaś inna Ewa Malicka była w ciąży, poroniła i po zabiegu przytulała się do pielęgniarki. Prawie mi się to udało. Jak widać „prawie” robi wielką różnicę.

Gdy straciłam dziecko, dostrzegłam ku swojemu zaskoczeniu, że nie byłam jedyną na tym świecie, której się to przytrafiło. Zauważyłam, że przeważają dwie formy radzenia sobie z tym problemem. Pierwsza to oplakiwanie fasolek, fasolinek, stawianie wirtualnych nagrobków na specjalnie do tych celów stworzonych witrynach internetowych i sygnaturki w mejlach z podpisami mówiącymi o kolejnych aniołkach w niebie.

Ja tak nie mogłam. Zameczyłabym się na śmierć, ciągle wracając do przeszłości. Powiedziałam sobie wtedy „dosyć”. Zapominam, nie pamiętam, nie chcę o tym myśleć!

I nie myślałam. Przynajmniej sama przed sobą tak udawałam.

Dopiero takie chwile, jak tamta awantura, przypominały mi wszystko i wtedy bolało o wiele bardziej.

– Jesteś z nim tylko dlatego, by mieć dzieci? – usłyszałam kiedyś od Gośki. – Kochana, dziecko, to ty sobie możesz zrobić z kimkolwiek. – Pstryknęła palcami w powietrzu – ot tak!

Jasne. Nie po to mam męża, rodzinę, by sobie dziecko z kimkolwiek robić. Gośka nie miała racji. Fakt, już jakiś czas temu przekonywała mnie, żebym zostawiła Maćka i poszukała sobie kogoś, z kim naprawdę chciałabym być. Nie tylko ze względu na dzieci, których nie ma.

Ale tak. Po prostu. Być i cieszyć się życiem.

Mój mąż nigdy nie cieszył się życiem. Czasem miałam wrażenie, że to życie dla niego jest jedynie przykrym obowiązkiem, który należy wypełnić, krocząc po tej wyboistej i wielce nieprzyjemnej drodze do grobu.

Maciek chyba całe swoje życie, a przynajmniej życie ze mną, kierował się mottem „memento mori”. Czasem żartowałam, że powinien to sobie na piersi wytatuować... On nie cieszył się życiem, ale wszystko robił po to, by było mu dobrze w momencie, gdy już będzie tej śmierci blisko.

Kiedyś przeczytałam, że „są ludzie, którym szczęście mignie tylko na moment, na moment tylko się ukazuje, po to tylko, by uczynić życie tym smutniejszym i okrutniejszym”. Do takich ludzi należał mój mąż.

Byłam tego pewna.

Tamtej nocy w Warszawie rozmawialiśmy z Michałem do świtu. Potem został.

– Nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała – powiedział.

Spaliśmy razem. Przytuleni jak starzy, dobrzy przyjaciele, którzy właśnie zwierzylimy sobie ze swoich sekretów oraz pragnień. W nocy wydawało mi się, że Michał mnie gładzi po włosach. Nie wiem jednak, czy to był sen, czy było tak naprawdę.

Obudziłam się, czując na sobie jego wzrok. Uśmiechnęłam się.

– Zaspaliśmy – powiedział. – Ale jeszcze zdążysz na to, co cię najbardziej interesowało. Dobrze się przy tobie zasypia i dobrze się budzi – dodał.

Uśmiechnęłam się.

Dopiero kiedyś, o wiele później Michał mi powiedział, że tamtego poranka był chyba jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

Pamiętał nasze rozmowy jeszcze z czasów, gdy nie było żadnych zobowiązań, dzieci, mężów, żon... Pamiętał, że o wiele ważniejsze dla mnie było to, z kim kładę się do jednego łóżka, pod jedną kołdrę, przy kim zasypiam, niż to, komu pozwalałam na więcej niż trzymanie się za rękę w parku.

Wtedy, gdy ten jeden raz zrobił wszystko, nie pozwoliłam mu zostać. Teraz, mimo iż tylko trzymał mnie za rękę, mógł przy mnie zasnąć i przy mnie się obudzić.

Jakże mało niektórym potrzeba do szczęścia... Jednak Michał twierdził, że dla niego to dużo, a nawet „wszystko”.

Po tej nocy spędzonej wspólnie z Michałem miałam ogromne wyrzuty sumienia. Czasem spanie z kimś w jednym łóżku znaczy więcej niż seks.

Poczucie winy po tej warszawskiej nocy było chyba nawet o wiele większe niż wtedy, kiedy Maćka naprawdę zdradziłam.

Gdy Michał był w łazience, zadzwoniłam do męża. Nie odbierał. Co robił? Z kim był? Gonitwa myśli. Jest sam, uspokój się, mówiłam sobie w duchu.

Wybierałam jego numer mechanicznie jeszcze wielokrotnie. Zarówno w taksówce, jadąc na konferencję, jak i w czasie przerwy w wykładach. Dodzwoniłam się dopiero wieczorem, gdy samotnie stałam na bankiecie, sącząc kieliszek wina.

– No? – mruknął.

– Nie mogę się do ciebie od rana dodzwonić. Coś się stało?

– Nie – uciął krótko. – Z telefonem coś nie tak. Masz coś ważnego? Bo muszę pilnie coś skończyć.

Pilnie skończyć. O dwudziestej.

Nie, nie mam w sumie nic ważnego. Poza tym, że spałam z innym facetem pod jedną kołdrą przez całą noc i wszystko na to wskazuje, że tej nocy będzie tak samo, drogi mężu.

Nie, nie kochanie, nic ważnego.

Pracuj sobie w spokoju.

I wyślij tego mejla przed dwudziestą.

Dzwoniąc, nawet chciałam powiedzieć, że kocham, że tęsknię, że dobrze by było, jakby tu był ze mną i do cholery mnie przytulił.

Nie powiedziałam, bo to chyba nie było ważne. Zresztą, gdy usłyszałam to jego krótkie „No?”, przestałam chcieć mu to mówić.

Nieważne. Rzeczywiście nie miałam mu nic ważnego do powiedzenia.

Gdy przyszedł Michał, byłam już w nieco lepszym nastroju. Czy spowodowało to wino, czy wzrok mężczyzn, który czułam na sobie?

Przetańczyłam z nim całą noc. Wtulona, blisko. Dotykaliśmy się każdym kawałkiem ciała, jakbyśmy chcieli usprawiedliwić ten dotyk tańcem. To nie seks. To taniec. Przecież wszyscy tańczą, prawda? To tylko bankiet...

Całą noc znowu spędziliśmy razem. Zaraz po bankiecie kończącym konferencję odprowadził mnie do pokoju, przegadaliśmy znów kilka godzin i zasnęliśmy, trzymając się za ręce.

Następnego dnia odwiózł mnie na lotnisko i wrócił do centrum, bo miał jeszcze kilka spraw do załatwienia, pożegnaliśmy się i wsiadłam do samolotu.

Czułam się, jakbym naprawdę zdradziła męża. Z innym facetem, całą noc, w jednym łóżku, pod jedną kołdrą. I ten taniec.

Miałam w dalszym ciągu olbrzymie wyrzuty sumienia. Dobrze, że w Warszawie kupiłam pączki od Bliklego. Wiozłam cały karton dla Maćka. Uwielbiał je.

Gdy weszłam do domu, mój mąż nawet nie podniósł się z miejsca. Mruknął niewyraźnie dzień dobry i siedział dalej, wpatrzony w swojego laptopa.

Powodowana wyrzutami sumienia, objęłam go, stając za nim.

– Mam coś dobrego dla ciebie – powiedziałam.

– Mhm?

– Dać ci? Może razem zjemy? Wypijemy kawę?

– Nie, nie, nie teraz. Muszę coś wysłać przed dwudziestą – odparł, nie patrząc na mnie.

Znowu to samo. Mogłabym wrócić z Warszawy z podbitym okiem. I tak by nie zauważył.

Wstawiłam wodę, nasypałam kawę do dwóch kubków i poszłam wziąć prysznic. Nie było mnie dłuższą chwilę. Stałam pod prysznicem i rozmyślałam.

O wszystkim. O samotnym życiu we dwoje, o minionym czasie w Warszawie, który wydawał mi się zupełnie innym światem.

Zamknęłam oczy i oprócz tej wody, spływającej po moim ciele, poczułam Michała przytulającego mnie w rytm muzyki, jego dłonie na moich plecach, ramionach i pośladkach, zobaczyłam jego twarz, ledwie widoczną w poświacie migocących świateł

klubu. Kiedy grali jakiś cover *No, woman no cry*, po moich policzkach popłynęły łzy. Nie ocierał mi ich, tylko jeszcze mocniej mnie przytulił, tak że nie mogłam złapać tchu.

Teraz też słone łzy łączyły się z ciepłą wodą ściekającą po mojej twarzy.

No, woman no cry...

Gdy wróciłam z łazienki, w kuchni stał pusty, otwarty kartonik i kubek niezalanej kawy.

Mój mąż właśnie kończył czwartego pączka i dopijał swoją kawę.

Ta noc z Michałem, jego wzrok, nawet zachwyty w jego oczach, spowodowały, że z Warszawy nie wróciłam ta sama. Zaczęłam dostrzegać to, czego wcześniej nie widziałam albo nie chciałam zobaczyć. Co ważniejsze, zaczęłam jeszcze głośniej o tym mówić, co znacznie pogorszyło moje relacje z mężem. Zmieniła się moja postawa... Odeszłam od nadstawiania drugiego policzka, rozpoczęłam wojnę, zgodnie z zasadą „oko za oko, ząb za ząb”.

Nie wiedziałam, czy ta walka ma jakiś sens. Wtedy o tym nie myślałam. Nie prowadziłam wojny po to, by wygrać, tylko po to, by się bić. Poczułam się silniejsza.

Ta warszawska noc dowartościowała mnie pewnie o wiele bardziej, niż zrobiłyby to jakieś długie, powtarzające się sesje u psychologa. Pierwszy raz od długiego czasu zaczęłam myśleć, że znam swoją wartość. Czułam się panią sytuacji.

Teraz ja grałam pierwsze skrzypce i ja nadawałam swojemu życiu rytm. A przynajmniej byłam w stanie to zrobić. Nie to, że przestało mi zależeć na związku, ale dostrzegłam, że zmiany należy zacząć od siebie.

Gośka, gdy jej o tym powiedziałam, jak zwykle była dosłowna.

– Szkoda, że cię nie przeleciał, byłoby ci jeszcze lepiej.

– Gocha! – Spojrzałam na nią z wyrzutem.

– No co? – Wzruszyła ramionami. – Pewnie gdybyś machnęła palcem albo jeszcze lepiej cyckami, byłby twój!

Miała rację. Jednak cieszyłam się, że do tego nie doszło. Maćkowi nie mogłabym wtedy spojrzeć w oczy, Michałowi zresztą też. Nie chciałam stracić tak dobrze zapowiadającej się przyjaźni.

Gdy szłam spać, dostałam esemesa: „Czy jeżeli ci podziękuję za wspólnie spędzoną noc, będzie to niewłaściwe?”.

„Nie”, odpisałam.

„Zatem dziękuję Ci za wspólnie spędzoną noc. Bycie dżentelmenem było nie lada wyzwaniem. Dobranoc”.

„Dobranoc, dżentelmenie”, odpisałam i szybko zasnęłam.

Od tej pory Michał był zawsze. Zawsze był na wyciągnięcie ręki – po telefon

komórkowy, gdzie stukałam esemesy czasem wołające o pomoc.

Dostawałam odpowiedź o każdej porze dnia i nocy. Michał był kołem ratunkowym na odległość. Mówiłam mu wszystko. No, prawie wszystko. Bo nie powiedziałam, że zdradziłam męża.

Męża zdradziłam dokładnie tego samego dnia, kiedy w garażu, przy jego samochodzie, znalazłam zieloną szmatę usmarowaną czarną mazią. Na szmacie był ledwo widoczny napis *Happy woman in bed*.

Tego dnia miałam spotkanie służbowe w centrum miasta. Od jakiegoś czasu nie gotowałam obiadów, jadaliśmy poza domem. Obiad w restauracji z klientem był wymarzoną formą spotkania.

Negocjacje się udały. Pożegnałam swojego gościa i postanowiłam jeszcze zrobić zakupy.

Nagle zobaczyłam Pawła. Przez piętnaście lat nieco się zmienił. Był wyższy, bardziej barczysty. Może nawet miał mały brzuszek, ukryty pod dobrej marki garniturem... Ale to na pewno był Paweł.

Płacił właśnie przy barze za kawę. Nie wiem dlaczego, ale w pierwszym odruchu chciałam się schować, by mnie nie zauważył. Spojrzał na mnie nic niewidzącym wzrokiem. Nie poznał mnie. Poczulałam ulgę.

Po chwili jednak znowu poczułam na sobie jego wzrok. Odwzajemniłam spojrzenie. Zmrużył oczy i się uśmiechnął. Wiedział, że to ja.

– Ewa? – Podszedł do mnie. – Może drugą kawę zamówię? – Nie czekając na odpowiedź, kiwnął na kelnerkę. – Dwie kawy poproszę. Jedna latte, a druga? – zapytał.

– Też latte – odpowiedziałam.

Usiedliśmy przy stoliku. Wpatrywał się we mnie, nic nie mówiąc. Niezręczną ciszę przerwała kelnerka, stukając wysokimi szklankami pełnymi piany w stół, przy którym usiedliśmy.

– Może coś podać do kawy? – zapytała.

Paweł spojrzał na mnie, pokręciłam głową.

– Dziękujemy.

Kelnerka odeszła, zostawiając nas samych.

– Dobra kawa, prawda? – zapytał, maczając usta w pianie. – Ale to nie to samo co w kubku od ciebie.

– Naprawdę go jeszcze masz?

– No mam... Powiem ci prawdę, ucho mu się obtłukło i teraz kwiatek w nim rośnie.

Taki mały...

Uśmiechnęłam się.

– Już myślałam, że co rano pijesz w nim kawę! – Kpiąco przymrużyłam oczy.

– Kurczę, a mogłem skłamać! Czy wtedy miałbym większe szanse u ciebie?

– Zdecydowanie tak. – Zaczęłam się śmiać. – Teraz straciłeś je bezpowrotnie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o wszystkim i o niczym... A raczej o wszystkim, co nie dotyczyło naszego życia intymnego. Po tej wspólnie spędzonej godzinie nadal nie wiedziałam, czy on ma żonę, dzieci, czy jest samotny. O dziwo, on również nic o mnie nie wiedział.

Kawa już się kończyła, całą sobą pragnęłam, by ta szklanka nie miała dna.

– Może jeszcze jedna? – zapytał.

– Nie... Chyba już nie – odpowiedziałam, chociaż wszystko we mnie krzyczało, że chcę więcej. Nie tylko kawy...

– A może... Może chcesz zobaczyć swój kubek w charakterze doniczki? – Patrzył mi prosto w oczy.

Oglądanie kubka było mniej więcej takim samym pretekstem, jak zapraszanie koleżanki, by pokazać jej swoją kolekcję znaczków czy motyli.

– Mam biuro tutaj. Na górze.

Po chwili jechaliśmy windą na dziesiąte piętro.

Paweł odsunął kosmyk włosów z mojego czoła. Nieistotny gest, a jednak dla mnie wiele znaczył.

– Wciąż te niesforne włosy. Pamiętam, że kiedyś miałaś dłuższe... Często spięte, ale zawsze ci się wymykały spod kontroli. – Jeszcze raz dotknął kosmyka. – Nie da się ich ujarzmić... Teraz masz bardziej kasztanowe.

Nie wyjawiałam mu, że moje kasztanowe włosy to zasługa salonu fryzjerskiego i doskonałego wycucia pani Ani...

Usłyszeliśmy krótki dźwięk i winda się zatrzymała na dziesiątym. Drzwi się otworzyły, a Paweł puścił mnie przodem, wyciągając klucze z kieszeni.

– Nikogo już nie ma. Jest po osiemnastej – powiedział i otworzył drzwi.

Nie wiem, jak do tego doszło, pewnie wszystkie kobiety, które doprawiają mężom rogi, tak twierdzą.

Po wszystkim myślałam, że... To był tylko seks. Nie czułam, żebym komukolwiek robiła krzywdę. Po prostu żyłam chwilą...

Weszliśmy do jego gabinetu, Paweł zaproponował drinka. Z ochotą przystałam na propozycję. Nie wiem dokładnie, co on wyczarował w tej wysokiej szklance pełnej lodu, ale świat wirował już bardzo szybko.

– Kiedyś myślałam, że będziesz właśnie tak stała. – Podszedł bliżej, tak blisko mnie... – I będziemy mieli chwilę dla siebie...

– Stoję... I mamy... – odparłam, patrząc prowokująco znad szklanki.

Po chwili zdjęłam szpilki i stanęłam bosymi stopami na puszystej wykładzinie. Od razu było wygodniej. Podszedł do mnie jeszcze bliżej.

– Nieduża jesteś – zauważył. – Boso wyglądasz niezbyt groźnie.

– Nie jestem groźna. Tylko czasem gryzę...

– Gryziesz?

Przybliżył usta do moich ust i szepnął:

– Pokaż mi jak.

Pierwsza go pocałowałam. Najpierw delikatnie, jakbym chciała jedynie posmakować.

Zakazany owoc smakuje najlepiej, nie trzeba było próbować... Sama rozpięłam guziki żakietu, by zrzucić go jak najszybciej, po chwili on już walczył z moją bluzką, której małe guziczki wydawały się zbyt drobne dla jego palców.

Posadził mnie na biurku.

Spojrzał w oczy, pocałunkami obsypał moją twarz, a zaraz potem całował moją szyję.

To był jedyny chyba raz, kiedy pomyślałam o mężu. On nigdy nie całuje w szyję.

Nie powiedziałam „nie”.

Przesunął ręką po mojej twarzy, dekolcie, powoli zsunął mi ramiączka stanika.

Marzyłam, by jego usta znalazły się na moich piersiach. Nagle przerwał.

– Poczekaj chwilę – szepnął.

Włączył muzykę. Czekałam niecierpliwie, siedząc prawie naga na jego pełnym papierów biurku. Stanik spadł, ukazując nagie piersi. Spojrzał na mnie.

– Mówiłem ci już, że jesteś piękna?

W rytm lekkiego jazzu całował mój dekolt, gładził włosy. Odepchnęłam go od siebie, zaczęłam rozpinąć mu koszulę. Podwinął mi spódniczkę, ściągnął koronkowe majtki.

Nie musiał pytać, czy może... Wiedział.

Kochaliśmy się krótko, zbyt krótko i zbyt szybko. Ale to było nam potrzebne.

Po wszystkim przytulił mnie, objęłam go mocno, zaniósł mnie na sofę, gdzie leżeliśmy jeszcze chwilę w objęciach, przykryci tylko jego marynarką.

Przesunął palcem po mojej piersi.

– Powtórzmy to jeszcze? – zapytał.

– Nie wiem... – Uśmiechnęłam się. – Może kiedyś?

– Jak kobieta mówi „może”, to znaczy „tak”, prawda?

– Tak, to znaczy tak – westchnęłam.

– Kiedy? – szepnął, całując mnie.

– Choćby zaraz... – jęknęłam cicho.

Nagle przestał mnie głaskać, powiedział, że następnym razem, a we mnie wszystko krzyczało, kiedy, do cholery, ten następny raz?

Pocałował mnie mocno w usta.

– Przyjdziesz. Musisz.

Fakt. Musiałam.

Gdy zjeżdżałam windą na dół, już sama, cały czas myślałam o chwilach, które właśnie minęły. Spojrzałam w lustro. Wyglądałam zupełnie tak samo. Może tylko byłam nieco bardziej potargana.

Zdradziłam męża i nie miałam najmniejszych wyrzutów sumienia. Powiem więcej. Było mi dobrze. Czułam się, jakbym miała wyfrunąć zaraz z tej windy niczym motyl. Świat był bardziej kolorowy, a ja już myślałam, kiedy spotkam się z Pawłem.

To był TYLKO seks.

Ja tego potrzebowałam, on potrzebował. Dostałam dokładnie to, czego nie mogłam dostać od Maćka. Nie czułam, że go krzywdzę. Ja SOBIE sprawiałam przyjemność. Po raz pierwszy od dłuższego czasu TYLKO sobie.

Gdy wchodziłam do domu, Maćka jeszcze nie było. Wzięłam gorącą kąpiel, ale nie po to, by zmyć z siebie smak Pawła, lecz by o nim marzyć.

Dopiero gdy leżałam w łóżku, uświadomiłam sobie, że nadal nic nie wiem o swoim dawnym znajomym. Nie wiem, czy sobie ułożył życie, czy ma żonę, dzieci. A przede wszystkim, nie mam pojęcia, co go skłoniło do tego, by się ze mną kochać na biurku pełnym papierów w swoim biurze na dziesiątym piętrze... Byłam ciekawa, czy kiedyś się dowiem...

Wzięłam telefon, wysłałam do Pawła esemes o treści „dziękuję za owocne spotkanie”. Dopiero potem zobaczyłam, że wcześniej ktoś wysłał mi już wiadomość.

„Oszczedłem od żony. Przyjedziesz?”

Michał.

Lekkie ukłucie w sercu. Mały wyrzut sumienia. Nie względem męża. Względem Michała...

Czasami patrzyłam na swojego męża zadziwiona, że nic nie zauważył. Przez cały czas trwania romansu nic nie spostrzegł. Nie miał nigdy żadnych podejrzeń. Ale jak miałby cokolwiek zauważyć, jeśli w ogóle na mnie nie patrzył?

Wszystkie wolne chwile, o ile w ogóle takie były, zajmował mu Kraków i dom. „Nasz” dom. To wcale nie był mój dom. A miał być zbudowany za MOJE mieszkanie. Na razie Maciek miał jakieś pieniądze, myślał o kredycie, który spłacimy kasą z mojego mieszkania. Coraz częściej zastanawiałam się, czy to naprawdę jest dobry pomysł. I sprzedaż mieszkania, i przeprowadzka.

Nie był. Wiedziałam o tym, a jednak do końca to do mnie nie docierało.

Gdy tego wieczoru po moim pierwszym spotkaniu z Pawłem Maciek wrócił do domu, ja już zasypiałam.

Wślizgnął się pod kołdrę. Był nagi. Zaczął metodycznie, krok po kroku, centymetr po centymetrze się do mnie dobierać. Jakże to było inne od szalonego seksu na biurku u Pawła. Seks z Maćkiem przeważnie był przewidywalny.

Pocałunek w usta, krótki, zaledwie cmoknięcie, ręka na jednej piersi, potem na drugiej. Usta na jednej, na drugiej, ręka pomiędzy udami i on na mnie. On na mnie, ja na nim, on na mnie. Koniec. Dobranoc.

Dobranoc-nie-gadaj-tyle-bo-jutro-mam-ciężki-dzień. Pojutrze-też-mam-ciężki-dzień. Tydzień-mam-ciężki. Miesiąc-mam-ciężki. Życie też.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Raz z jednym, potem z drugim. Powinnam czuć się źle. Nie czułam się. Powinnam mieć wyrzuty sumienia. Nie miałam.

Przytuliłam się do męża. Bardzo dawno tego nie robiłam. On mechanicznie mnie objął i tak zasnęłam. Jak za starych dobrych czasów.

„Dostałaś mojego esemesa?”, przeczytałam rano na komórce.

„Nie”, skłamałam.

„Wyprowadziłem się. Wynająłem mieszkanie. Przyjedź”.

„Zadzwoń z pracy”, napisałam.

Znowu spoglądałam na swoje odbicie w lustrze z przekonaniem, że coś powinno być po mnie widać. Jakiś ślad, powodujący, że wszyscy będą wytykać mnie palcami.

Nic. Może jedynie oczy wydawały się bardziej błyszczące, a usta układały się w szerszy uśmiech.

Wysłałam z domu, znowu szpilki, znowu garsonka. Pod garsonką koronkowe majtki i pasujący do nich stanik. Muszę kupić pończochy. Nie znam mężczyzny, który nie lubi pończoch.

Stałam na przystanku w towarzystwie myśli, które wirowały w mojej głowie, nie dając ani chwili wytchnienia.

Podobno sześćdziesiąt procent kobiet zdradza mężów. Czyli w zasadzie co druga. Pani w zielonym płaszczu, pani w kurtce, pani pchająca wózek z niemowlakiem, blondynka z odrostami. Na te akurat wypadło. Co je do tego skłoniło? Chęć przeżycia czegoś ekscytującego? Przypadek? Okrzyk rozpacz?

A co mnie do tego skłoniło? Czy dwa lata temu bym to zrobiła? Nie. Dwa lata temu, zapatrzona w męża, nawet nie wypiłabym kawy z Pawłem.

A teraz zrobiłam to i, co najdziwniejsze, miałam ochotę powiedzieć swojemu mężowi jak starej przyjaciółce: „Ty wiesz, Maciek, jakie jaja? Spotkałam kolegę po latach i się z nim przespałam. No co ty, ze spaniem to nie miało zbyt dużo wspólnego. Kochaliśmy się na jego biurku, aż papiery pospadały. No nie, co ty, z miłością to też nie miało nic wspólnego. Po prostu seks. Sam seks. Wiesz, jakie to było fajne? Powinieneś też spróbować. A na razie, chodź, przytulę cię, bo taki mam dziś dobry humor”.

W pracy nie mogłam się skoncentrować. Sprawdzając co jakiś czas w komórce, czy

nie ma wiadomości od Pawła, przypomniałam sobie o Michale. Zadzwoiłam.

– Cześć. Jak się czujesz?

– Do niczego.

– Tak ci z nią było źle?

– Gorzej.

– Przykro mi... A... Co z Julką?

– Nic. Z mamą została. Od kilku dni chodzę tam wieczorem, czytam bajkę, daję buzi na dobranoc i wychodzę. Wracam do pustego mieszkania.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Przyjedź. I zostań. Najlepiej na zawsze.

– Michał...

– Tak wiem. Nie możesz, nie chcesz, i tak dalej. Wiem.

– Michał, muszę kończyć... W pracy jestem.

– To... Do usłyszenia. A może zobaczenia?

– Może. Pa. – Odłożyłam słuchawkę.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ja przypadkiem nie komplikuję sobie życia. Z jednej strony całkiem niezły mąż (bo co ja się czepiam, nie pije, nie bije), budujący się dom, perspektywa gromadki dzieci, z drugiej Michał i jego coraz bardziej dająca się odczuć miłość, a potem jeszcze Paweł ze swoimi dech zapierającymi pocałunkami.

Godzina trzynasta. A ja jeszcze nic nie zrobiłam.

– Wychodzę na lunch – oświadczyłam koleżance i wybiegłam na powietrze.

Już po chwili byłam w sklepie z bielizną.

– Poproszę te z koronką, czarne, brązowe i może jeszcze jedno czarne – powiedziałam.

– A pas pani ma? – spytała ekspedientka.

– Jakiś mam. – Pozostałość po namiętych wieczorach z Maćkiem, kiedy nie mógł się doczekać, aż mnie z tego pasa wyswobodzi. – Ale może wezmę też ten czarny. A te pończochy nie są samonośne?

Po drodze kupiłam sobie sałatkę i wróciłam do biura, trzymając w ręku siatkę z moimi koronkowymi zakupami. Czekał na mnie mejl.

Może lunch? Tam gdzie wczoraj? P.

Mówisz o „lunchu” czy lunchu? Bo jeżeli chodzi o lunch, to już byłam..., odpisałam.

Mam nadzieję, że na „lunchu” nie byłaś. Może jutro o 17 w moim biurze? Trochę późno, ale... Tam proponuję „lunch”. Myślę, że ostatnio ci smakował.

Smakował. Będę, odpisałam i wreszcie mogłam zająć się pracą.

Maciek wziął sobie w piątek wolne i wyjechał do Krakowa. Miał tam spotkać się z kierownikiem budowy czy innym majstrem. Po raz pierwszy nie chciałam z nim jechać, a on po raz pierwszy od nie wiem jak dawna mi to zaproponował.

– Może pojedziesz ze mną?

– Nie, Maciek, jutro muszę być w pracy – powiedziałam.

– Pojedź. Smoka pójdziemy zobaczyć – zachęcał.

– Nie, Maciek, nie pojedę.

Pojechał sam, a ja mogłam w spokoju rozmyślać o dniu jutrzejszym. To będzie długi „lunch”. Uśmiechnęłam się. Oglądając TVN24, prasowałam bluzkę i wymyślałam scenariusze na następny dzień.

Przygotowałam bluzkę, pończochy, brązową koronkową bieliznę. Dawno tak skrupulatnie nie doбираłam garderoby.

Trzeba zrobić zakupy. No i z Goską się spotkać. Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do niej. Na moją propozycję wyjścia do sklepu wrzasnęła w słuchawkę.

– O matko, wszystko bym dała, by wyjść do Matrixa! – Odkąd na świecie pojawiła się Amelka, Gośka centrum handlowe nazywała Matrixem. Widać centrum handlowe jawiło się jej niczym świat idealny. – Zapytam Miśka! Misieeeeeek... – usłyszałam. Po chwili przeszczęśliwa Gosia oznajmiła mi, że jutro może iść, od razu po mojej pracy, bo wprawdzie kocha swoją córkę, ale jeszcze jeden cały dzień z Amelką i ona zwariuje.

– Gosia... A może być w sobotę?

– Nooo. Matko, muszę Miśka zapytać. – Słysząc było burzliwą konwersację w tle, a po chwili Gośka dodała: – Może. A czemu nie chcesz jutro?

– Wszystko ci opowiem w sobotę.

– A coś ty taka tajemnicza? Czyżby Maciuś zmądrzał i zabiera cię na romantyczną kolację?

– Gosia... Wręcz przeciwnie... Nie Maciek.

– Ewka! I ja mam do soboty wytrzymać? A mogę do ciebie dziś przyjechać, jak Amelkę położyć?

No oczywiście, że mogła. Gośka zawsze była mile widziana. Odkąd została mamą, jej życie towarzyskie zaczynało się, gdy Amelka szła spać. A że Amelka była dzieckiem bardzo grzecznym, szła spać szybko i już o godzinie dziewiętnastej trzydzięci jej rodzicielka mogła żyć pełnią życia.

Gdy Gośka weszła do mieszkania, natychmiast padła na sofę. Gwałtownymi kopnięciami zdjęła buty, które pofrunęły w głąb pokoju, i westchnęła:

– O Boże, jak dobrze... Nikt nie jęczy, nikt nic ode mnie nie chce. Matko, normalnie wakacje...

– Wiesz – powiedziałam, patrząc na nią. – Czasem marzę, by mi ktoś pojęczał. Nic

z tego. Maciek nie chce. Nie teraz, najpierw dom, stabilizacja. „A jak ty chcesz z brzuchem się do Krakowa przenieść”.

– Cholera. Cały czas zapominam o tym Krakowie. A co do jęczenia, przyjdzie czas.

– Kiedy, Gośka, kiedy? Ja mam trzydzieści lat. Budowa coś nawala, nie wiadomo, kiedy się tam przeprowadzimy, potem trzeba będzie ten cholerny dom urządzać...

– Ty wcale nie chcesz tam jechać.

– Nie chcę.

– Mówiłaś o tym Maćkowi? – zapytała.

– Po co? I tak zrobimy, jak on będzie chciał.

– Ewka, dziewczyno, co się z tobą stało! „Zrobimy tak jak ON będzie chciał”!
Małżeństwo to układ partnerski!

– Taa... – Wzruszyłam ramionami. – Ja sprzątam, on bałagani, cha, cha, cha.
Bardzo śmieszne.

– Ja naprawdę nie mogę pojąć, jak ty z nim wytrzymujesz.

– No wiesz... Na dobre i na złe...

– Boże, Ewka, jaka ty durna jesteś. Ty zostaw go w cholere, póki jeszcze możesz sobie znaleźć kogoś innego.

– Myślisz, że to tak łatwo zostawić...

– Jasne, że łatwo. Jemu jakoś łatwo jest się z tobą nie liczyć. Kobieto, ty tylko mieszkania swojego nie sprzedawaj. Bo osobiście ci przyłożę. Kawy mi jakiejś zrób.
A potem mi opowiedz, co masz do opowiedzenia.

Poszłam do kuchni zrobić kawę, wyjęłam jakieś ciastka i wróciłam do pokoju.

– Gocha... Bo ja ci wszystkiego nie powiedziałam – zaczęłam. – Pamiętasz Michała? Syna mojego wykładowcy? Opowiadałam ci, że go spotkałam w czerwcu w Warszawie.

Gośka pamiętała. Siedziała zasłuchana w moją pogmatwaną opowieść o Michale, z którym spędziłam dwie noce w Warszawie, nawet się nie dotykając, o naszych esemesach, rozmowach i – można powiedzieć – już przyjaźni. Gdy doszłam do Pawła, Gośka poprosiła o wino.

– Cholera, Ewa. Wrócę taksówką. Mów dalej. Spotkałaś go na tej kawie i?

– I się z nim kochałam – powiedziałam po prostu. – W jego gabinecie na biurku.

– O kurwa. – Gośka nie wytrzymała.

– No właśnie. – Wpatrywałam się w Goškę.

– Eee, nie to, że ty kurwa, ale ta cała sytuacja. – Nic dziwnego, że była zszokowana.

– I co teraz z tym zrobisz?

– No nie wiem... Wiem tylko, że jutro się spotkam z Pawłem.

– No ładnie... – Gośka wypiła do końca wino, wyciągnęła kieliszek, prosząc o więcej.

– A co z Maćkiem?

– No, co. Dom buduje w Krakowie. Pojechał się z robotnikami spotkać.

– Chyba pierwszy raz w życiu nie wiem, co powiedzieć. – Gośka pokiwała głową. – Dobrze ci chociaż było?

- Mhm... – Pokiwałam głową.
 - Gośka zaczęła się śmiać.
 - To najważniejsze! – podsumowała.
-

Gośka wyszła dopiero rano. Zadzwoiła do Miśka i powiedziała, że jest pijana (była) oraz że w takim stanie nie może wracać do domu, a tym bardziej wstawać do małego dziecka.

Misiek, jak to Misiek, wszystkiego spokojnie wysłuchał, życzył Goście dobrej nocy i powiedział, żeby się niczym nie martwiła.

Gośka nie miała wcale zamiaru się martwić, dalej piłyśmy wino, a ona kazała sobie z detalami opowiedzieć moje ekscesy seksualne z Pawłem na jego biurku.

Opowiedziałam.

– Ale czujesz takie motyle w brzuchu?

– No czuję! – odpowiedziałam.

– A dreszczyk emocji?

– Nooo! – Pokiwałam głową.

– O Boże, jak ja ci zazdroszczę! U nas stagnacja... Chociaż...

– Chociaż? – zapytałam, widząc ożywienie na twarzy Gośki.

– Wczoraj kazał mi szpilki włożyć! Musiałam przed nim paradować przez chwilę, a potem się na mnie rzucił! – Wybuchnęła śmiechem.

Zawtórowałam jej. Nie miałabym nic przeciwko takiej stagnacji. Mimo braku motyli w brzuchu.

Misiek Gośki to fajny gość.

Cały dzień żyłam spotkaniem z Pawłem. Nawet do Michała nie zadzwoniłam. Mimo obietnicy.

Cofnęłam się od drzwi, usiadłam przy biurku, wystukałam jego numer.

– Przepraszam... Nie dzwoniłam.

– Nie szkodzi. – Temu człowiekowi chyba nigdy nic nie przeszkadzało. – Dużo pracy?

– Tak – odpowiedziałam. – A jak ty się miewasz?

– A jak się mam miewać. Do dupy – odparł. – Nie co dzień odchodzi się od żony.

– No tak... – Naprawdę nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. – I co teraz?

– Nie wiem... Kompletnie nie wiem – odpowiedział cicho. – Ale znowu mi nie wyszło.

Kilka lat do tyłu.

– Może chcesz pogadać? Maciek wyjechał do Krakowa. Gdzie ty w ogóle teraz mieszkasz?

– Nadal na Zaspie. Chciałem być blisko Julki.

Umówiłam się, że do niego zadzwonię. „Tak, na pewno jeszcze dzisiaj”. I że się spotkamy. Niedługo.

Wyszłam z firmy, myśląc o tym, że idę na schadzkę z kochankiem (O Boże, mam kochanka), a Michał jest sam. I pewnie mnie potrzebuje. Wjeżdżając na dziesiąte piętro do Pawła, czułam się podle. Bardzo podle.

Z Pawłem... Było dobrze... Podobnie jak poprzednio... Może nie podobnie, bo na sofie, a nie na biurku. I trochę spokojniej, nie tak szybko, nie tak nerwowo. W głośnikach śpiewała Diana Krall. Dwa razy przeszkodził nam telefon.

- Tak.
- Nie.
- Zadzwonię później.

Po czym wrócił bez słowa do tego, na czym skończył.

- Masz dziś zły dzień? – zapytał po wszystkim.
- Nie – skłamałam. – Może jestem trochę zmęczona. Powinnam dziś wcześniej wrócić.

Paweł tylko skinął głową. Rzeczywiście, coś było nie tak. Mąż w Krakowie budował dom dla mnie i naszych przyszłych dzieci, przyjaciel mnie potrzebował i odliczał czas do mojego telefonu, a ja siedziałam na sofie z rozłożonymi nogami, przed facetem, którego w zasadzie nie znałam i o którym w dalszym ciągu nic nie wiedziałam. Brutalna rzeczywistość.

- Pójdę już. Nie najlepiej się czuję.
 - Przyjdiesz jeszcze kiedyś? – zapytał, patrząc na mnie przenikliwym wzrokiem.
- Musnął dłonią mój policzek.

Wtedy nie wiedziałam, czy przyjdę. Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Zadzwon. Albo napisz mejla.
- Wspięłam się na palce, by go pocałować na pożegnanie. Odwzajemnił pocałunek.
- Napiszę.

Wybiegłam z budynku, kierując się w stronę tramwaju. Łagodna mżawka zdążyła już się zamienić w całkiem ulewny deszcz. Przeklinałam te cholerne, co chwilę zsuwające się z ud pończochy, bo najnormalniej w świecie było mi zimno.

- Michał? – Zadzwoniłam z przystanku. – Jestem wolna. Przyjedziesz do mnie? Czy... Ja mam do ciebie jechać?

- Gdzie jesteś?
 - Wsiadam zaraz do tramwaju.
 - Przyjedź. Wsiądź na moście. Będę tam na ciebie czekał.
-

Pocałował mnie na przywitanie w policzek. Otworzył drzwi do jakiegoś dużego srebrnego samochodu i kazał wsiadać.

– A gdzie twój samochód?

– Nie rozumiem? – zapytał.

– Ten stary, zdezelowany, był chyba niebieski, co?

– Niebieski. – Uśmiechnął się. – Trochę lat minęło. Ludzie się zmieniają, samochody się zmieniają, ludzie zmieniają samochody...

Pojechaliśmy do wynajmowanego mieszkania Michała na przytulnym, dość nowym osiedlu.

– Ładnie tu masz – pochwaliłam, ale chyba tylko po to, by powiedzieć cokolwiek.

– Ewa, zwyczajnie. – Wzruszył ramionami. – Nie mam teraz głowy do tego, by kupować coś dla siebie. Ale chyba będę musiał. Nie widać tu kobiecej ręki. – Uśmiechnął się.

– Nie wrócisz do niej?

– Nie. To nie ma sensu. – Spojrzał na mnie. – Może chcesz jakiś dres? I herbaty ci zrobię, bo zimno.

Włożyłam jego zbyt duży dla mnie dres, usiadłam skulona obok niego na sofie i piłam gorącą herbatę z kubka o rozmiarze XL. W parapet bębnił deszcz. Było już ciemno.

– Wiesz, co mnie boli najbardziej? – spytał. – Że ona tak szybko się z tym pogodziła. Wyprowadziłam się, rach, ciach, a ona już była u adwokata i pozew w przyszłym tygodniu ląduje w sądzie. Nawet nie chciała porozmawiać.

– A ty chcesz rozmawiać? Masz jeszcze o czym? Chcesz wrócić?

– Nie, nie o to chodzi. Ale po prostu przykro.

Westchnęłam i położyłam rękę na jego dłoni. Podniósł się jednak szybko z sofy.

– Zapalę, okej? – zapytał. – Nie paliłem już rok, znowu zacząłem. – Wzruszył ramionami. – Czasem tak chciałbym cofnąć czas. A ty?

– Czy ja wiem? Nie da się cofnąć czasu.

– Niestety. Wiesz, wtedy bym cię błagał na kolanach, byś ze mną była.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Wiesz, że przez długi czas – ciągnął – nawet wtedy, gdy byłem już po ślubie z Magdą, wystarczyłby jeden gest z twojej strony, a byłbym przy tobie w mgnieniu oka.

– Nie wiedziałam... – Westchnęłam. – Smutne to wszystko.

– Smutne? – zdziwił się.

– Dla Magdy smutne.

– No tak... – odpowiedział.

– Kochałeś ją?

– Nie wiem... Chyba kochałem. Ale cały czas kochałem też ciebie. Niemożliwe, prawda? Byłem do niej przywiązany na swój sposób... Wiesz, jak ją poznałem?

– Nie...

– Pamiętasz, jak kiedyś od ciebie wracałem nocnym, bo mój samochód odmówił posłuszeństwa? – Spojrzał na mnie. Pokręciłam głową. – Nie pamiętasz... Wiesz, że ja chyba wszystkie spotkania z tobą pamiętam? Nawet takie, gdy nie wiedziałas, że ja jestem i ci się przypatruję... Mniejsza z tym. Wracałem nocnym autobusem, przesiąknięty twoimi perfumami, a ona usiadła koło mnie, mimo że cały autobus był pusty. Zaczęliśmy rozmawiać. Skończyliśmy o piątej rano w jakimś podrzędny barze całonocnym. I potem zaczęliśmy się spotykać. Ślub był jakimś takim logicznym następstwem. Poza tym łudziłem się, że dzięki temu wreszcie przestanę o tobie myśleć. Niestety, nie udało się. Przy Magdzie trzymała mnie tylko Julka. Ale widzisz... Nawet ona nie dała rady sprawić, byśmy byli razem. Nie wyszło. Szkoda tych lat... No, ale jest Julia... – Pokazał na ścianie zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Cóż mówić w takiej sytuacji. Zatem milczałam.

– A ty? – zapytał. – Jesteś szczęśliwa?

– Czy ja wiem... Ostatnio coraz rzadziej. Ale może tak ma wyglądać dorosłe życie? Może żyjemy jakimiś obrazami z seriali telewizyjnych i o nich marzymy? Chyba z pokorą trzeba przyjąć na klatę zwykłe życie! – Wypięłam pierś do przodu i uśmiechnęłam się.

– Ewa... Jeszcze masz siłę wszystko przyjmować na klatę? – Zamyślił się. – A co będzie, jak ci tej siły już zabraknie?

Nie odpowiedziałam. Sama nie wiedziałam, co będzie. Będzie tak samo. Samotność we dwoje, kochanek z doskoku i przyjaciel, z którym mogę o wszystkim pogadać, może trochę więcej łez. Jeszcze więcej? O Boże... Mąż nie był dla mnie ani przyjacielem, ani kochankiem.

Michał odwiózł mnie do domu chwilę po północy. W jego szarym, zbyt dużym dresie wślizgnęłam się szybko do swojego mieszkania.

Michał został sam ze swoimi myślami i z wiszącymi na kaloryferze, wilgotnymi od deszczu pończochami z brązową koronką.

Czasem się zastanawiałam, czym jest szczęście. Prawie wszystkim moje życie wydawało się usłane różami. Być może... Chyba tylko Gośka wiedziała, że róże mają długie i ostre kolce, których ukłucie tak bardzo boli... No i Michał. Przed innymi grałam. Byłam świetną aktorką. Nawet wtedy, gdy spotkałyśmy Martę, błyszczałam i udawałam, że wszystko jest w porządku.

Bo przecież pozornie było! Miałam nieźle zarabiającego męża, perspektywę własnego domu w Krakowie, pracę na stanowisku kierowniczym, stać mnie było na markowe buty i nieźle wyglądałam w mini.

Szczyt marzeń. A może miałam zbyt duże wymagania wobec życia? Czyżby? Potrzebowałam jedynie ciepła i miłości. Niczego więcej.

Najbardziej byłam zdziwiona, że Maciek nic nie zauważył. Kompletnie nic nie podejrzewał. Cały czas słyszę to jego „kto by cię chciał”.

Zdziwiłby się, myślałam z satysfakcją. Obserwowałam jego nieobecne oczy podczas nielicznych wspólnych niedzielnych obiadów. Rzucił mi przecież czasem zdawkowe spojrzenia znad „Pulsu Biznesu” czy innego „Businessmana”.

– Smakuje ci?

– Mhm... – odpowiadał.

Gdy zjadł, mówił „dziękuję”. Chyba z przyzwyczajenia.

– Dziękuję – odpowiadałam. – Wstaw po sobie do zmywarki.

– Nie mogę, pełna jest. Czyste tam są.

– To opróżnij.

– Ja?

– Nie możesz raz opróżnić zmywarki?

– Mogę. O co się czepiasz?

– Nie czepiam się. Proszę cię, byś wstawił talerz do zmywarki.

– Nie możesz tego normalnie powiedzieć? Musisz awantury zaraz robić?

– Awantury? Mówię normalnie.

Czasem miałam wrażenie, że męża denerwował sam fakt mojego istnienia. Zastanawiałam się, dlaczego on ze mną jeszcze jest, skoro coraz mniej nas już łączy. Jasne, na początku mojego romansu z Pawłem zauważył, że „praca na mnie dobrze wpływa”. Kilka razy, by zaspokoić swoje chwilowe zachcianki, beznamiętnie zdejmował ze mnie te pończochy, które kilka chwil wcześniej zdejmowałam u Pawła. O zaspokajaniu mnie nie było mowy.

Czasem leżałam z zamkniętymi oczami, czekałam, aż on zrobi swoje, będąc myślami bardzo daleko. Tego też mój mąż nie dostrzegał. Potem zasypiał, ja wstawałam i zajmowałam się dalej tym, co akurat mi przerwał. Najczęściej uciekałam w świat książek.

– Naczytasz się tych romansów i żyjesz w wyimaginowanym świecie! – mówił.

W jakim wyimaginowanym? Czy świat, w którym mąż jest miły dla żony, a żona dla męża, w którym dwoje ludzi z przyjemnością spędza razem czas, znajduje się tylko po tej drugiej stronie lustra? Najwyraźniej tak.

Kiedyś przeczytałam w jakimś artykule, że najczęściej kobiece zdrady są spowodowane zaniedbaniami ze strony mężczyzn... Czyżby to właśnie pchnęło mnie w ramiona innego mężczyzny?

Prawdopodobnie gdyby nie moja samotność i zobojętnienie Maćka wobec mnie,

a czasem wyraźnie odczuwalna niechęć, nie doszłoby do tego.

Nie czułam się kochana. Czasem miałam wrażenie, że mąż nie widzi zbyt dużej różnicy pomiędzy mną a sofą, na której czasem się kładł. Na mnie również kładł się czasem, bywało to chwilami bardziej przyjemne niż leżenie na sofie, ale ona nigdy nic od niego nie chciała.

W ramionach Pawła czułam się więcej niż meblem. Czułam się piękną, seksowną kobietą, dla której mężczyzna stracił głowę.

W domu, pozbawionym rodzinnego ciepła, byłam samotna. Chyba tylko olbrzymie dawki czułości, które dostawałam od Pawła, trzymały mnie w dobrej kondycji psychicznej. W przeciwnym wypadku sama bym leżała tylko na sofie i bezmyślnie przerzucała kanały, nawet ich nie oglądając...

Maciek twierdził coś wręcz przeciwnego.

– Na umysł ci się rzuciło z tą pracą. Nawet obiadu nie możesz ugotować – mówił w kłótniach. – Może jeszcze sprzątaczkę zatrudnisz?

– Myślałam o tym – powiedziałam szczerze.

– Zwariowałaś?

– Nie. Nie zwariowałam. Mam dość tego, że wszystko robię sama, a ty nawet palcem nie ruszysz.

– Ja? – zapytał zaskoczony, jakbym wymagała od niego nie wiadomo czego. – Ja miałbym kible szorować?

– Mógłbyś czasem. Szczególnie po sobie.

Nie, nie byłam już dobrą żoną.

W islamie jednym z głównych obowiązków żony jest posłuszeństwo i pytanie męża o pozwolenie. Nie byłam ani posłuszna, ani nie pytałam, czy mogę...

Czasem się zastanawiałam, czy gdyby inaczej mnie wychowano, byłabym bardziej szczęśliwa? Może czasem warto by było robić to, czego ode mnie wymaga Pan Mąż, by potem czuć na sobie jego pełne uznania spojrzenie.

Byłam jednak krnąbrna. I tym samym nie do końca szczęśliwa. Słowa piosenki Marii Peszek przestały mnie bawić...

Chcę być twoją kurką

Niedzielnym obiadem

Kuchennym fartuszkim

Twoim cackiem z dziurką

Nawet cackiem z dziurką byłam już dla innego...

Nie miałam ochoty się starać. Nie żyłam już dla domu. Całą sobą byłam w pracy.

Coraz rzadziej zmywałam, gotowałam, prałam, sprzątałam... Nie chciało mi się. Nie chciało mi się robić tego dla niego. Naprawdę myślałam o kimś do pomocy.

– Nie myśl o tym, że płacisz pani, która sprząta – mówiła Gośka. – Ty kupujesz sobie czas wolny. I komfort psychiczny.

Powoli dojrzałam, by rzeczywiście sobie ten czas kupować. I przede wszystkim komfort.

Minęły czasy, kiedy czekałam na Maćka z obiadkiem, który przygotowałam, stojąc trzy godziny przy garach, zmęczona, bo wcześniej leciałam przez pół miasta w poszukiwaniu rukoli czy innej roszponki.

Bo z roszponką ładniej wyglądało. Nie mogłam przecież podać obiadu bez niej. A mąż miał gdzieś rukolę i roszponkę. Jak zwykle na moje pytanie, czy smaczne – ładne – nie za ostre, odpowiadał zdawkowym mruknięciem, łypiąc na mnie, bądź nawet nie, znad „Pulsu Biznesu”.

– Mhm...

Teraz nie było obiadków – jedliśmy lunchy w pracy. Śniadania i kolacje jedliśmy osobno. Weekendowe posiłki też odpadały, bo Maciek jeździł do Krakowa. Gdy chciałam z nim jeździć, to mnie nie zabierał. Potem już także i na tym przestało mi zależeć.

– Ewa, a sypialnię będziecie mieli na górze czy na dole? – pytała Gośka.

– Nie wiem... Chyba na górze...

– Jak to nie wiesz? Budujesz dom, a nie wiesz, gdzie będzie sypialnia?

– Maciek buduje – mówiłam.

– Kobieto! Ty tam będziesz mieszkać! Jak możesz nie wiedzieć, gdzie będzie sypialnia?

– Zamieszkać, to się dowiem – próbowałam żartować. – Nie znam się na tym.

– Ewa! – Gośka wyglądała, jakby chciała mną potrząsnąć. – Pamiętam, jak urządziłaś to mieszkanie. Pamiętam, jak chodziłaś na czworakach w kuchni, numerując kwadraty, które wcześniej narysowałaś, by się ten twój pan Janek od kafelków przypadkiem nie pomylił i by jakieś fale, czy inne esy-floresy, były ułożone we właściwą stronę. – Pokiwała z powątpiewaniem głową. – Wtedy myślałam, że jesteś nienormalna, a teraz mówisz mi, że się nie znasz? Na czym się nie znasz? Na tym, gdzie chcesz mieć sypialnię?

Siedziałam w milczeniu. Gośka miała rację. Po prostu nie obchodziło mnie, gdzie będzie sypialnia. Miałam nadzieję, że w jakiś cudowny sposób ominie mnie ta podróż życia do Krakowa. Że nie będę musiała korzystać z sypialni, łazienek czy innych pomieszczeń, tak skrupulatnie wyrysowywanych na projekcie, którego nawet nie widziałam. Bo, prawdę mówiąc, nie chciałam zobaczyć.

– Ewa, powiedz wreszcie temu swojemu chłopu, że nie chcesz do Krakowa. – Gestykulowała zawzięcie. – Bo potem będzie za późno.

– Wiem, Gocha... – westchnęłam. – Nie jest to jednak takie łatwe.

– Co nie jest łatwe? – Rozłożyła ręce. – Powiedzieć nie jest łatwo? – zapytała. – Jasne, łatwiej by było, gdybyś od początku była z nim szczerą. Ale teraz z każdą cholerną cegłą będzie trudniej. Tam już w ogóle kładą jakieś cegły? – zapytała.

Pochyliłam głowę i nic nie odpowiedziałam.

– No tak. Nie wiesz nic o ceglach – westchnęła.

Nie wiedziałam nic o ceglach i nie chciałam wiedzieć.

– Ewa, kto to jest Paweł Rawski? – zapytał Maciek kilka dni potem, oglądając wnikliwie wizytówkę.

– Skąd to masz? – Staralam się, by mi głos nie zadrżał.

O Boże, pomyślałam. Powiem, że to kolega. Najnormalniej na świecie. Kolega. Parafrazując Maleńczuka, „Spotkałam się z kolegą, bo kolega jest od tego, i wypada czasem spotkać się z nim”. No co? Nie mogę spotkać się z kolegą? Przecież to, że wypiliśmy z nim kawę, nie musi znaczyć, że weszłam mu do łóżka. A zresztą na łóżku tylko raz to zrobiliśmy, no, może dwa. Ze dwa razy na biurku i na dywanie. Jak on znalazł tę cholerną wizytówkę? Myśli łomotały mi w głowie, czułam, że zaraz eksploduję.

– A, już wiem! To ten koleś, do którego dzwoniłaś w sprawie sprzedaży mieszkania.

– Spojrzał na mnie. – Zadzwoń, aby powiedzieć mu, że na razie trochę przesuwamy sprzedaż?

– Nie... Nie dzwoniłam... – powiedziałam cicho. Kamień spadający z mojego serca musiał być dobrze słyszalny.

– Zadzwoń. Trochę kasy jeszcze mamy – polecił. – A znając życie, wcześniej niż za rok się tam nie wprowadzimy. Myślałem, że szybciej pójdzie.

– Dobrze. Zadzwoń. – Pokiwałam głową.

Tym razem mi się udało. A już myślałam, że z tej cienkiej nitki rozpiętej pomiędzy prawdą a kłamstwem spadnę i się nie pozbieram.

Dni upływały bez większych zmian. Ja wciąż nie robiłam nic, by być bardziej szczęśliwa, a Maciek żył swoim własnym, pełnym pracy i cholernego Krakowa życiem.

I snem. Zmęczony niemalże coveekendowymi wyjazdami, odsypiał w każdej wolnej chwili, w każdym miejscu i w każdej pozycji. Wcześniej wydawało mi się, że nie można już mniej „być ze sobą”. Teraz okazało się, że się myliłam.

– Maciek, znowu śpisz...

– Nie, nie, ja wcale nie śpię.

– Maciek, zobacz, jak wygląda nasze życie. Praca – dom – praca – dom. – Próbowałam zacząć rozmowę, ale nie wychodziło. Może wybrałam zły moment, bo

Maciek był zmęczony? Ale on zawsze był zmęczony, więc kiedy miałby być ten odpowiedni moment?

– No cóż. Dorosłość – odparł. – Zaskoczona, że tak świat wygląda?

– Tak wygląda nasz świat. Tak nie wygląda dorosłość.

– Nie żyjemy w bajce. Twarda rzeczywistość nas otacza. Kasę trzeba zarobić, ktoś musi nas utrzymać.

– Zapomniałeś? Też pracuję...

– No tak, ale te marne grosze, które przynosisz, nie zapewnią nam życia.

– Nie są takie marne.

– Jak będziesz zarabiać tyle co ja, pogadamy.

– Maciek, wyjedźmy gdzieś na weekend. Nie mówię o urlopie. Spędźmy razem jakiś czas. Chociaż do Krakowa jedźmy razem...

– Nienormalna jesteś? – krzyknął oburzony. – Ty tylko o przyjemnościach! Po cholere do Krakowa? Tam też kupa roboty, po co jeszcze ty?

Ulubionym stwierdzeniem Maćka podczas kłótni było to, że jestem nienormalna. Jasne, byłam. Normalna dawno już zakończyłaby tak toksyczny związek i odeszła w siną dal. Ja nie miałam odwagi. Nienormalna.

Gdy potem mu wypominałam, że powinien mnie przeprosić za to, co mówił, twierdził, że łapię go za słówka. A co miałam myśleć? Wychodziłam z założenia, że dorosły człowiek mówi to, co myśli, i że powinien brać odpowiedzialność za swoje słowa. A nie rzucać je na wiatr.

Tych awantur było wiele. Nie pamiętam wszystkich z osobna, zlewają mi się w jedną całość. I zawsze były epitety w stylu „nienormalna” albo „nienadająca się do niczego”.

– Maciek... – powiedziałam kiedyś. – Skoro masz o mnie tak fatalne zdanie, jak mówisz, dlaczego ze mną jesteś? Przecież się męczysz?

– Coś ty znowu wymyśliła? – zapytał. – Idź spać.

Jasne. Sen był dobrym lekarstwem. Ale nie na wszystko. Naprawdę daleka byłam od tego, by moje życie polegało tylko na pracy i śnie. Na razie, niestety, tak to wyglądało. Praca, sen, a czasem dla rozrywki kłótnia z mężem. Ot, kropka nad „i”.

Po kolejnej awanturze oświadczyłam Goście, że się rozwodzę. Że już dłużej nie wytrzymam, że muszę pomyśleć o sobie.

– To pomyśl – powiedziała Gośka.

– Myślę... – odparłam. – Dlatego się rozwodzę.

– A co to zmieni? – zapytała, patrząc na mnie wnikliwie.

– No jak to, co zmieni. Przecież zawsze mówiłaś, że nie pasujemy do siebie. – Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Dobra, ale ja pytam, co rozwód zmieni? – powtórzyła.

– Co? Będę wreszcie żyła tak, jak chcę!

– A jak chcesz? – pytała dalej.

– Kurczę, Gośka. Męczysz mnie. Co to? Przesłuchanie? – Ta rozmowa zaczynała mnie denerwować.

– Ewa... Ciągle od ciebie słyszę, „co bym zrobiła, jakbym była sama”. Zaczynaj robić, nie obiecuj sobie. Sama zawsze zdążysz być. W czym ci Maciek przeszkadza?

– A co ty tak nagle zaczęłaś go bronić? – zapytałam zdumiona.

– Nie bronię go. Czasem myślę, że o wiele lepiej by było, gdybyś go zostawiła w cholerę. Z drugiej strony, nie musisz go od razu rzucać, by być szczęśliwa. Przestań być wreszcie potulną gęsią i zacznij coś robić dla siebie. Wiecznie jęczysz, ale tak naprawdę nic nie robisz, by to zmienić. Działaj!

Minę miałam chyba bardzo zaskoczoną, bo Gocha zaczęła się ze mnie śmiać, a zaraz potem mnie przytuliła.

Rzeczywiście, nie musiałam się rozwodzić, by zacząć realizować swoje plany i marzenia. I tak byłam sama w tym związku, zatem w czym mi mąż przeszkadzał? W wyjeździe na wakacje? Pójściu do pubu na piwo z koleżankami? Przecież teraz też mogłam robić wszystko. Było to dla mnie bardzo zaskakujące odkrycie.

Dziwiło mnie jednak, że choć nie miałam oporów, by zdradzić męża, samotny wyjazd na wakacje był dla mnie nie do pomyślenia. Na wakacje jeździ się z rodziną. Po to się między innymi tę rodzinę ma.

Ja niby miałam rodzinę, ale weekendy nadal spędzałam samotnie. Maciek cierpliwie jeździł do Krakowa, czasem go nawet podziwiałam. Za wytrwałość. Po tak długim czasie walk na krakowskim froncie podobno już coś zaczęło się zmieniać. Mąż zawsze starał się doprowadzać do końca to, co zaczął. Cierpliwie i konsekwentnie. Czasem przez myśl mi przechodziło, że tym sposobem doprowadza do końca również nasze małżeństwo. Konsekwentnie do końca.

Miałam jednak nadzieję, że niezupełnie o to mu chodziło. Zresztą... Ja przecież też nie byłam święta. Teraz nie byłam. Czasem czułam, jakby były we mnie dwie Ewy. Jedna, przykładowa żona, marząca, by wreszcie zostać matką, a druga to sama kwintesencja zła. Ta, która tylko czeka na okazję, by wyrwać się z nudnego, stabilnego życia rodzinnego, włożyć pończochy, szpilki i emanując seksapilem, uwodzić kochanka.

– Ewa, a czy ty nie możesz dla Maćka włożyć tych swoich koronek? – zapytała mnie kiedyś Gośka. – Facet byłby idiotą, gdyby mu się nie podobało.

– Założyłam raz... Pamiętasz...

– No tak... – pokiwała głową.

– I zasnął.

– Oj, zasnął. Zmęczony był najwyraźniej.

– Wiesz... On wiecznie jest zmęczony.

– No bo żyje intensywnie, pracuje – wymieniała. – Dom buduje, na dodatek w Krakowie. – Wzruszyła ramionami.

– Gosia, ja wiem, że on jest zmęczony... Przecież nic nie mówię... – Uśmiechnęłam się i mrugając jednym okiem, powiedziałam: – Dlatego mam kochanka!

Gośka tylko westchnęła.

Po chwili dodałam:

– I ja jestem zadowolona, i Paweł też.

Gośka pokiwała głową, najwyraźniej nie rozumiejąc całej sytuacji.

– Wiesz... Tylko nie zakochuj się w tym Pawle. Okej?

– Nie, no co ty. To... Tylko seks! – Roześmiałam się – Nie wiedziałam, że kiedyś to powiem!

Długo po tej rozmowie zastanawiałam się, czy na pewno myślę tak, jak powiedziałam Goście. Czy rzeczywiście seks z Pawłem spływa po mnie jak woda po kaczce?

Nie spływa. Doskonale o tym wiedziałam. Faktem było też to, że zawsze, gdy uprawialiśmy seks, nawet w myślach nie nazywałam tego „kochaniem się”. Kochałam się tylko z Maćkiem. I to dawno, dawno temu. Teraz nie kochałam się z nikim. I... I bardzo mi tego brakowało.

Tęskniłam za taką miłością. Za taką, kiedy zmęczeni i spoceni przytulamy się do siebie i szepczemy „kocham cię”, jeszcze nie do końca mogąc złapać oddech.

Tak było. Kiedyś tak było. Wiele oddałabym za to, by znowu leżeć w ramionach Maćka i usłyszeć dobrze znane mi „kocham cię” i móc szczerze odpowiedzieć to samo.

Nie wiem, czy teraz bym mogła. Chyba zbyt wiele się wydarzyło. Obydwoje musielibyśmy się bardzo postarać, by to sobie powiedzieć prosto w oczy.

Chciałam usłyszeć to od Maćka. Postanowiłam sobie, że jak usłyszę, zostawię w cholerę wszelkie romanse, przyjaźnie, narzekania, że będę żoną. Dobrą żoną. Będę sprzątać, robić obiady, dogadzać mężowi i nerwy trzymać na wodzy. Tylko chciałam to usłyszeć.

Była już chyba połowa listopada, zrobiło się zimno. Kupiłam Maćkowi ciepły polar, bo stary pamiętał jeszcze nasze górskie wędrówki. Jak zwykle nie chciał polaru i niczego nie potrzebował. To nic, że tamten już się nie nadawał, by gdziekolwiek w nim wystąpić, nawet na budowie własnego domu. Nie odważyłam się go wyrzucić. Zbyt wiele wspomnień. Na przykład ten czarny spalony punkcik na rękawie. Pamiątka po pierwszym wypalonym przeze mnie papierosie. Maciek uczył mnie, jak się zaciągać.

– Kochanie, bierzesz, wkładasz do ust, wdychasz powietrze i mówisz „yyy, mama idzie”.

– Yyy... – Nie zdążyłam powiedzieć, że mama idzie, bo dostałam takiego ataku kaszlu, że wymachiwałam rękami i miałam wrażenie, że dym bucha mi nie tylko

ustami, ale również nosem, uszami oraz wszystkimi otworami w ciele, których każdy człowiek ma niemało.

Po tym przedstawieniu Maciek stwierdził, że nie powinnam palić, a jeżeli już, to waniliowe cygaretki.

– Kotku, taką to pyk, pyk sobie pykasz. A jeszcze lepiej jak ma słodki ustnik. To już w ogóle nie musisz nawet odpalać.

Maciek palił sporadycznie. Czasem wyczuwałam od niego woń papierosów, ale palacegowidziałam go zaledwie kilka razy.

Kiedy kupiłam mu nowy polar, również poczułam ten charakterystyczny zapach.

– Paliłeś? – zapytałam, zanurzając twarz w rękawie marynarki, którą właśnie zdjął.

– Zdenerwowałam się.

– Problemy w pracy? – zapytałam, podając mu obiad.

– Nie... – mruknął zamyślony. – Muszę jechać do Krakowa.

Usiadłam naprzeciwko niego.

– Znowu? Miałeś nie jechać w tym tygodniu...

– Wiem... Znowu problemy na budowie.

Wiadomo. Znam dwa małżeństwa, które rozeszły się przez budowę domu. Wieczne kłopoty, wieczny stres. Nie dali rady tego przetrwać.

– Szkoda... Myślałam, że spędzimy ten weekend razem. – Wtedy szczerze tak myślałam.

– Innym razem. Dzisiaj muszę jechać.

– Już dziś? Na noc?

– Jutro rano mam spotkanie z kierownikiem budowy – uciął.

Wstał od stołu, otworzył małą walizkę, której nawet już nie chował do pawlacza, tak często z niej korzystał. Spakował kilka potrzebnych rzeczy i poszedł do kuchni. Otworzył szafkę.

– Ja ci zrobię – powiedziałam.

Wyjęłam z szafki kawę, której nie mógł znaleźć, choć stała na widoku, wsypałam dwie łyżeczki do wielkiego kubka i zalałam gotującą się już wodą. Maciek siedział przy kuchennym stole i rzeczywiście wyglądał na bardzo zmęczonego. Postawiłam przed nim czarną kawę – innej nie uznawał – wsypałam dwie łyżeczki cukru i wyjęłam z szafki tabliczkę czekolady. Patrzyłam na męża, gdy nerwowo siorbał kawę. Pewnie myślami już był na budowie. Poczułam coś, czego nie umiałam nazwać. Miłość? Litość? Żal za straconym czasem, za straconą miłością?

– Polar ci kupiłam. – Przyniosłam z pokoju, oderwałam metki i dałam Maćkowi.

– Po co? A tamten się nie nadaje? – zapytał, ale posłusznie włożył ten nowy.

Wstał. Wypił na stojąco jeszcze dwa łyki, sprawdził, czy w portfelu ma dokumenty.

– Muszę lecieć – powiedział.

Pokiwałam głową. Odprowadziłam go do drzwi. Gdy był na półpiętrze, zawołałam:

– Maciek, zaczekaj! – Zbiegłam szybko po schodach. – Maciek... Czy ty mnie

kochasz?

– O co ci chodzi? – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– O nic... Po prostu chcę wiedzieć, czy jeszcze mnie kochasz?

– Jasne, że tak, nie wiem, co ci przyszło do głowy. – Wzruszył ramionami i cmoknął mnie w czoło. – Muszę już iść.

– Powiedz mi to. – Złapałam za poły polaru i spojrzałam w jego zmęczone oczy.

Odsunął mnie od siebie.

– Pogadamy, jak wrócę. Naprawdę muszę iść. Pa. – Pomachał mi i zszedł na dół.

Nie powiedział mi tego. Nie wymówił dwóch prostych słów. Tak bardzo były mi wtedy potrzebne. Zamierzałam tego wieczoru skorzystać z rady Gośki, włożyć szpilki, koronkowe stringi i pończochy. Ba, mogłam nawet zatańczyć przed nim albo zrobić striptiz, jeśli by tego chciał. Mogłam zrobić wszystko. Dla niego. Byleby na końcu usłyszeć: „Kocham cię”. Niestety.

O drugiej w nocy dostałam esemes o treści: „Zajechałem”. Dobrze i to.

W sobotę spotkałam się z Pawłem. Kusiło mnie, by zaprosić go do siebie, ale czułam, że nie byłby odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Pojechałam zatem do niego i było... Tak jak zawsze.

Nie mogłam się z nim spotkać u mnie. To było miejsce moje i Maćka. Nasze łóżko, nasza pościel, nasze ręczniki w łazience. Nasz widok przez okno i nasze akwarele na ścianach.

Paweł pasował tylko do swojego biura. I tylko tam mogłam z nim być, mogłam się na tyle zrelaksować, że bez oporu wpadałam mu w ramiona.

W domu pewnie nieustannie miałabym przed oczami Maćka. I te jego zmęczone oczy.

Tego dnia myślałam o Maćku. Nawet wtedy, gdy po wszystkim Paweł gładził mnie po ramieniu. Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że robi to mój mąż.

Maciek wrócił jeszcze bardziej zmęczony i jeszcze bardziej zdenerwowany. Nie miałam odwagi pytać, czy mnie kocha. Może wtedy nie był to właściwy czas na tak ważne pytania? Może mężczyźni nie rozumieją, że czasem te zwykłe słowa są bardzo potrzebne.

Ja pragnęłam ich jak wody. Nie tylko słów. Także miłości i czułości. Bez tego usychałam. Maciek tego nie dostrzegał.

W następnym tygodniu mój mąż również pojechał do Krakowa. Im częściej tam

jeździł, tym bardziej nienawidziłam tego domu, tego miejsca. Złapałam się na tym, że gdy w telewizji zobaczyłam Kraków, zmieniałam kanał.

– Masz alergię na smoka? – śmiała się Gośka.

Jasne, na wakacje – z przyjemnością. Mieszkać pewnie też bym tam mogła, ale nie takim kosztem. Zaczęłam się zastanawiać, czy jak już zamieszkamy razem w tym krakowskim domu i nagle będziemy mieć dla siebie wszystkie weekendy, to czy się nie pozabijamy. Czy nie zanudzimy się na śmierć?

Przecież ja już nawet nie potrafiłam rozmawiać z Maćkiem. Bo i o czym? O domu? O spadkach na giełdzie? O książkach, które ostatnio przeczytałam, nigdy z nim nie rozmawiałam. Maciek nic nie czytał. No, chyba że te swoje „Biznesmeny”, siedząc w toalecie.

Teraz byłam wiecznie sama, narzekałam, ale nauczyłam się z tym żyć. Miałam książki, komputer, internet. Dawałam radę. Czy nauczę się z powrotem życia z Maćkiem?

Znowu nie chciał, bym z nim jechała. Czasem jeszcze pytałam. Ale już coraz rzadziej. Znowu ominie go impreza rodzinna. Urodziny mamy. Nic specjalnego, jedynie rodzice i ja. Miał być jeszcze Maciek. Kupiłam mamie akwarelę, piękne jesienne brzozy. Były tak piękne, że długo wahałam się, czy na pewno powinnam je oddać. Jednak oprawiłam, jak należy, pod szkło, zawinęłam w błyszczący papier i poszłam na sobotni obiad.

Pierwszym pytaniem rodziców, zaraz po tym, jak odśpiewałam „sto lat” w towarzystwie ujadającego jamnika, było: „gdzie Maciuś?”. Wiele z tych urodzin nie pamiętam. Jedynie szereg pytań, na które sama nie znałam odpowiedzi.

– A czy on musi tak ciężko pracować?

– A dlaczego ty (w domyśle – wyrodna córko) nie jeździsz z nim do tego Krakowa?

– A dlaczego ty w ogóle narzekasz? Przecież to taki idealny facet!

– A dlaczego jeszcze nie staracie się o dzieci? Maciuś przecież tak lubi dzieci!

– A dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Najgorsze w tym wszystkim było to, że oni tylko pytali. Tak naprawdę wcale nie chcieli znać odpowiedzi.

Przyrzekłam sobie wtedy, że to był ostatni raz, kiedy ośmieliłam się powiedzieć rodzicom o swoich odczuciach i obawach związanych z moim małżeństwem.

Na pożegnanie dostałam ciasto „dla Maciusia” i musiałam przyrzec, że sama całego nie zjem. Przyrzekłam. Jak zawsze.

Po powrocie do domu nawet nie rozpakowałam tego ciasta. Zostało na stole w kuchni, zawinięte tak, jak to zrobiła moja mama. Przecież było „dla Maciusia”.

„Stoję pod twoim domem”, napisał w esemesie. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam

ciemną sylwetkę machającą do mnie z dołu.

Michał.

Gestem zaprosiłam go do środka. Odmachał mi i po chwili był już na górze.

– Beaujolais nouveau. – Wręczył mi butelkę. – I film. – Podał płytkę.

– Widzę, że jesteś przygotowany? – Uśmiechnęłam się.

– Miałem przecucie, że będziesz potrzebować przyjaciela. – odparł.

– Jasne. – Pokiwałam głową. – Szczególnie po tym, jak ci wysłałam esemesa, że wszystko jest do dupy.

– No właśnie.

Michał miał zawsze dobre przecucia.

– Włóż do lodówki. – Wskazał butelkę. – Powinno mieć jakieś osiem stopni. To młode wino. Jest tak samo pyszne jak niewinne, młode dziewczęta. – Uśmiechnął się. – No co? – zapytał, widząc mój wzrok. – Przeczytałem to dzisiaj.

– Mnie do niewinności daleko – zauważyłam, wkładając wino do lodówki.

Michał nawet nie miał pojęcia, jak bardzo miałam rację.

– Wyglądasz całkiem niewinnie. – Wzruszył ramionami. Wskazał na odtwarzacz DVD. – *Wielki błękit*. Znasz?

– Nie.

– Niemożliwe. Każdy oglądał *Wielki błękit* – zapewnił z uśmiechem. – Niektórzy nawet jakieś pięć razy. I z przyjemnością obejrzą jeszcze raz. – Włożył płytę do odtwarzacza. – Zawsze chciałem go z tobą obejrzeć. Wiesz, że nurkuję?

Nie wiedziałam. Tak mało o nim wiedziałam, a tak dobrze się rozumieliśmy. Już potrafiliśmy rozmawiać. Nie musiałam się zastanawiać o czym. Po prostu rozmawialiśmy. A gdy nie mieliśmy na to ochoty – milczeliśmy.

Wtedy, oglądając ten film, siedziałam przytulona do Michała i nie czułam, o dziwo, że robię coś niewłaściwego. Po prostu oglądałam z przyjacielem film.

W trakcie przyniosłam ciasto od mojej mamy „dla Maciusia” i z wielką przyjemnością obserwowałam, jak znika w ustach Michała. Moja mama była mistrzynią szarlotki.

– Musisz spróbować – powiedział pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Co spróbować? Szarlotki? – zapytałam zdziwiona.

– Nie – zaprzeczył. – Nurkowania.

– No co ty. Bałabym się. – Wzdrygnęłam się.

– Nie ma się czego bać. Jak wiesz, co robić i nie szalejesz, jesteś bezpieczna.

– Pod wodą jest ciemno i zimno. – Przykryłam się kocem. – Twoja żona nurkuje?

– Nie. Bała się. Kilka razy próbowała, ale uparcie twierdziła, że albo maska paruje, albo nie może ciśnienia wyrównać w uszach... Plucie do maski też jej się nie podobało.

Wiesz, ona z tych „higienicznych”.

– Plucie? Nie rozumiem.

– Żeby maska nie parowała, musisz napluć i rozmazać – wyjaśnił.

– O matko! – Uśmiechnęłam się. – No, ale jak mus, to mus! Mogłabym sobie popluć trochę. – Bardzo byłam tym rozbawiona.

– Wiesz... Kiedy nurkujesz, wszystko poza tym przestaje być istotne. Najważniejsza jesteś ty i woda. Wszystkie kłopoty zostawiasz na powierzchni. Tam, po wodą, one cię zupełnie nie dotyczą. Jesteś tylko ty i woda.

Och, jak ja chciałabym chociaż na chwilę oderwać się od codzienności, choćbym nawet miała zanurzyć się pod wodę.

Na sekundę przestać myśleć o tym co złe. Niestety, nie było to łatwe.

Michał wyszedł po północy. Zostawił jedynie ślad w postaci okruszków ciasta „dla Maciusia”.

Następnego dnia zadzwoniła Gośka z propozycją wyjazdu na Kaszuby.

Dla niej każdy pretekst był dobry, by coś się działo.

– Ewcia, jedziemy uczcić Dzień Niepodległości.

– No, okej. Pogadam z Maćkiem – powiedziałam niepewnie.

– Kochana, musicie jechać. Teraz to rach ciach, jedna decyzja, wsiadacie w samochód i jedziecie. Jak będziecie mieli dzieci, tak łatwo nie będzie. Trzeba będzie zsynchronizować wasz czas wolny z czasem i ochotą babci, niańki czy innej opiekunki! A to nie takie łatwe!

– Ech, dzieci...

– Nadal nic?

– Nic. Ale nie było okazji. Maćka ciągle nie ma albo zmęczony.

– Cholera, nadal nie chce dzieci?

– No nie. Najpierw dom, praca.

Robiłam chyba trzy podejścia, by Maćkowi powiedzieć o propozycji Gośki. Zaprosiła jak zwykle do swojego domku. Połowa listopada, zimno jak cholera, ale Gośka stwierdziła, że jak się człowiek odpowiednio ubierze i porzuci koronkowe stringi, które prześwitują przez spodnie, na rzecz gaci barchanowych, to na pewno nie zmarznie. Oczywiście, mówiąc to, nie spuszczała ze mnie śmiejących się oczu.

Maciek o wyjeździe nawet nie chciał słyszeć. Zatem pierwszy raz w życiu pojechałam gdzieś bez męża.

– Widzisz? – zapytała Gośka, prowadząc swojego mercedesa. – Krok do przodu. Bardzo protestował?

– W sumie nawet nie... – odparłam zamyślona.

Rzeczywiście, Maciek nie protestował. Stwierdził tylko, że nie będzie w idiotyczny sposób świętował Dnia Niepodległości, bo to zbyt poważne święto. Państwowe i trzeba

się odnosić z szacunkiem. Nie będzie zatem jeździł w listopadzie do domku z drewna i nie będzie, szcękając zębami, śpiewał piosenek patriotycznych.

My z Gochą właśnie tak zaplanowałyśmy sobie ten wieczór.

Zaparkowała pod jabłonką, już dawno ogołoconą z jabłek przez okoliczne ptactwo, wyszła z samochodu i zaczęła śpiewać.

Nim nadeszła północ, pieśni patriotyczne i żołnierskie zostały wyśpiewane już wielokrotnie, a w kuchni stały dwie puste butelki po winie, z którego zrobiliśmy sobie grzańca.

– Może powinnam zadzwonić i spytać, co z Amelką? – rzuciła Gośka w niezbyt długim przeblysku świadomości.

– Jakby coś było nie tak, Misiek by zadzwonił. Wiesz, jaki on jest.

– Wiem... – rozmarzyła się Gośka. – Cholera! – wykrzyknęła po chwili. – Ty wiesz, jaki mamy rok?

Spojrzałam na nią jak na wariatkę.

– No... A o co chodzi? – zapytałam, dopijając lekko ciepłe już wino.

– Puszka! – zawołała.

– O nie, Gocha! Puskę miałyśmy otwierać tylko w takim składzie, w jakim była zakopywana. – Próbowałam ją powstrzymać.

Nie dało się. Gośka już szukała kluczy do piwnicy, by wyciągnąć łopatę.

– Gocha! Nie będziesz w środku nocy kopać w ogródku! Dziewczyno, ty naprawdę jesteś już pijana.

– Będę – ucięła krótko. Po chwili wychodziła z piwnicy, podpierając się łopatą, którą mi wręczyła.

– Ja nie kopię – oświadczyłam. – Były ustalone inne zasady.

– Chrzanić zasady – krzyknęła Gośka z piwnicy, skąd brała drugą łopatę. – Pamiętasz, gdzie to było? – zapytała, gdy wyszła na zewnątrz.

– Boże, Gocha, nie mam pojęcia – westchnęłam.

– Musimy sobie przypomnieć. – Zmarszczyła brwi. – Gdzieś koło tej sosny chyba?

– Gosia, zostaw... – Nie chciałam kopać, nie chciałam czytać o swoich marzeniach sprzed dwunastu lat, bo nie sądziłam, żeby się spełniły...

– Ewa, skupmy się. – Wcale mnie nie słuchała. – Tak. To na pewno było pod sosną. Od strony jeziora kiedyś robiłam pogrzeb myszce ryjówce, a po stronie domku zakopaliśmy puszkę.

– Komu? – zapytałam.

– Co komu?

– Pogrzeb.

– Myszce ryjówce – odpowiedziała Gocha, całkiem trzeźwym, jeśli wziąć pod uwagę ilości wypitego alkoholu, głosem. – Nie robiłaś nigdy pogrzebów?

– Boże, Gocha, co ty?

– Mniejsza z tym. Kopiemy. – Gosia była stanowcza. – To nie było zbyt głęboko.

Może metr.

Cóż miałam robić. Kopałam. Po kilku minutach moja łopata uderzyła o coś twardego.

– Puszka – oświadczyła Gosia.

– Puszka – powtórzyłam.

Wyciągnęłyśmy tę puszkę. Była zardzewiała.

Gocha objęła ją niczym cenny skarb, porzuciła łopatę i poszła w kierunku domu.

Wzięłam łopaty, schowałam je do piwnicy. Nie chciałam otwierać tej puszkę. Gocha kierowała się jakąś niezdrową ciekawością, by się dowiedzieć, co Misiek napisał, ja nie chciałam nic wiedzieć. Po co? Żeby się okazało, że wszystkie moje marzenia pozostają nadal w niebycie? Weszłam do domu. Gocha siedziała po turecku przed kominkiem, trzymając nadal zamkniętą puszkę na kolanach.

– Nie otworzyłaś?

– Nie. Czekam na ciebie – odpowiedziała.

Na twarzy miała wypieki. Nie wiedziałam, czy to od chłodu listopadowego wieczoru, od ognia, czy może z nadmiaru wrażeń.

– No dobra. – Wskazałam na puszkę. – Otwieraj, jak musisz.

– Otwieram.

Gocha podważyła śrubokrętem wieczko, które, o dziwo, bez trudu ustąpiło.

Wyciągnęła gruby worek foliowy.

– Pamiętasz, Misiek uraczył nas opowieścią, jak długo w ziemi rozkłada się folia? – szepnęła. – Nie pamiętam, ile lat, ale jakoś strasznie długo... – Rozerwała reklamówkę, potem dwie kolejne. W środku były koperty.

– Mam. Miśka, moja... A to twoja. – Podała mi kopertę. – Kurde, gdzie jest Marty?

Trzymałam swoją kopertę w dłoniach, bojąc się otworzyć.

– Ewa, możesz mi pomóc znaleźć kopertę Marty? – zapytała. – O, mam już.

Położyła przed sobą trzy koperty.

– Nie czytasz? – dodała po chwili.

– Czytam – odpowiedziałam. Rozdarłam swoją kopertę.

Gosia w tym czasie zdążyła otworzyć wszystkie trzy. Swoją natychmiast wrzuciła do ognia, narzekając, że była głupia i infantylna i wypisała same głupoty. Marty i Miśka zostawiła na koniec.

– Matko, ona tu wszystko wypisała! – powiedziała, czytając to, co napisała Marta. – Wakacje nad morzem i praca w banku. Dwójka dzieci. I to z moim Miśkiem! – Gosia była oburzona.

Słuchałam Gosi, a moja rozdarta koperta nadal skrywała to, co napisałam dwanaście lat temu.

– Ty wiesz, co ten idiota napisał? – Gośka wstała z podłogi. – No, normalnie idiota! – Wrzuciła zgniecioną papierową kulkę do kominka. – Idiota napisał, że będzie miał mercedesa! No i kurna, ma mercedesa! Znaczy się ja mam! A gdzie ja w tym mercedesie? Nie ma mnie! Nie ma mnie w tym pieprzonym mercedesie!

– Gosia, wyluzuj...

– Okej, wyluzowałam. Idę spać.

Po chwili wkurzona Gosia już spała na tapczanie, skulona w kłębek.

Wyjęłam swoją kartkę z poźółkłej koperty.

PO PROSTU BĘDĘ SZCZĘŚLIWA.

Wielkie drukowane litery wypełniały całą wolną przestrzeń.

Uśmiechnęłam się smutno i wrzuciłam kartkę do kominka. Obserwowałam ogień, który spalał poszczególne wyrazy. PO – PROSTU – BĘDĘ... Odwróciłam się. Nie chciałam patrzeć, jak płonę ja „szczęśliwa”.

– Idę spać – powiedziałam bardziej do siebie niż do śpiącej Gośki. Dołożyłam kilka polan do kominka. Położyłam się obok niej. Nie mogłam zasnąć.

„Po prostu będę szczęśliwa”. Nie pisałam wtedy o mężu, o dzieciach, o karierze zawodowej czy o dalekich podróżach. Nie pisałam o mercedesie... Ha, nie pisałam też o kochanku i przyjacielu, któremu zwierzam się ze wszystkich problemów. Dałam sobie szansę wyboru. Miałam po prostu podążać właściwą drogą, u której celu stoi szczęście. Tymczasem, niestety, zablądziłam. Zagubiłam się w tym świecie, dokładnie tak jak kiedyś przed laty, gdy byłam dzieckiem. Wtedy rodzice znaleźli mnie płaczącą, schowaną za jakimś dużym drzewem. Teraz chyba nikt mnie nie znajdzie. Nikt nie wskaże właściwej ścieżki, trzymając za rękę, bym na pewno nią poszła. Muszę sama podejmować decyzje i sama kontrolować wszystkie zakręty życiowe. Już nie jest tak, że gdy mama w pobliżu, życie jest proste.

Kiedyś opiekowałam się trzyletnią córeczką kuzynki. Czytałam jej baśń o Calineczce. Cierpliwie wysłuchiwała całej opowieści oraz jej szczęśliwego zakończenia, kiedy Calineczka trafia wreszcie na swojego ukochanego i wszystko zmierza do happy endu. Po chwili jednak zapytała z nadzieją w głosie: „I potem Calineczka poszła do mamy?”. Dla takiej małej dziewczynki bycie z mamą powodowało rozwiązanie wszelkich życiowych problemów. U mamy w ramionach czuła się zawsze szczęśliwa.

Niestety, wszystkie dziewczynki wyrastają. I już nie jest tak łatwo.

Następnego dnia obudziłam się dosyć późno. Wstałam i wyjrzałam przez okno.

Gośka szła właśnie do domu obładowana gałęziami do spalania.

W kominku dogasał żar. Schyliłam się i podniosłam z paleniska częściowo zwęgloną kartkę.

Moją kartkę.

„SZCZĘŚLIWA”, przeczytałam.

Nie spaliło się. Trzymałam ten świstek chwilę w dłoni, po czym schowałam do kieszeni. Nie dam szczęściu zniknąć.

Będę jeszcze szczęśliwa.

PO PROSTU BĘDĘ SZCZĘŚLIWA.

- To będzie najsmutniejsza Wigilia w życiu – powiedział Michał, gdy się spotkaliśmy jakiś czas później. Zadzwonił i zapytał po prostu, czy mam ochotę na spacer. Miałam. Szliśmy alejkami parku Oliwskiego, Michał karmił ledwo pływające już z przejedzenia kaczkę. Nerwowo drobił bułkę i wrzucał do stawu.
- Ze względu na Julkę? – zapytałam.
- Nie tylko... Ze względu na całokształt – odpowiedział.
- A twoja żona nie może się nagiąć i tego jedyne dnia spędzić z wami?
- Wiesz... – westchnął. – Może i by mogła... Ale powiedziała mi, że na tej Wigilii nie będzie sama. Uważa, że to dobry czas, by kogoś Julce przedstawić.
- Czyli... – Spojrzałam na niego badawczo. – Miała kogoś?
- Na to wygląda. – Wzruszył ramionami i cisnął całkiem sporym kawałkiem bułki. – A ja nic nie wiedziałem. I czułem się tym złym, odchodząc. A jej to nawet było na rękę...
- Pewnie dlatego tak łatwo to przyjęła?
- Pewnie tak... A teraz inny facet będzie spędzał święta z moją córką. Złapałam go za rękę.
- A może weź Julkę na spacer? Może zróbcie sobie Wigilię tylko we dwoje? Nie musi to być kolacja... Ubierzcie razem choinkę, cokolwiek!
- Ech... Wiesz... Już nie mam na nic ochoty. Najlepiej by było gdzieś wyjechać. Na koniec świata. – Uśmiechnął się smutno.
- A rodzice?
- Co rodzice? – zapytał. – Oni myślą, że już i tak wystarczająco zły jestem, bo Magdę zostawiłem.
- Może czas im powiedzieć, że ona szybko znalazła pocieszenie?
- Myślisz, że uwierzyliby? – Pokręcił z powątpiewaniem głową.
- Nie wiedziałam, co powiedzieć. Złapałam go pod rękę i tak w milczeniu przeszliśmy aż do Pałacu Opatów. Zadzwonił telefon.
- Tak, Maciek, zaraz będę... – Dzwonił mój mąż, by zapytać, gdzie ja, do cholery, jestem i co z obiadem. Nie ma to jak miła rozmowa z własnym mężem.
- Ziemniaki na kuchence. Wstaw je. Ja za chwilę będę w domu. Tak, posolone.
- Dobrze ma – zauważył Michał. – Obiadek na stole, żona na miejscu...
- Taa... – westchnęłam. – On tego chyba nie docenia – powiedziałam.
- Maciek był mężczyzną, który uznawał jedyny słuszny podział ról. Mężczyźni zarabiają pieniądze, a kobiety robią resztę. Zabezpieczają tyły, by mężczyzna w spokoju mógł te pieniądze zarabiać. Czyli piorą, gotują, sprzątaj, dogadzają, nie

budzą, kiedy śpi i nic od niego nie chcą. I wtedy mąż może pracować i zarabiać na rodzinę. Czasem okazywał wielkie zdziwienie, gdy ja chciałam od niego czegoś więcej.

Podczas naszych dyskusji zazwyczaj stawiał mi przykład czasów prehistorycznych, kiedy to mężczyzna latał na golasa z dzidą, by upolować jakiegoś zwierza. Kobieta zabezpieczała mu w tym czasie cały dobytek, a gdy z dumą przytargał na swoich umięśnionych plecach zwierzynę, opatrywała mu rany i chwaliła wniebogłosy, jakiego to ma dzielnego chłopca. A potem dogadzała mu na wszelkie możliwe sposoby. Gadał tak, jakbym ja nie zarabiała. Szkoda tylko, że podczas tej podróży przez stulecia zapominał, że kobiety przede wszystkim zajmowały się dziećmi. O tym już nie raczył pamiętać. Dzieci były dla niego w dalszym ciągu tematem niewygodnym.

Michał odprowadził mnie do tramwaju, pojechałam do domu.

Gdy przyjechałam, weszłam do kuchni, Maciej walczył z ziemniakami, usiłując je odcedzić.

– Gdzie byłaś tak długo? – zapytał.

– Mówiłam ci. Musiałam się spotkać ze znajomym.

Nie zapytał o nic więcej.

– Nie jesteś ciekaw, z jakim znajomym? – Gdyby on spotkał się z koleżanką, ja chyba już dawno bym oglądała jej zdjęcia na wszystkich znanych mi portalach społecznościowych i drżała o przyszły los naszego małżeństwa.

– Z jakim znajomym? – zapytał mechanicznie.

– Z dawnym... – odpowiedziałam, widząc, że nie ma sensu kontynuować tematu.

Obiad zjedliśmy bez słowa. Spoglądałam na jasną czuprynę mojego męża i jego jeszcze niedawno śmiejące się oczy. Bardzo mi tego brakowało.

„Zazdrość to cień miłości. Im większa miłość, tym większy cień”, przeczytałam gdzieś kiedyś.

Miłość mojego męża do mnie nie miała cienia. Wtedy nie chciałam myśleć, że skoro nie ma cienia, miłości najprawdopodobniej również brakuje...

– Wigilia to święto rodzinne – oświadczyła moja mama, dzwoniąc do mnie kilka dni przed Bożym Narodzeniem. – Zatem oczekujemy was o szesnastej.

Pierwszy raz w życiu nie czułam świąt. Nie czułam tej atmosfery, a *White Christmas* słyszane po raz setny w supermarkecie doprowadzało mnie do szewskiej pasji. Teledysk jeszcze bardziej. Święta były bure, szare i ponure. Podobnie jak mój nastrój.

Zmusiłam się, by pojechać do sklepu, kupić jakiś drobiazg Amelce.

– Bez sensu te prezenty – mówił Maciek. – Na cholereę człowiek wydaje kasę na przedmioty, które potem się walają po kątach? Zawsze dostajesz tyle tych pierdół,

świeczek, pachnideł, a potem potykam się o to w całym domu!

Maciek należał do osób, które najchętniej spędziłyby święta samotnie w łóżku przed telewizorem, zamawiając pizzę przez telefon.

Atmosfera świąteczna? Nie w tym przypadku.

– Załatwisz choinkę? – pytałam co roku, doprowadzając męża do szewskiej pasji. – Tylko proszę, nie w Wigilię...

Załatwiał. Przeważnie w Wigilię, około piętnastej, nadchodził dumny i blady z powodu, że udało mu się kupić taki piękny okaz.

W tym roku było podobnie. Choinka nie była zła. Pod warunkiem, że mocno przysunęło się ją do ściany. Wtedy nie było widać poucinanych i połamanych gałązek.

– Nikt by ciebie nie kupił... – mówiłam, ubierając ją. – Dobry człowiek z tego mojego męża, że się zlitował.

Perspektywa świąt u moich rodziców jawiła mi się koszmarem. Nie miałam humoru, nie miałam nastroju, by siedzieć przy stole wigilijnym i udawać szczęśliwą rodzinę.

– Rodziców też zaprosiłem – oświadczył Maciek, gdy stałam na krześle i wieszłam gwiazdę na czubku.

– Rodziców? – Omal nie spadłam.

– Wigilia to święto rodzinne – powtórzył jak papuga po mojej matce.

– Rodzinne... – powtórzyłam cicho.

Moja mama wprawdzie uważała, że Wigilia jest świętem rodzinnym i chciała je celebrować z należyтым szacunkiem, jednakże przygotowania zostawiała specjalistom. Okna myła pani z Ukrainy, sprzątała jej siostra, pierogi lepila jakaś babka spod Żukowa, a nad jakością pozostałych dań czuwał catering. Już nawet nie wiem skąd.

Nie przeszkadzało to mojej matce w święta udawać bardzo zmęczonej życiem.

Zawsze tachałam na Wigilię słoiki ze śledziami, blachy pełne wypieków. Często zupełnie niepotrzebnie. W tym roku nic nie zanieśliśmy.

– Co mam zabrać? – zapytał mąż, gdy wychodziliśmy.

– Prezent dla mnie – zażartowałam.

– Przecież umówiliśmy się, że nie będzie żadnych prezentów! To dobre dla dzieci!

W kwestii prezentów zawsze czułam się dzieckiem. Uwielbiałam je dawać i otrzymywać. Nawet nie wiem, co bardziej... Umowa pomiędzy mną a moim mężem pozbawiła mnie podwójnej przyjemności.

Wzięłam mały kartonik z książkami, mimo bzdurnych ustaleń znajdowała się tam też lektura dla Maćka, i wyszliśmy z domu.

– Dzieciaczki przyszły! – Mama otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem. – Twój

rodzice już są – szepnęła konspiracyjnie do Maćka.

– Dzień dobry, mamusiu! – krzyknął Maciek i rzucił się, by swoją mamę wycałować.

– Odwzajemniła uścisk.

– Witaj, Ewuniu. Marnie coś wyglądasz. Oczy podkrążone, cera blada. Nie dbasz o nią, synku!

Uśmiechnęłam się z trudem i musnęłam ustami powietrze w okolicy policzków teściowej. Teść jak zawsze przytulił mnie z uśmiechem. Był zupełnie inny niż żona i syn. Potrafił cieszyć się życiem i okazywał to na każdym kroku.

Gdzieś pomiędzy barszczem a rybą teściowa zaczęła się we mnie intensywnie wpatrywać.

– Ewuniu, a ty czasem nie jesteś w ciąży?

Przy stole zapanowała niezręczna cisza. Ale ileż można udawać, że się ma pieroga w ustach? Cała rodzina z wyjątkiem Maćka spoglądała na mnie pytająco.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłam.

– Może najwyższy czas? – zauważyła mama. – Ja w twoim wieku miałam już pięcioletnią córkę! Ale teraz czasy są inne. – Spojrzała porozumiewawczo na mamę Maćka. – Ta gonitwa za pieniędzmi, karierą! Nie rozumiem młodych! Nie wiedzą, co w życiu ważne!

Spuściłam głowę, oglądając srebrny widelec z zastawy wyciąganej jedynie na specjalne okazje.

– Ewuniu, nie można tak. – Teściowa kontynuowała wywód mamy. – Praca nie zając, nie ucieknie.

– No właśnie, Irenko – potwierdziła moja mama. – A zegar biologiczny tyka!

Czułam się jak na froncie, atakowana przez armię wroga. Mój mąż się nie odzywał.

– A może porozmawiacie o tym z Maćkiem? – zapytałam przez łyżę. – Dlaczego tylko mnie atakujecie?

– Maćkiem? – zdziwiła się teściowa.

Wszystkie spojrzenia powędrowały na Maćka. Mój mąż milczał.

– Maciek? – zapytał tata.

– Jaki atak! – Uśmiechnął się. – Kotek pracę dopiero zaczął.

Zmrużyłam oczy, jaki kotek, do cholery?

– Nie można tak od razu – kontynuował. – Nie ma jeszcze umowy na stałe...

– Mówiłam! – krzyknęła mama. – Kariera najważniejsza. – Pokiwała głową. – Tym dzieciakom to się w głowach przewracało!

W tym momencie nie wytrzymałam. Spojrzałam na Maćka.

– A może powiesz, jak jest naprawdę? – wycedziłam. – Może powiesz, że niemal codziennie błagam cię o dziecko, że marzę o nim od dawna, a ty jesteś nieugięty? Może wreszcie się do tego przyznasz? Nie potrafisz? – Przelykałam łyżę. – Ja dziecko chętnie.

– Wstałam od stołu. – Ale aktualnie nie mam z kim.

Zostawiłam ich przy stole z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Gdy

wychodziłam cicho od rodziców, usłyszałam jedynie:

– Maciuś?

Nie interesowało mnie już, co się u nich działo. Wigilia to święto rodzinne. Jak cholera.

Wyłączyłam telefon i wezwałam taksówkę. Po kilkunastu minutach byłam u Gośki.

– Gocha... – powiedziałam przez domofon. – Macie wolne miejsce przy stole dla niezapowiedzianego gościa?

U Gosi i jej rodziny spędziłam jedną z najwspanialszych Wigilii w życiu.

Okolo północy wracałam do domu. W taksówce włączyłam telefon. Kilkanaście nieodebranych połączeń od mamy, od Maćka. Sporo esemesów z życzeniami. I ten jeden: „Smutno samemu w Wigilię. Barszcz, choćby i najlepszy, nie smakuje dobrze w samotności. Szczęścia”.

– Śpisz? – Zadzwoiłam do Michała, gdy stałam pod swoją klatką.

– Zasypiałem. Wesołych Świąt – odparł smutno.

– Szczęścia, Michał. Żeby ci się wszystko w życiu poukładało!

– Dziękuję. A jak u ciebie? Rodzinnie?

– Bardzo – odparłam sarkastycznie.

Opowiedziałam mu wszystko. O „rodzinnej” Wigilii u moich rodziców i o spontanicznej wizycie u Gosi.

– Wiesz, co było w tym wszystkim najważniejsze? – zapytałam.

Nie odpowiedział.

– Michał, ja zobaczyłam, jak wygląda szczęście!

Po tej Wigilii między nami było jeszcze gorzej.

Jasne, po moim wyjściu rodzina załamała się moją postawą, zarówno tym, że ośmieliłam się zostawić ich samych w „rodzinne święto”, jak i tym, że karierę przedkładałam nad życie rodzinne.

Maciek miał dużo czasu, by przedstawić to rodzicom w ten sposób. Ja karierowiczka. Zabawne...

Rozmowy z nim coraz częściej doprowadzały mnie do granic wytrzymałości. Kilka razy podczas awantur poprosiłam Maćka, by odszedł. Płacząc, zaciskałam pięści i mówiłam:

– Maciek... Proszę, byś się wyprowadził.

– Wyrzucasz mnie? – pytał.

– Nie, nie wyrzucam. Po prostu proszę cię, byś się wyprowadził. – Staralam się mówić spokojnie. – Chociaż na jakiś czas.

– Wyrzucasz mnie! – mówił oskarżycielsko.

„Wyrzuciła mnie, bo nie włożyłem naczyń do zmywarki!”. Niemalże widziałam billboardy, na których mój mąż siedzi przykryty starymi gazetami, kartonami i moknie w strugach deszczu. „Wyrzuciła mnie, bo zjadłem wszystkie pączki. Od Bliklego”.

Zostawiałam temat jego ewentualnej wyprowadzki na jakiś czas. Aż do następnej kłótni, która następowała zwykle szybciej, niż się spodziewałam. I wtedy znowu proponowałam chwilowe rozstanie, aż do momentu, kiedy usłyszałam oskarżycielskie „Wyrzucasz mnie”.

Teraz sama się sobie dziwię, dlaczego nie powiedziałam: Tak, masz rację. Wyrzucam cię. Idź w cholere, nie chcę cię więcej widzieć.

W wyobraźni mówiłam sobie to wielokrotnie. Czasem nawet do siebie, przed lustrem. Jednak gdy dochodziło do sytuacji, że miałam te słowa powiedzieć Maćkowi prosto w oczy, traciłam odwagę. Na nic wieczorne treningi przed lustrem w łazience, zaraz po tym jak kończyłam zmywać makijaż.

Samemu łatwo odejść. O wiele trudniej jest wyrzucić kogoś z domu. Gdybym miała gdzie, odeszłabym już dawno.

W końcu wyniosłam się do Gośki.

Nie zamierzałam jej siedzieć długo na głowie, chciałam poszukać jakiegoś lokum albo doprowadzić do tego, by Maciek się wyprowadził.

Tak, to było lepsze rozwiązanie. Głupotą byłoby uciekać z własnego domu. Nie miałam jednak wtedy siły, by walczyć.

Tamtego dnia przelała się jednak czara goryczy albo po prostu... Po prostu miałam zły dzień.

Poszło o samochód. Samochód, którego nie posiadałam, a który coraz bardziej był mi potrzebny. Miałam już dość stania na przystankach i biegania w szpilkach za autobusami, wiecznej gonitwy ze spotkania na spotkanie, by zdążyć na czas. Zarabiałam całkiem nieźle. Może nie na tyle dobrze, by kupić samochód za gotówkę, ale na comiesięczne raty byłoby mnie stać.

– Zastanawiam się nad kupnem samochodu – powiedziałam któregoś wieczora, gdy wspólnie oglądaliśmy telewizję.

– Jakiego? – zapytał.

– No, nie wiem... – Wzruszyłam ramionami, dość zaskoczona, że mąż od razu nie protestuje. – Może mi coś doradzisz?

– A dla kogo ten samochód?

– No... Jak to dla kogo? – Spojrzałam na niego zdumiona. – Dla mnie.

– Dla ciebie? – Dopiero teraz oderwał wzrok od Moniki Olejnik. – Po co ci samochód?

– No... Jak to po co? – zapytałam. – A po co tobie samochód?

– Nie żartuj – prychnął.

– Nie żartuję. – Popatrzyłam na niego badawczo. – Odpowiedz mi na pytanie... Po co ci samochód?

– A co? Na przesłuchaniu jestem? – zaatakował mnie. – I muszę odpowiadać na pytania?

– Maciek... Możemy normalnie porozmawiać? – zapytałam spokojnie.

– Przecież rozmawiamy normalnie.

– Nie, Maciek. Nie rozmawiamy. – Staralam się być spokojna. – Powiedziałam ci, że mi potrzebny samochód. I że chcę go kupić.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Za co?

– Mam pieniądze. Resztę wezmę w kredycie. Chciałabym tylko, byś na ten kredyt się zgodził. Bo chyba to jest potrzebne.

– Zwariowałaś. Mamy przecież samochód!

– Ty masz samochód – odparłam.

– Przecież ty nawet nie umiesz jeździć! Kiedy ostatnio siedziałaś za kierownicą?

– Nie jeżdżę, bo mi nie pozwalasz...

– Trudno, żebym ci pozwalał. Zaraz byś mi samochód rozwaliła.

– No widzisz? „Ci” samochód rozwaliła. Nie „nam”.

– Łapiesz mnie za słówka.

– Nie łapię. Po prostu słucham, co do mnie mówisz.

Nie wiedziałam, jak mam argumentować, by przekonać Maćka, że naprawdę potrzebuję samochodu. Jasne, gdybyśmy przymierali głodem, w życiu bym nie wpadła

na taki pomysł. Ale nie przymieraliśmy. Powiem więcej, zarabialiśmy sporo. I Maciek, i ja.

– Na głowę upadła – mruknął pod nosem Maciek. – Dom budujemy, a ta samochód chce kupować. – Spojrzał na mnie i powiedział podniesionym głosem: – Tyłka ci się nie chce ruszać, musi się królewna samochodami wozić.

– A ty? Nie wozisz się samochodem? Może się zamienimy?

– Nie mam czasu, by potem jeździć po blacharzach i naprawiać efekty takiej zamiany – prychnął. – Koniec dyskusji.

Dla mnie dyskusja dopiero się zaczynała. Pokłóciliśmy się strasznie. Nie powiedziałam mu wtedy, żeby się wyprowadził. Trzasnęłam drzwiami, zamknęłam się w łazience i zadzwoniłam do Gośki. Oczywiście usłyszałam krótkie:

– Przyjeżdżaj.

Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i nie mówiąc nawet „do widzenia”, wyszłam z domu.

Drugi raz usłyszałam „Przyjeżdżaj”, gdy zadzwoniłam do Michała, mówiąc, że się wyprowadzam z domu.

U Gośki mieszkałam całe trzy dni.

Potem wróciłam do domu...

Maciek obiecał, że będzie inaczej, że postara się, by nasze życie się zmieniło, że przeprosza mnie za ten samochód i że jednak na kredyt się zgodzi.

Kuszona obietnicami życia niczym z romansu Daniele Steel, rozmiękczona bukietem czerwonych róż, uległam. Pakowałam się do domu przy akompaniamencie wyzwisk Gośki pod moim adresem.

– Idiotka... Ile jeszcze razy mu uwierzysz?

– Nie wiem... Może on naprawdę się zmieni.

– Marzycielka... – westchnęła Gośka. – Taka stara, a taka głupia... – Przytuliła mnie. – Ty musisz go bardzo kochać. Zupełnie nie wiem dlaczego.

Wróciłam do domu i rzeczywiście przez jakiś czas było idealnie. Nawet dwa razy byliśmy na kolacji. Raz wybraliśmy się do kina. Na teatr Maćka nie mogłam namówić.

Telefonów od Pawła nie odbierałam. Na jego mejle nie odpowiadałam. Postanowiłam być w porządku i zerwać wszelkie kontakty. Wysłałam tylko esemesa do Michała, że wszystko dobrze, że wróciłam do domu.

Zadzwonił. Słuchał mnie, takiej zaaferowanej, wręcz szczęśliwej, ale w jego głosie wyczułam, jakby powątpiewał w moją radość.

– Na pewno tego chcesz? – zapytał.

– Na pewno! – powiedziałam. – Jest cudownie. Jak kiedyś.

Wcale nie było tak cudownie, ale robiłam wszystko, by to sobie wmówić. Postanowiłam być wzorową żoną i niczym Bree Van De Camp z jedyne serialu, który oglądałam, codziennie latać ze szczoteczką do kurzu i czekać na męża z obiadem.

Załatwiłam kredyt i czekałam na swój wymarzony samochód. Niedługo, bo znaleźliśmy jeden z poprzedniego rocznika, który jakiś czas stał w salonie.

Samochód pod dom przyprowadził Maciek, prosząc, bym nie jeździła, dopóki nie poćwiczę ze mną trochę na starym pasie startowym.

Nie miał czasu w pierwszym tygodniu. W drugim też nie. Gdy upłynął miesiąc, znów się pokłóciliśmy i po raz kolejny po mojej prośbie, by się wyprowadził, Maciek spytał, czy go wyrzucam. Stare czasy wróciły.

Miałam męża, z którym nie potrafiłam rozmawiać, samochód, którym nie umiałam jeździć, i fatalny nastrój.

O ile nastrój mogła poprawić lampka wina, samochodem mogłam się nauczyć jeździć, to na męża nie miałam recepty.

– Pójdziesz ze mną na terapię? – zapytałam któregoś dnia.

– Coś ty znowu wymyśliła? – obruszył się.

– Nic. – Spuściłam głowę. – Nie dogadujemy się. Nie potrafimy ze sobą rozmawiać.

Nie jest dobrze... – wymieniałam.

– Jest dobrze! – powiedział. – Czego ty byś jeszcze chciała? Masz wszystko, co chcesz! Samochód masz, dom masz, pieniądze masz! O co ci chodzi?

– O nas... Proszę, chodź do terapeuty...

– Nie będę płacił jakiemuś obcemu idiocie, który pierdzi w stołek i wysłuchuje bredni!

O czym ty mu chcesz opowiadać? – zapytał wzburzony. – Może najpierw na sobie się skoncentruj, a nie ludziom opowiadaj o naszym życiu!

– Oni się na tym znają...

– Znają? Na czym? – prawie krzyczał. – Pogadać to ja sobie mogę z tobą, a nie z jakimś pieprzonym terapeutą.

Miałam rację. Samochodem można się nauczyć jeździć. Humor można sobie poprawić. Najgorzej jest rozmawiać z własnym mężem...

Tego dnia spotkałam się z Pawłem. Zrobiliśmy to w windzie zatrzymanej pomiędzy dziewiątym a dziesiątym piętrem.

W jego biurze wypiliśmy jedynie kawę.

Następnego dnia do pracy wzięłam samochód. Wsiadłam i pojechałam. Zatrzymałam się na parkingu obok pobliskiego supermarketu. Bałam się dalej jechać.

„Do niczego. Jestem do niczego”, napisałam w esemesie do Michała. Zadzwoił zaraz.

- Co się dzieje? – zapytał.
- Siedzę pod Lidlem i ryczę.
- Pod Lidlem? Bo? Znowu Maciek? – drażył.
- Po części. Wsiadłam do swojego samochodu.
- Brawo! Wreszcie się zdecydowałaś!
- Niby tak... Ale Michał, ja dalej nie pojedę... Porwałam się z motyką na słońce...

Nie powinnam jeździć sama. Wiesz, głupia byłam, licząc na Maćka. Powinnam wziąć kilka jazd i już by było po kłopotcie.

- To co? W weekend? – zapytał.
- Co w weekend? – Nie wiedziałam, o czym mówi.
- Jazdy. Dodatkowe.
- O! A znasz kogoś?
- Znam – odpowiedział. – Siebie. Maciek będzie w Krakowie?
- Tak, wyjeżdża w piątek.
- Super! Przyjdę na kolację.
- Na kolację? Po ciemku będziemy jeździć?
- Zobaczysz.

Tamtego dnia pojechałam do pracy taksówką.

Maciek wyjechał w piątek rano. Po drodze podwiózł mnie do pracy. Przez dziesięć minut wspólnej podróży nie odezwał się ani słowem.

- To pa – powiedziałam, wysiadając z samochodu. – Kiedy będziesz?
- Późno – rzucił lakonicznie i odjechał, nim na dobre zdążyłam zamknąć drzwi.

W porze lunchu miałam iść zrobić zakupy na kolację z Michałem. Zadzwoił Paweł.

Nie zrobiłam zakupów. Nie odebrałam dzwoniącego telefonu. Jednego, drugiego. Żyłam chwilą.

Z Michałem zamówiliśmy pizzę. Tym razem bez wina. Tej nocy mieliśmy przemierzać moim samochodem puste ulice Trójmiasta. Stwierdził, że musi to być noc. Na początek. Bo nie ma ruchu.

Około trzeciej odwiozłam samą siebie do domu. Zmęczona i szczęśliwa.

- Wejdiesz? – zapytałam, ziewając.

Położył rękę na moim udzie. Czekał na jakąś zachętę? W pewnym momencie tak mi się wydawało. Nie odwzajemniłam gestu.

- Późno już. To co, jutro powtórka? – zapytał, wyciągając z kieszeni swoje kluczyki.

– Nie masz dość? – Uśmiechnęłam się. Dotknęłam jego ramienia. – Co za anielska ciepłowość – dodałam.

Przytulił mnie. Pachniał skórzaną kurtką i samochodowym zapachem waniliowym.

– Dobranoc. – Wyrwałam się z objęć.

– Pa – odpowiedział i wszedł do swojego samochodu.

Począł, aż wejść do klatki, jeszcze raz mi pomachał i odjechał.

Jeździliśmy również w sobotę i w niedzielę.

Maciek wrócił w niedzielę wieczorem. Już spałam. Obudził mnie rano.

– Ty nie wstajesz? – zapytał. – Nie mogę cię dziś podwieźć. Spóźnisz się.

– Pojadę samochodem – odparłam.

– Samochodem? Wzięłaś jazdy w weekend?

– Można tak powiedzieć.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– No, popatrz... Jak chcesz, to potrafisz – skwitował.

– Dojechałam! – zadzwoniłam do Michała.

– Brawo! Widzisz? Jak chcesz, to potrafisz!

Jakże inaczej brzmiały te słowa w jego ustach...

Chciałam dać upust swojej euforii podczas spotkania z Pawłem, ale na mejla odpowiedział mi automat, że w pilnych sprawach należy kontaktować się telefonicznie.

Czy seks w porze lunchu był pilną sprawą? Na pewno...

Nie odbierał. Po chwili dostałam esemesa. „Jestem u rodziny w szpitalu. Odezwę się”.

„Coś poważnego?”, zapytałam.

„Nie. Odezwę się”.

Rodzina w szpitalu... Czy ja coś wiedziałam o jego rodzinie? Nic. Nie wiedziałam, gdzie mieszka, nie wiedziałam nawet, kim jest ta jego „rodzina”. Żona? Dzieci? Matka?

Po raz kolejny dotarło do mnie, że nic nie wiem o życiu Pawła. Wiem, gdzie ma biuro i wiem, że piętnaście lat temu lubił Stare Dobre Małżeństwo. Poza tym? Nie lubi bokserów. Chyba że takie obcisłe, a na mnie lubi brązową bieliznę.

I lubi, jak ja jestem na górze. I to w zasadzie wszystko. Wszystko, co wiedziałam o swoim kochanku.

Wtedy Paweł dał mi od siebie odpocząć. Czy za nim tęskniłam? Chyba nie. Tęskniłam za czułością, za tym uczuciem podniecenia, kiedy ściągał ze mnie ubranie, albo za tym wzrokiem, kiedy prosił, bym sama się rozebrała. Tęskniłam za bliskością

mężczyzny.

Nawet próbowałam się przytulić do Maćka... Może po to, by zobaczyć, czy poczuje coś podobnego... Poczulałam się jedynie jak natrętna mucha, która nie potrafi znaleźć swojego miejsca na ziemi.

Ja wciąż tego miejsca szukałam. Żyłam jakby w zawieszeniu. Praca – Paweł – dom – Maciek. I Michał – człowiek, z którym obecnie byłam chyba najsilniej emocjonalnie związana.

Przyjaciół.

Chyba powinnam skończyć ten układ. Nie potrafiłam.

Spotkania z Pawłem były coraz bardziej intensywne, ale ich scenariusz zawsze podobny.

W porze lunchu, zaraz po pracy, chwilę przed.

Czasem dziesięć minut, czasem trzy godziny. Nigdy dłużej.

Kawa, drink, zawsze seks i do widzenia.

Do widzenia – do jutra – napiszę – zadzwonię.

Chyba... Chyba zaczęło mnie to męczyć. Może trochę nudzić? Nie chciałam jednak tego kończyć. Nigdy już nie ujrzeć zachwyty w jego oczach? O nie. Byłam uzależniona od tego uczucia, którego doświadczałam już w momencie, gdy naciskałam klamkę w drzwiach jego biura. Od tych motyli w brzuchu. To był nałóg. Taki sam jak papierosy czy alkohol, tylko chyba o wiele bardziej niebezpieczny.

Wciąż ciągnęło mnie do Pawła tak mocno, jak wtedy, gdy przypadkiem spotkaliśmy się w kawiarni na dole. Zasypiając, dosłownie czułam jego dotyk, po przebudzeniu zastanawiałam się, w jaki sposób on będzie ze mnie ściągał ubranie, które miałam zamiar włożyć. Wyobrażałam sobie krok po kroku, jak poszczególne części mojej garderoby lądują na tym jego puszystym dywanie.

Oczywiście czułam, że to, co robię, jest złe. Wiedziałam, że balansuję na cienkiej linii, z której bardzo łatwo spaść. Podnieść w zasadzie już się nie da. Nie robiłam jednak zupełnie nic, by stanąć bardziej stabilnie.

Żyłam chwilą. Nie myślałam, co będzie potem. Dość długo to już trwało. Może zbyt długo? Mój mąż nic nie podejrzewał. Nie miał czasu na podejrzenia i... Chyba brakowało mu spostrzegawczości.

Nie było go całymi dniami, w weekendy budował ten cholerny dom mimo moich zapewnień, że nie pojedę do Krakowa, a jak już wracał do Gdańska, był obok mnie. Nigdy ze mną.

Czasami się zastanawiałam, jak doszło do zdrady.

Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, chyba po prostu potrzebowałam kogoś, kto mi powie „świetnie wyglądasz”, potrzyma za rękę, pogłaszcze po ramieniu. Kogoś, kto cieszy się z tego, że jestem. Że ja to właśnie ja. I że jest ze mną nie dlatego, bo sytuacja życiowa go do tego zmusiła. Ten ktoś chciał czegoś więcej niż trzymanie za rękę i głaskanie po ramieniu...

Cóż... Chwila. Może ja też więcej potrzebowałam? Ale dlaczego zrobiłam to drugi, trzeci i kolejny raz? Może to jest jak z czekoladą? Obiecujesz sobie, że nie będziesz jadła, w końcu zjadasz jeden kawałek, a potem usprawiedliwiasz się, że przecież skoro zjadłaś już jedną kostkę, to druga ci również nie zaszkodzi i trzecia też nie. Reflektujesz się w momencie, gdy przed tobą leży puste opakowanie. I wtedy masz wyrzuty sumienia. Jednak wiesz dobrze, że gdy tylko nadarzy się okazja, znowu sięgniesz po ten pierwszy kawałek, a potem kolejne.

Jest ci potem lepiej? O tak. O wiele lepiej. W momencie, gdy czekolada rozpuływa ci się w ustach, na pewno. Ale potem, gdy smak pozostanie już jedynie wspomnieniem, masz tylko wyrzuty sumienia.

W wypadku zdrady jest podobnie. Jednak ostatecznie poczucie winy jest o wiele większe.

Nie spotykaliśmy się z Pawłem regularnie. Czasem bywałam u niego dwa razy dziennie, czasem kilka razy w tygodniu. Zdarzało się też tak, że nie widzieliśmy się kilka dni.

Raz on pisał mejla, raz ja.

Dziś o 17?

Czekam tam, gdzie zawsze.

Nigdy mi nie odmawiał. Miał czas codziennie. Zastanawiałam się, jak on to robi.

Tamtej wiosny jakiś ważny projekt zaprzętał mi głowę, nie miałam kiedy jeść, ani spać. Dwa razy udało mi się wymknąć na lunch z Michałem, a raz Gośka, przy okazji codziennego spaceru z Amelką, wyciągnęła mnie na chwilę z biura.

Przez te moje projekty, prezentacje, napięte terminy oraz – co tu ukrywać – spotkania z Pawłem, też niezbyt często się widywałyśmy. Właściwie to była najlepszym alibi, jakie mogłam mieć, ale nigdy z niego nie musiałam korzystać.

– Ewka... Jak długo zamierzasz to ciągnąć? – zapytała kiedyś.

– Co? – Udawałam, że nie wiem, o co jej chodzi.

– Twoje życie...

– Moje życie ciągnąć? Mam nadzieję, że do osiemdziesiątki! – Uśmiechnęłam się. – Albo i dalej. Byle w dobrym zdrowiu.

– Wiesz doskonale, o co mi chodzi.

Wiedziałam. Bardzo dobrze wiedziałam. Aż za dobrze. Gośka zawsze była moim aniołem stróżem. Strzegła mojej moralności i sumienia.

– Zastanawiałaś się, co się stanie, gdy zajdziesz w ciążę? – Spojrzała na mnie badawczo.

– Ucieszę się – odpowiedziałam.

– Jasne... Ucieszysz się – drwiła Gośka. – A będziesz chociaż wiedziała, z kim się cieszyć?

– Z tobą – palnęłam bez namysłu.

Gośka pokiwała głową z powątpiewaniem.

– Zastanów się nad tym – powiedziała tylko.

Zastanawiałam się. Cały czas się zastanawiałam. Co, do cholery, będzie, jak teraz zajdę w ciążę?

Boże. Gonitwa myśli. Prezerwatywy nie są ponoć w stu procentach skuteczne... Nie mogę teraz zajść w ciążę. Nie mogę. W ciążę zajdę z mężem. Jak już wyjedziemy do Krakowa albo jak wreszcie namówię Maćka, byśmy tam nie jechali. Tak. To będzie dobry moment. Normalne małżeństwo, bez zdrad, normalne życie rodzinne. Dom z ogródkiem, na przedmieściach. Dziecko i pies. Po kolei. Jak trzeba.

Gdybym paliła papierosy, jak Michał, z chęcią bym sobie teraz stanęła, odpalając jeden od drugiego. Chyba pomogłoby. Na chwilę.

Wróciłam do domu i z szafki w łazience wyciągnęłam tabletki przepisane mi kiedyś przez ginekologa. Wtedy, kiedy Maciek wmówił mi, że nie chcę dzieci. Schowałam blister do kieszeni. Od razu poczułam się bezpieczniej, mimo iż wiedziałam, że muszę trochę odczekać.

Zważając na częstotliwość naszych spotkań z Pawłem i regularność wypełniania obowiązków małżeńskich, nie byłoby wątpliwości, kto miał większe szanse zostać ojcem...

Nie. Nie mogę sobie pozwolić teraz na dziecko. Nie. Nie teraz.

Nie zapaliłam wtedy papierosa. Zadzwoiłam do Pawła. Nie odbierał.

Następnego dnia dziewczyna z działu analiz, która miała przygotować dla mnie jakieś ważne dane, beztróska mi oświadczyła, że nic dla mnie nie ma. Nie zauważyłam, że to pozorna beztróska i zaczęłam się na nią wydzierać.

– Wczoraj straciłam dziecko – powiedziała cicho.

– Boże... – chwyciłam ją za rękę. – Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. – Gwałtownie zabrała rękę. – To było drugie podejście. In vitro. Jeszcze możemy tylko raz – mówiła, patrząc mi prosto w oczy.

Milczałam. Czułam się podle. Spoglądałam tylko w kartkę papieru leżącą na moim biurku, na której bezwiednie zaczęłam kreślić nieregularne wzorki.

– Staramy się już od ośmiu lat – kontynuowała. – I nic z tego.

Biała kartka zaczynała być granatowa.

– Ile masz lat? – zapytała.

– Trzydzieści jeden – odpowiedziałam.

– To na co czekasz? Chcesz się potem męczyć tak jak ja? – Usiadła naprzeciw mnie i zaczęła opowiadać. – Gdy ja zaczynałam, miałam trzydzieści. Wspaniałe plany. – Rozpostarła dłonie. – Jedno dziecko teraz, drugie za dwa lata. Mój mąż chciał chłopca, a ja dziewczynkę ze ślicznymi blond warkoczami. I co? – Wpatrywała się we mnie. – Marzenia się spełniają tylko w bajkach. – Wstała z krzesła, skierowała kroki do wyjścia. – Przepraszam, że ci tego nie przygotowałam. Naprawdę nie byłam w stanie myśleć.

Nic nie odpowiedziałam. Pokiwałam tylko ze zrozumieniem głową, bo cóż miałam odpowiedzieć.

Miałam trochę ponad trzydzieści lat i też wspaniałe plany. Synek z łobuzerskim wyrazem twarzy, w dzinsowych ogrodniczkach, oraz córeczka z dwiema kitkami, spinkami i rajstopkami w paski.

Tego dnia w pracy nic już nie zrobiłam. Przed oczami, niczym koszmar, jawiła mi się zielona, usmarowana olejem szmata z napisem *Happy woman in bed*.

W domu czekała mnie trudna rozmowa.

– Maciek? – Przysnęłam na kanapie. Obudził mnie odgłos otwieranych drzwi. – Dobrze, że jesteś...

– Stało się coś? – zapytał.

– Nie... Chciałabym porozmawiać.

– Ewa, nie możemy tego przełożyć na jutro? Zmęczony jestem.

– Nie, Maciek. To ważne.

Usiadł w fotelu, nawet nie zdejmując kurtki. Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Maciek... Porozmawiajmy o dzieciach... – powiedziałam cicho. – Chciałabym mieć dziecko.

Ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

– A co ci się stało tak nagle? – zapytał.

– Jak nagle? Zawsze chciałam mieć dziecko.

– Mówiliśmy już o tym. – Podniósł się z fotela. – Nie teraz. Najpierw dom, potem musimy go urządzić...

– Maciek, ja już jestem po trzydziestce.

– Nie przesadzaj. Starsze od ciebie rodziły.

– Maciek, jak ty to sobie wyobrażasz? Wyprowadzimy się do Krakowa może za rok. Zanim znajdę pracę, dostanę umowę na stałe, minie jakiś czas. Kiedy ty chcesz mieć dzieci?

– Nie męcz mnie – uciął.

– Maciek! – podniosłam głos. – To dla mnie ważne!

– A dla mnie nie! – krzyknął. – Nie chcę żadnych cholernych dzieci!

– A... – Z trudem przełknęłam ślinę. – Jak to? Nie chcesz? Nigdy?

– Nigdy! Nigdy nie chciałem! Odkąd mnie znasz, traktujesz mnie jak jakiegoś pieprzonego reproduktora! Tylko dzieci i dzieci! Co ja jestem? Byk rozplodowy?

Patrzyłam na niego, niewiele rozumiejąc.

– A wtedy... Jak zaszłam w ciążę... – mówiłam przez łzy. – Przecież się cieszyłeś...

– A co miałem robić? Wtedy nie było wyjścia!

Nie mogłam tego powiedzieć na głos. Nie byłam w stanie. Pomyślałam jednak, że to, co przyniosło mi najwięcej smutku w życiu, jemu sprawiło ulgę. Gdy odważyłam się to wreszcie powiedzieć, odparł:

– No, nie rób ze mnie potwora. A zresztą, myśl sobie, co tam chcesz! – I wyszedł z pokoju.

Przyniosłam sobie na sofę poduszkę, koc. Maciek chrapał w sypialni. Zasnął bez problemu. Wyciągnęłam komórkę i wysłałam esemes do Michała: „Wiesz... Świat mi się zawalił. Maciek nie chce dzieci. Nigdy”.

Nie mogłam spać. Przewracałam się z boku na bok. Zasnęłam nad ranem. Miałam bardzo dziwny sen.

Siedziałam przytulona do Michała (dlaczego akurat do niego?), głaskałam się po okazałym brzuchu i czułam się nieprzyzwoicie szczęśliwa.

– Wiesz? – powiedziałam do niego. – Myślałam, że nie da się cofnąć czasu. A zobacz, udało się. Nie ma żadnego Maćka. Jesteśmy razem.

Michał jeszcze mocniej mnie przytulił.

– Michał – szepnęłam. – Uszczypnij mnie, bo ja w to wszystko nie wierzę.

Uszczypnął mnie z całej siły. Na dłoni został mały ślad.

– Michał... – powiedziałam przerażona. – Nie boli...

– Niemożliwe. – Uśmiechnął się. Uszczypnął mnie jeszcze raz. Mocno. Aż do krwi. – A teraz? – zapytał z nadzieją.

– Boli! – powiedziałam.

Nie bolało nic. Kompletnie nic. Skłamałam w tym śnie tylko po to, by mu nie było przykro, by ta nadzieja w jego oczach nie zgasła.

Zaraz potem się obudziłam. Ciało mnie nie bolało. Tylko tak w środku... Dusza?

Maciek wyszedł do pracy, nie mówiąc mi nawet „do widzenia”. Wiele racji jest w powiedzeniu, że w małżeństwie częściej rodzą się przykrości niż dzieci...

Tamtego dnia wzięłam urlop na żądanie, zasłaniając się gripą żołądkową. Zadzwoiłam po Gośkę.

Dawno tak nie płakałam.

– Gocha, mam dość. Będę miała dziecko! Jak nie z nim, to z kimkolwiek!

Teraz myślę, że wtedy miarka się przebrała. Do tego czasu łączyły mnie z mężem

choćby wspólne marzenia. Przynajmniej tak mi się wydawało. Od tej pory wiązała nas tylko przeszłość. A terażniejszość, która powoli już stawała się przeszłością, oddalała nas od siebie coraz bardziej.

Zaraz po tym wydarzeniu stwierdziłam, że moje małżeństwo jest fikcją. Pierwszy raz pomyślałam o rozwodzie. Postanowiłam znaleźć adwokata i zakończyć tę farsę, która nazywała się „małżeństwem”. Nie chciałam od Maćka nic. Niech sobie weźmie kasę, samochód, cokolwiek zechce. Miałam swoje mieszkanie, to mi wystarczyło. Marzyłam tylko, by on się z tego mieszkania wyniósł.

Wieczorem siadłam do komputera. W wyszukiwarkę na jednym z lokalnych portali informacyjnych wpisałam „rozwód”.

Na ekranie pojawił się napis:

Nie znaleziono aktualnych imprez spełniających zadane kryteria.

Nie ma to jak impreza.

W przygotowywaniu imprez byłam zawsze bardzo dobra... Nie wiedziałam jednak, czy organizacja tej „imprezy” mnie nie przerośnie.

Oczywiście nie poszłam od razu do adwokata. W ogóle nie poszłam. Następnego dnia Maciek przyniósł kwiaty. Nie przeproszał mnie, po prostu wskazał wazon z kwiatami.

– Kwiaty ci kupiłem.

Nie chciałam już żadnych kwiatów.

– Dzięki – powiedziałam jedynie.

Zawsze tak było. Po awanturze – kwiaty.

Moje życie przypominało nieustannie kołyszącą się huśtawkę.

Góra – dół – góra – dół.

Nie chciałam tak żyć, już nie.

– Podobają ci się? – zapytał. – Zawsze lubiłaś róże.

– Każde kwiaty lubię – ucięłam. – Róże również. – Wzięłam książkę i poszłam do sypialni. Przykryłam się ciepłym kocem, ale nie mogłam czytać.

Zabrzączał telefon. Esemes od Gośki z numerem jakiejś Ewy Izdebskiej.

– Gocha, co to za Izdebska? – zapytałam, nim usłyszałam „Halo”.

– Adwokat. Od rozwodów. Najlepsza. Kuzynka ją miała...

– Gośka... – zaczęłam.

– Co Gośka, co Gośka? Kuj żelazo, póki gorące.

– Ale... – Chciałam coś powiedzieć, jednak Gośka chyba zauważyła wahanie w moim głosie i mi przerwała.

– Co się dzieje? Znowu kwiaty, czy tym razem czekoladki? – zapytała. Gośka

wiedziała wszystko, nie musiałam jej mówić.

– Róże...

– No, popatrz! – obruszyła się. – Jaka ty naiwna jesteś. Kwiatki są dla ciebie ważniejsze niż dziecko? Jeden bukiet i przekreślasz szansę bycia matką? – kontynuowała. – Jaka ty durna jesteś!

Potem kazała mi zostawić go w cholerę i po prostu się wyłączyła.

Łatwo jej mówić „zostawić w cholerę”. Nie byłoby jej łatwo zostawić całe swoje życie. Tak, ale ona miała Amelkę. I Miśka, który by za nią poszedł na koniec świata.

Za mną na koniec świata nikt by nie poszedł. Fakt, Gocha swoim telefonem osłabiła efekt, jaki chciał wyrzucić na mnie mąż, ale nie do końca...

Wieczorem poszliśmy do kina. Nie pamiętam nawet, co to był za film. Pamiętam jedynie, że spotkaliśmy tam Pawła. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Siedział przed nami. Nie był sam. Przytuliła się do niego niska, energiczna blondynka. Nie odwracał się, ale to był na pewno on.

Nie zapomina się karku, który przez ostatnie pół roku niemalże codziennie się gładziło. Nie zapomina się sylwetki, o której się śniło prawie każdej nocy.

To na pewno był Paweł. Dzielił nas jeden rząd foteli. Wyraźnie widziałam jego profil, gdy się nachylał do swojej towarzyszki, gdy szeptał jej coś na ucho. Znajomy grymas twarzy, gdy ją całował, te same gesty, gdy jej dłoń przytykał do swoich ust. Mój film miał tytuł „Paweł i Blondynka”.

Nie czułam ukłucia zazdrości. Tak jak ja miałam Maćka, on miał blondynkę. Cóż, życie. Dziwne, gdyby był sam. Taki facet. Przystojny, inteligentny, dowcipny. Mógł mieć każdą. Tacy faceci nie są sami. Napisy końcowe.

Należałam do osób, które wychodzą dopiero po napisach. Mój mąż o tym wiedział. Paweł wstał, sięgnął po leżący obok niego damski płaszcz.

Blondynka wstała. Jakby z trudem. Zarzucił jej płaszcz na ramiona. Pocałunek w usta. Czule strzepnęła mu pyłek ze swetra. Pogładziła go po policzku. Gdy się odwróciła, zobaczyłam, że ten płaszcz, którym tak troskliwie Paweł ją okrywał, nie dopinał się na jej wielkim brzuchu.

Równocześnie poczułam na sobie wzrok Pawła. Zmieszany. Odwróciłam głowę. Nie chciałam go znać. Nie chciałam go widzieć ani o nim słyszeć, ani o nim myśleć.

Pomyślałam, że natychmiast muszę wykasować jego numer z telefonu. Och, chciałabym wyrzucić go w tak prosty sposób ze swojej pamięci! Nie było to łatwe. Obiecałam sobie, że się postaram.

Musiałam ochłonać. Z trudem otworzyłam drzwi do toalety. Umyłam twarz zimną wodą. Po chwili w lustrze zobaczyłam blondynkę wychodzącą z ubikacji.

Stała obok mnie, odkręciła wodę. Na jej palcu lśniła obrączka.

Zobaczyła chyba, że się jej przypatruję. Uśmiechnęła się. Zmarszczyła lekko zadarty nosek, a na policzkach pojawiły się figlarne dołeczki.

– Nie mogę filmu w spokoju obejrzeć. Ciągle muszę siusiu – przyznała, rumieniąc się. Zakręciła wodę i wytarła ręce. – Ale nie mogłam odmówić mężowi wyjścia do kina, bo pomyśli, że do niczego już się nie nadaję, prawda? – Jeszcze raz ciepło się uśmiechnęła, ponownie zobaczyłam te dołeczki i blondynka wyszła.

Po raz drugi umyłam twarz zimną wodą.

Odczekałam chwilę, na tyle długą, by być pewna, że nie spotkam Pawła z żoną. Od tamtej chwili wiedziałam już, że rozdział w moim życiu pod tytułem „Paweł” został zamknięty definitywnie.

Kilka dni później dostałam od Pawła mejla.

Z nim będziesz szczęśliwsza

O wiele szczęśliwsza będziesz z nim.

Ja cóż – włóczęga, niespokojny duch,

Ze mną można tylko

Pójść na wrzosowisko

I zapomnieć wszystko.

Stare Dobre Małżeństwo... Nie odpisałam. Przed oczami miałam szczęśliwą blondynkę, która chciała sprawić przyjemność mężowi, idąc z nim do kina, mimo iż sama nie czerpała już z tego takiej radości, jak by mogła.

Tamten sobotni wieczór nie należał do najbardziej udanych. Nie wiedziałam, że to początek. A... Właściwie koniec.

O wyprowadzce Maćka zdecydował jeden esemes.

„Koniec romansu. Paweł to świnia. Jego żona w ciąży”, napisałam Goście. Wiedziałam, że jak będzie mogła, oddzwoni.

Poszłam wziąć prysznic. Maciek oglądał telewizję. Gdy wróciłam do sypialni, na telefonie nie było żadnej wiadomości. Niepodobne do Goški. Nie wytrzymałam i wybrałam jej numer.

– Cześć, kochana – powiedziałam. – Możesz gadać?

– Jasne! Amelka śpi, a ja mam wolne!

– Dostałaś mojego esemesa?

– Czekaj, sprawdzę... – Usłyszałam jakieś piski w telefonie. – Nie, nic nie mam. A co się stało?

– Goška, jak to nie masz? Kurde, to do kogo ja to wysłałam? – zastanawiałam się z przerażeniem. – Poczekaj, za chwilę zadzwonię.

Spojrzałam na telefon. Wiadomości. Wysłane.

Wiadomość przeznaczona dla Goški została wysłana przez przypadek do mojego męża. „Maciek Mąż” był bezpośrednio nad Małgosią.

Oblał mnie zimny pot.

Nie zdążyłam wykasować esemesa, zanim Maciek go przeczytał. Gdy wbiegłam do pokoju, trzymał właśnie komórkę w ręku.

– Czy chciałabyś mi o czymś opowiedzieć? – zapytał tylko, wnikliwie mi się przyglądając.

Zabrakło mi tchu. Wtedy czułam się winna. Chciałam go niemalże na kolanach błagać o przebaczenie. Tego chyba też oczekiwał. Przez dłuższą chwilę nie mogłam wydusić z siebie słowa. Wpatrywałam się w jego komórkę i marzyłam, by cofnąć czas do momentu, kiedy wysyłałam tego cholernego esemesa.

Czy ja chcę o czymś mu opowiedzieć? O czym? Że faceci to świnie, że zachowanie jednego pchnęło mnie prosto w ramiona drugiego, który okazał się o wiele większym dupkiem niż ten pierwszy?

A może o tym, że chociaż ten drugi jest większym dupkiem, to jego szczęśliwa żona jest w zaawansowanej ciąży? I pewnie zapomną o całej historii, przepraszam, ON zapomni, urodzi im się śliczna blond córeczka i będą żyli długo i szczęśliwie?

A może wyprzeć się całej historii? Zaprzeczyć wszystkiemu, usiąść kochanemu mężowi na kolanach, słodko zatrzepotać rękami, usteczka zrobić w ciup, mówiąc: „Ależ kochanie, to przecież niewinny żart taki, chodźmy do łóżka!”. I potem kochać się namiętnie, łudząc się, że seks, jaki mu zafunduję, wykreśli z jego pamięci ten „niewinny żart”, jakim był esemes.

Niestety.

– Czy masz mi coś do powiedzenia? – zapytał ponownie.

– Nie – odparłam.

– Nic? Jaki romans? O co chodzi? – pytał zdenerwowany. – Romans masz? Zdradzasz mnie z jakimś fagasem i nie masz mi nic do powiedzenia?

Siedziałam na brzegu krzesła, wpatrywałam się w dywan.

– Nie – powiedziałam.

– Co „nie”? To prawda? – zapytał, potrząsając mną.

Podniosłam wzrok i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Tak – odpowiedziałam.

– „Tak” i to wszystko!?! – krzyczał. – I ty mi to tak spokojnie mówisz? – Bałam się, że mnie uderzy. Był bardzo zdenerwowany. Nic dziwnego.

Nie miałam siły rozmawiać. Takiego scenariusza nie przewidziałam. Siedziałam nadal ze spuszczoną głową, zacisnęłam usta i w dalszym ciągu ledwie mogłam wydusić z siebie zdawkowe „tak” lub „nie”.

Maciek przestał już pytać. Stał przy oknie i głośno wypuścił z siebie powietrze. Chwilę tam stał, po czym wyszedł do przedpokoju. Usłyszałam odgłos przesuwanych drzwiczek od pawlacza. Wyjął plecak. Ten sam, na którym przyszyłam mu plaketkę „Zakopane”. Ten sam, który podkładaliśmy sobie pod głowę, gdy wypatrywaliśmy spadających gwiazd, by wypowiedzieć cicho życzenie. Ten sam, który mieliśmy ze sobą, gdy snuliśmy wspólne marzenia.

To był ten wypad, z którego przywiozłam sobie góralskie wełniane skarpety. Ten sam, na którym pierwszy raz się kochaliśmy. I kiedy Maciek powiedział, że czekał na mnie całe życie.

Zaczął się pakować. Skarpetki, majtki, dwie koszulki, piżama flanelowa. Niebieski dres, trzy płyty Nirwany. Ulubiony kubek. Płyta „Helikopter w ogniu”. Paczka czarnych żelków. Dwie puszki piwa z lodówki. Maszynka do golenia i szczoteczka do zębów. Cały dobytek.

Krażył pomiędzy pokojem, kuchnią, przedpokojem a łazienką i co chwilę dorzucał do plecaka, wydawało się, bardzo przypadkowe rzeczy.

Około drugiej wyszedł z domu.

– Po resztę wrócę później – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Przesiedziałam do rana na brzegu krzesła, czując jedną wielką pustkę. Tego samego dnia straciłam dwóch mężczyzn, z których każdy był dla mnie na swój sposób ważny.

Paweł pewnie spał z blondynką w ramionach, co działo się z Maćkiem, nie wiedziałam. A wtedy chciałam, tak bardzo chciałam wiedzieć.

Około ósmej zadzwoniła Gośka.

– Urywasz w pół zdania i nie kończysz – zaczęła. – O co chodzi? Stało się coś?

– Stało. – I zaczęłam płakać.

– Już jadę do ciebie.

Płakałam nieprzerwanie aż do jej przyjścia.

Gośka starała się mnie pocieszyć, jak mogła, ale sama nie za bardzo wiedziała jak. Siedziałyśmy przytulone na sofie.

– Zostałam zupełnie sama. Gośka, ja nie potrafię być sama! – mówiłam. – Ja zawsze kogoś miałam!

To prawda.

Zawsze ktoś był przy mnie. Mężczyzna. Lepszy lub gorszy, ale był. Bałam się samotności jak ognia. Może dlatego, że tak naprawdę jej nie znałam?

Teraz byłam samotna.

– Dziewczyno, ty cały czas byłaś samotna! – mówiła Gośka. – Naprawdę gorsza jest samotność we dwoje, bo nie ma perspektyw! Twoja samotność ma chociaż przyszłość!

– A może... Gośka, może on wróci? – Wtedy wydawało mi się, że naprawdę tego chcę.

– Mam nadzieję, że nie. Uznaj także ten rozdział za zamknięty!

Nieźle. Dwa rozdziały życiowe zamknięte jednego dnia.

Nie miałam pomysłu na życie. Nie miałam pomysłu na siebie.

Gośka wróciła do domu, a ja siedziałam dalej, niemalże bez ruchu, popijając wino. Znowu sama.

– Odważyłam się wreszcie napisać esemes do Michała: „Maciek odszedł”.

Po chwili zadzwonił.

– Co się stało?

– To nie jest rozmowa na telefon. – Płakałam. – Możesz przyjechać?

– Ewa... – powiedział, a w tle było słychać jakieś trzaski. – Właśnie wyjechałem na tydzień. Cholera. Od jutra prowadzę szkolenie w Karpaczu. Na jutro nikogo nie załatwię, ale na wtorek mi się uda. Przyjadę.

– Nie, nie, Michał. Poradzę sobie. – Nie chciałam, by zmieniał plany. – Ale jak wrócisz, to przyjedziesz?

– Jasne – odpowiedział.

– W piątek?

– Jak dam radę, to wcześniej.

– Okej... Będę czekać.

Czekałam. Nic innego nie musiałam robić, tylko czekałam.

Tamta niedziela minęła mi bardzo szybko. Siedziałam przed telewizorem, bezmyślnie przerzucając kanały.

Zastanawiałam się, ile kobiet w tym momencie płacze. Z jakich powodów? Bo nie ja jedna pewnie siedzę z opuchniętymi oczami, rozpamiętując to, co było.

Całą niedzielę Maciek się nie odzywał. W poniedziałek po raz pierwszy od dawna do pracy nie włożyłam pończoch z koronką.

– Coś się stało? – zapytała Aśka z działu analiz, gdy przyniosła mi dane.

– Stało się. Mąż mnie zostawił.

– O Boże, dlaczego? – Przysiadła na skraju biurka. – Miał jakiś powód?

– Miał.

Zapadła niezręczna cisza.

– A my jutro znowu próbujemy. – Spojrzała na mnie z nadzieją i determinacją. – Ostatni raz. Trzymaj kciuki. – Pogłaskała mnie po ramieniu i wyszła z pokoju.

Z całego serca trzymałam za nią kciuki. Niech chociaż ktoś inny będzie szczęśliwy.

Gdy wróciłam do domu, zobaczyłam, że podczas mojej nieobecności był w domu Maciek. Znikło wiele rzeczy.

Na lodówce przyczepił kartkę. „Będziesz się musiała bardzo postarać”.

Nie wiem, czy chciałam się starać.

Mówi się, że póki jeszcze w małżeństwie masz siłę się kłócić, to jest duża szansa, że ten związek naprawisz.

Zdjęłam żółtą karteczkę z lodówki. Chyba pierwszy list od mojego męża od czasu tych pamiętnych, pełnych miłości mejli, które mu kiedyś pokazywałam. Przeczytałam jeszcze raz. „Będziesz się musiała bardzo postarać”. O co się starać? Całe życie z Maćkiem się starałam. Dbałam, by był obiad, zaraz gdy wróci z pracy, dbałam o porządek i starałam się, by jego koszula nie miała zaprasowanych kantów na rękawie.

Gdy pierwszy raz prasowałam, miała takie kanty. Wychodząc do pracy, zauważył to. Boże, ile się wtedy nagadał...

Wielokrotnie żałowałam, że wtedy nie powiedziałam:

– Przepraszam cię, kochanie, nie umiem prasować koszul. Będziesz musiał to robić sam.

Zamiast tego kolejna koszula była już idealnie wyprasowana, co mojego męża wprowadziło w dobry nastrój. Czy on wtedy był już moim mężem? Nie pamiętam. Pewnie nie był, bo odkąd razem mieszkaliśmy, zawsze prasowałam mu koszule.

„Będziesz się musiała bardzo postarać”. Przeczytałam jeszcze raz kartkę, zgmiotłam ją jedną ręką i wyrzuciłam do kosza na śmieci. Wtedy czułam się, jakbym wyrzucała swoje własne życie. Do tego kosza, gdzie wcześniej wyrzuciłam obierki ziemniaków,

ogryzek od jabłka oraz chusteczkę do nosa.

Nie miałam już siły się starać. Ale najważniejsze, że nie miałam takiego zamiaru. Wraz z wyrzuceniem tej małej karteczki w wiadrze na odpadki znalazło się kilka lat mojego życia.

Zwykle wracałam do pustego mieszkania, jednak miałam świadomość, że prędej czy później przyjdzie mój mąż, zadowolony lub nie, ale będzie. Teraz wiedziałam, że będę sama. Nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca.

Siedziałam na sofie z podkulonymi nogami, przed oczami niczym film przesuwało mi się całe moje życie. Z głośników płynęły słowa piosenki Anity Lipnickiej, bardzo pasujące do mego nastroju...

*Wszystkie mosty, które między nami rozwiesiła noc
kruszą się jak szkło w świetle dnia.*

Siedziałam, puszczając tę piosenkę, i płakałam. Telefon wydzwaniał. Powoli przestawałam go już słyszeć. Odruchowo sięgnęłam jednak po słuchawkę.

Mama.

– Słucham? – powiedziałam cicho. Gdybym w końcu nie odebrała, prawdopodobnie za godzinę by tutaj dotarła, a tego bym już naprawdę nie zniosła.

– Ewa, czy ty chciałabyś mi o czymś powiedzieć? – spytała protekcyjnym tonem.

Mama, wieloletnia nauczycielka, w tego typu tonacjach była niezastąpiona. Nawet gdybym cokolwiek miała jej do powiedzenia, to po pytaniu zadany takim tonem zapominałam o wszystkim i nie mogłam z siebie wydusić ani słowa.

– Nie, mam. – Naprawdę ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było zwierzenie się własnej matce, zakochanej w zięciu od pierwszego wejrzenia.

Nic dziwnego. Był typem mężczyzny, który kobiety całował w dłonie na „dzień dobry”. Kobiety bardziej obce niż własna żona... Na takie jak moja mama bardzo to działało.

– Jak to nie masz mi nic do powiedzenia? – Mama była oburzona. – Maciek był dzisiaj u nas. Opowiedział nam, co się stało!

– Wszystko? – zapytałam.

– Tak. Wszystko! – potwierdziła.

– No to po co ja mam ci to mówić jeszcze raz – powiedziałam zrezygnowanym głosem. Najchętniej zakończyłabym tę rozmowę.

– Chcę to usłyszeć od ciebie! – drażyła matka.

– Mam... Ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Sama mam wszystkiego dość.

– Masz dość? – zapytała niesamowicie zdumiona. – Co ty wygadujesz? Jak mogłaś

tak zranić Maćka?

– Mamo... – próbowałam coś powiedzieć, ale nie dała mi dokończyć.

– Czy ty, dziewczyno, w ogóle pomyślałaś, co on teraz czuje? – zapytała. – Przyszedł, podkrążone oczy... Rozdygotane ręce! Nieogolony i wymięty!

Mimochodem spojrzałam w lustro stojące na stoliku obok. Wyglądałam, niestety, podobnie. Nie dość, że miałam podkrążone oczy, to jeszcze przekrwione. A Maciek? Wymięty, bo nie było mnie w pobliżu. Panny służącej, która jest na każde zawołanie.

Mama coś do mnie mówiła, a ja wcale tego nie słyszałam. W tym momencie naprawdę nie obchodziło mnie, co czuje Maciek. Prawdę mówiąc, byłam zaskoczona, że moja mama jest tym tak zainteresowana.

– Mamo, a nie interesuje cię, co ja czuję? – odważyłam się zapytać.

– No co ty możesz czuć? Nawet nie mam pojęcia – mówiła głośno. – Odbiło ci i musisz to naprawić! Nie możesz tak tego zostawić!

– Mamo...

– Ewa... Jeszcze nie wszystko stracone. – Głos mamy stał się nieco łagodniejszy, jakby chciała zmienić front. – Może on wróci?

– Mamo... Ja nie wiem, czy tego chcę. – Westchnęłam i czekałam na kolejne porady mamy, która znała historię jedynie z relacji mojego męża. Ja nie opowiem jej swojej wersji. Nie miałam zamiaru jej w nic wtajemniczać.

Niech ta rozmowa się już, do cholery, skończy!

– Dziecko... Nie można niszczyć małżeństwa. Takiego małżeństwa. – podkreśliła. – Jesteście dla siebie stworzeni! Będziesz musiała się bardzo postarać, aby wszystko wróciło do normy!

Boże, drugi raz te same słowa. Nie chciałam się starać.

Jasne, przeszło mi przez myśl, że trzeba przeproszać, trzeba ratować to małżeństwo, ale zaraz usłyszałam „po co?”. No właśnie. Po co?

Czasem nie ma czego ratować. I nie ma po co.

Może gdyby dzieci były. A nie ma. Jedynym śladem po naszych dzieciach jest ta zielona szmata w garażu.

Skoro Maciek się wyprowadził, będę musiała ją wyrzucić. Nie. Spalę ją. Nie chcę, by się walała po śmietnikach. Może Gocha ją wrzuci do ognia u siebie na Kaszubach.

Tydzień samotności dopiero się zaczął, a ja już miałam dość. Zapowiadało się, że będzie to najdłuższy tydzień w moim życiu, a zarazem najmniej produktywny.

Czasem czytam, że problemy w małżeństwie spowodowały, że ta czy inna uciekła w wir obowiązków związanych z pracą. Ja się bałam, że z tej pracy zostanę wyrzucona. Nie robiłam nic. Tylko wpatrywałam się w monitor. We wtorek nie wytrzymałam i poszłam do szefa.

– Potrzebuję urlopu – powiedziałam.

– Źle wyglądasz – zauważył.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się resztkami sił. – Wiesz, jak postępować z kobietą... – dodałam z przekąsem.

Popatrzył na mnie uważnie, nic nie mówiłam.

– Problemy jakieś? – zapytał.

Pokiwałam jedynie głową, bałam się, że gdy coś powiem, nie będę mogła powstrzymać łez. Spojrzał na mnie badawczo.

– Okej. Możesz iść. Ale bądź pod komórką w razie czego. Dobra?

– Jasne.

Tomek był chyba najlepszym szefem pod słońcem.

– Do końca tygodnia?

Pokiwałam głową. Machnęłam tylko ręką na pożegnanie i wyszłam z jego gabinetu.

Po chwili siedziałam już w samochodzie i byłam w drodze do domu. Czy wszystko tak cholernie musi mi się kojarzyć z Maćkiem? Nawet ten samochód?

Ale było też inne wspomnienie. To na przykład, jak Michał mnie uspokajał, trzymając swoją dłoń na mojej podczas zmiany biegów, gdy na pasie startowym uczył mnie jeździć. Tak. To było o niebo lepsze.

Gdy wróciłam do domu, wyłączyłam telefon, wzięłam długi prysznic i poszłam spać. Obudziłam się dopiero następnego dnia rano.

Zawsze tak reagowałam na stres. Chciałam go przespać.

Gdy byłam małą dziewczynką i nabroiłam, wiedziałam, że niezależnie od tego, jak nabroję, następnego dnia wszystko już będzie dobrze. Jakby noc niwelowała wszystkie kłopoty.

W dorosłym życiu nie było to już takie łatwe.

Noc nie załatwiała niczego. Człowiek tylko przez chwilę po obudzeniu był beztroski, ale świadomość niczym najgorszy wróg zaraz mu przypominała, że teraz jest czas kłopotów i zmartwień.

I to powodowało, że natychmiast miało się chęć znowu iść do łóżka, łudząc się, że mimo wszystko może da się przespać wszystkie zmartwienia.

Wstałam, zrobiłam sobie śniadanie, po czym zadzwonił domofon. Nie miałam ochoty na wizyty. Nie ma mnie. Dla nikogo.

Po chwili usłyszałam łomot w drzwi wejściowe. Podeszłam do nich cicho i spojrzałam przez wizjer.

Gośka.

Zaraz gdy tylko otworzyłam, podziękowała Bogu, że żyję, a potem zaczęła mnie obrzucać stekiem wyzwisk.

– Telefonów nie odbierasz! W pracy cię nie ma! – krzyczała, wchodząc do kuchni. – Co ty sobie wyobrażasz? Od zmysłów odchodzę, nie wiem, co się z tobą dzieje. Myślałam już, że albo ktoś cię zabił, albo sama się życia pozbawiłaś! Pamiętaj, on nie jest wart twojego złamanego paznokcia! – Wymachiwała gwałtownie rękami.

– Gosia. Spokojnie. Nie mam zamiaru pozbawiać się życia – powiedziałam. – Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Gośka spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Na pewno? – zapytała.

– Na pewno Przecież mam dla kogo żyć.

– No, myślę – odparła. – Kurczę, do czego to doszło, że ty mnie uspokajasz. Przecież ja to powinnam robić – westchnęła, wyjmując coś z reklamówki. – Bułki ci przyniosłam. Bo już jak wieszak wyglądasz. – Spojrzała na mnie. – Nie ukrywam, że ci tego zazdroszczę.

– Przestań. – Uśmiechnęłam się. – Znam inne, mniej drastyczne metody odchudzania niż odejście męża.

– E tam, Ewa. Ty nie mów, że on oszedł. Mów, że nareszcie się go pozbyłaś z domu! – powiedziała odkrywczco. – Tak to też Miśkowi przedstawiłam.

– I co Misiek?

– Wiesz, Misiek, jak to Misiek. – Wzruszyła ramionami. – W zależności jak mu jakąś sprawę przedstawię, takie będzie miał na jej temat zdanie. Aktualnie się ze mną zgadza, że dobrze, że się gada pozbyłaś z domu, bo i tak nigdy go nie lubił. Zobacz, jaką ładną ci kanapeczkę zrobiłam. – Położyła na talerzu bułkę z serem i z pomidorem. – Zjedz kochana, bo znikniesz.

Rzeczywiście. Nie bardzo pamiętałam, kiedy ostatnio jadłam. No i nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ktoś mi robił kanapkę.

Gośka również się załapała na jedzenie, choć narzekała, że jest za gruba. Cała Gośka. Na chwilę zapomniałam o swoich kłopotach.

Jakich kłopotach? Pozbyłam się gada, jak to powiedziała Gośka. Och, gdyby to było takie proste.

Maciek zadzwonił w czwartek wieczorem. Zaczął rozmowę dokładnie tymi samymi słowami co moja matka.

– Ewo... – Zawsze jak miał do mnie pretensje, mówił do mnie „Ewo”. Takim tylko jemu właściwym protekcyjnym tonem. – Ewo, czy masz mi coś do powiedzenia?

Zaprzeczyłam. Wyczułam w jego głosie niepewność, ale szybko znikła.

– Ewo, jak ty sobie w ogóle radzisz beze mnie? – zapytał.

Hm. Jaki troskliwy mąż! Jak sobie radzę? Doskonale. Świetnie sobie radzę. Dokładnie tak samo, jak radziłam sobie, gdy byłam z tobą, a nawet lepiej, bo spadła ze

mnie część obowiązków – miałam ochotę powiedzieć. Zamiast tego zapytałam:

– A jak ty sobie radzisz? Beze mnie?

– No cóż za pytania mi zadajesz? – Widziałam w wyobraźni tę jego minę i typowe dla niego wzruszenie ramionami.

– Po prostu. Rozmawiam z tobą – odpowiedziałam.

– Ewo. – Boże, znowu to „Ewo”, nienawidzę tego. – Jeszcze nie wszystko stracone.

Przeczytałaś moją kartkę na lodówce?

– Tak – odparłam ze stoickim spokojem, zupełnie do mnie niepasującym. – Przeczytałam.

– I?

– No, przyjąłam do wiadomości, że jeżeli się bardzo postaram, to wrócisz – wyrecytowałam jak zadaną lekcję. – To samo powiedziałaś mojej mamie, która nie omieszkała mi tego powtórzyć.

– No właśnie! – powiedział odkrywczo. – I co?

– I nic... – westchnęłam. – Maciek... Staralam się przez te wszystkie lata z tobą. Rzadko kiedy to zauważałeś. Teraz nie będę się starać. Już nie... Zostawmy to tak, jak jest, i rozstańmy się w przyjaźni.

O Boże, powiedziałam to. „Rozstańmy się w przyjaźni”, doprawdy jak w kiepskich romansach.

– Co masz na myśli?

– Rozwód – odparłam cicho, ale jednak usłyszał.

– Rozwód? – zapytał zszokowany.

Nie wiem, dlaczego wprowadziło go to w takie osłupienie, przecież wyprowadzając się z domu od żony, która go zdradziła, nie bardzo tego żałuje i na dodatek nie ma zamiaru się mocno starać, powinien spodziewać się takiego rozwoju sytuacji.

– Tak, Maciek. Rozwód.

– Kotku. Musimy pogadać. – Kotkiem dla odmiany nazywał mnie wtedy, kiedy czegoś ode mnie chciał. No, albo wtedy, gdy jeszcze o mnie zabiegał.

– Maciek. Ja naprawdę nie chcę już rozmawiać. Nie ma o czym. Przynajmniej nie teraz.

– A kiedy?

– Nie teraz – powtórzyłam.

– Okej. To pa – powiedział. – Jak zmienisz zdanie, zadzwoń.

– Dobrze. – Zgodziłabym się na wszystko, byle zakończyć tę rozmowę. – Zadzwonię, jeżeli zmienię zdanie – obiecałam cicho i odłożyłam słuchawkę.

Strasznie zmęczyła mnie ta rozmowa. Dziękowałam Bogu, że wpadłam na genialny pomysł wzięcia tygodniowego urlopu. Nalałam sobie wody do wanny, zrobiłam pianę i siedziałam tam chyba pół godziny, co jakiś czas dolewając ciepłej.

Nie czułam ulgi. Ale po tej rozmowie nie było mi już tak bardzo źle, lecz jedynie przykro, że nie udało mi się w życiu. Było mi nawet żal Maćka, który zachowywał się,

jakby doprawdy nie wiedział, dlaczego z naszym małżeństwem stało się to, co się stało. Według niego w dalszym ciągu wszystko było w porządku. Przecież wszystko miałam. Wyobrażałam sobie, jak tłumaczy moim rodzicom, że odbiło „babie”, czyli mnie, i że trzeba przeczekać, aż minie mi ta depresja czy cokolwiek to jest i znowu wkroczę na właściwe tory. Tory, po których jadę drezyną pełną środków piorących, czyszczących i półproduktów służących do przygotowania trzydniowych posiłków. O nie. Wolę sobie leżeć w trawie obok torów. I wachać polne kwiatki. Na te same tory nie wejść. Choćby mnie błagał.

Rozmyślenia przerwał mi dźwięk telefonu. Michał.

– Jak humor? – zapytał.

– Dziękuję, coraz lepiej. Właśnie w wannie leżę.

– Nie mów mi takich rzeczy! – Roześmiał się. – Biedny samotny facet, z dala od wszystkiego, a ty mi tu o nagiej kobiecie w wannie.

– Nie mówiłam nic o nagiej! – obruszyłam się.

– No, chyba że do wanny wchodzisz ubrana. To przepraszam.

– No, raczej nie. Masz rację. – Coraz bardziej podobała mi się ta rozmowa. – Jestem w wannie i nie mam nic na sobie. – Uśmiechnęłam się.

– Ech... – westchnął.

– Ale piana prawie wszystko ukrywa. – O matko, czyżbym z nim flirtowała?

– No tak, i powiedz mi jeszcze, że stopą odkręcasz kran, by dolać wody.

– Właśnie to robię! – Teraz już śmiałam się głośno.

– Znęcasz się nade mną! – udawał obrażonego. – Paznokcie czerwone lubię. Masz?

Popatrzyłam na swoje blade, niepomalowane paznokcie. Co tam...

– Mam właśnie takie – skłamałam.

Po chwili usłyszałam jakiś stukot w przedpokoju. Zamarłam.

– Michał, ktoś jest w domu, muszę kończyć. Zobaczę, co się dzieje. – Odłożyłam komórkę.

Nawet nie zdążyłam się na dobre przestraszyć, a tym bardziej wyjść z wanny, gdy drzwi do łazienki się otworzyły, a w progu stanął Maciek.

– Maciek? – zapytałam zszokowana, chowając się z powrotem pod wodę.

– Jak widać. – Niepewnie się uśmiechnął. – Pięknie wyglądasz – dodał.

Zanurzyłam się jeszcze bardziej.

– Mówiłam ci, że nie chcę rozmawiać. – Gdybym mogła, schowałabym się w tę pianę razem z głową, łudząc się, że gdy się wynurzę, mojego męża już ze mną w łazience nie będzie. Niestety. Usiadł na taborecie stojącym przy wannie i czekał.

Nie wiem na co.

– Woda ci stygnie, może wyjdiesz? – zapytał.

– Może wyjdę. – Wskazałam mu głową drzwi.

– No co ty, kotku. – Uśmiechnął się. – Podam ci ręcznik.

– Mógłbyś wyjść z łazienki? – zapytałam.

– Po co? – zapytał. – Przecież jestem twoim mężem?

– Boże, jak ja nie lubię tych twoich gier! – Wstałam wkurzona z wanny, ociekając wodą.

Maciek patrzył na mnie, jak gdyby pierwszy raz zobaczył kobietę.

– Możesz mi podać ten cholerny ręcznik? – warknęłam. Stałam przed nim naga, a on wlepił we mnie wzrok. – No podaj! – Wyciągnęłam rękę.

Maciek okrył mnie ręcznikiem i zaczął wycierać.

– Przestań. – Odepchnęłam jego ręce. Gdyby oczy mogły zabijać, moje natychmiast by go uśmierciły. Minęłam go, sięgnęłam po szlafrok wiszący na wieszaku na drzwiach. Włożyłam szlafrok, wytarłam włosy.

– Napatrzyłeś się już? – zapytałam.

Spuścił głowę. Poszliśmy do kuchni, wstawiłam wodę na herbatę.

– Napijesz się czegoś? – zapytałam.

– Może ja zrobię. – Ruszył w stronę czajnika.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Od kiedy to niby ty herbatę mi robisz? – zapytałam z przekąsem, ale usiadłam przy stole i czekałam, aż dostanę coś do picia.

Maciek wyjął mój ulubiony żółty kubek, włożył do niego torebkę z herbatą, zalał ją i zaraz wyjął. Nawet pamiętał, że lubię słabą.

– Z cytryną? – zapytał.

– A czy ja kiedykolwiek piłam z cytryną?

– Nie... Myślałem, że może coś się zmieniło... – Postawił kubek na stole.

Westchnęłam. Wiele rzeczy się zmieniło. Ale herbaty z cytryną nadal nie lubiłam. Zdjęłam ręcznik z głowy. Włosy rozsypały się na ramiona.

– Maciek... Dużo się zmieniło – powiedziałam. Podniosłam kubek do ust i zaczęłam dmuchać w parującą herbatę, by zająć czymś myśli, wzrok, ręce. – Ja się zmieniłam, ty się zmieniłeś...

– Kotku...

– I właśnie o to chodzi, Maciek. – Postawiłam kubek z hukiem na stole. – Nie jestem już kotkiem. Twoim kotkiem.

Maciek milczał.

– Zobacz... Nazywasz mnie tak, dopiero gdy czegoś ode mnie chcesz. Dopiero gdy jest bardzo źle, zaczynasz się starać. Kwiaty przynosisz. – Wskazałam na bukiet leżący na blacie kuchennym.

– O, właśnie. – Zerwał się i zaczął rozpakowywać papier. Syknął, gdy ukłuł się szpilką. – To dla ciebie.

Westchnęłam i zanurzyłam twarz we frezjach. Zawsze bardzo je lubiłam. O dziwo, Maciek pamiętał.

Włożyłam je do wazonu.

– Nie dbałeś o tę naszą miłość – rzuciłam. – Zaraz przypomniałam sobie twarz Pawła

i jego silne ramiona. – Może razem nie dbaliśmy? Pogubiliśmy się gdzieś po drodze. – Zamyśliłam się. – Trochę szkoda tego wszystkiego...

– Kotku... Może uda nam się to jeszcze naprawić?

– Maciek... Przecież ja próbowałam naprawiać. Próbowałam z tobą rozmawiać. Ale według ciebie zawsze wszystko było super. Super było, dopóki siedziałam cicho i nic od ciebie nie chciałam.

– Ewa...

– Nie mam racji? – Spojrzałam na niego wnikliwie. Spuścił oczy.

– Ja byłem szczęśliwy.

– Widzisz. A ja nie. I mówiłam ci o tym. A ty nie chciałeś słuchać.

– Ewa... Spróbujmy jeszcze raz. Bądź dorosła.

– Maciek, ja chyba pierwszy raz w życiu jestem dorosła. Naprawdę bardzo dorosła.

Uważam, że rozwód będzie najlepszym rozwiązaniem.

– Szantażujesz mnie?

– Czym? Rozwodem? – zapytałam. – Przecież ja niczego od ciebie nie chcę w zamian.

Chcę po prostu sformalizować swoją samotność.

– Ewa, a dzieci?

Dotknął mojego najczulszego punktu. Zabolało.

– Nie chciałeś mieć ze mną dzieci – powiedziałam. – A teraz chcesz? Wszystko, byleby wróciła? A potem będzie tak samo?

– Niepoważne jest to, co robisz – oświadczył, a po chwili westchnął. – Ja też jestem niepoważny. – Pokręcił głową. – Żona mi rogi doprawia, a ja ją błagam, by do mnie wróciła. Idiota.

Zrobiło mi się go żal. Siedział przygarbiony, bębniąc palcami w stół. Wtedy pomyślałam, że może jednak powinniśmy spróbować... Położyłam rękę na jego dłoni.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego chcesz, byśmy byli razem?

Wzruszył ramionami.

– Bo jesteśmy małżeństwem.

– Tylko dlatego?

– Oj, Ewa, nie zadawaj mi takich pytań. – Strząsnął moją dłoń.

– Dlaczego? Przecież to naturalne, że chcę wiedzieć, dlaczego chcesz być ze mną.

Wzruszył tylko ramionami.

– To jest chyba normalne, że każde małżeństwo powinno być razem.

– Wiesz... Myślałam, że powiesz, że mnie kochasz... Nie usłyszałam tego...

– Kotku, no jasne, że cię kocham. – Złapał mnie za rękę. – Przecież wiesz...

Położył sobie moje dłonie na policzkach. Siedzieliśmy tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Puścił moje rękę, pogładził wilgotne jeszcze włosy i powiedział po prostu:

– Chodźmy spać.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do sypialni. Rozwiązał poły szlafroka, zsunął go z ramion. Szlafrok spadł na ziemię.

Zaczął całować moje ramiona, piersi, brzuch i uda. Powoli, nie spiesząc się. Stałam, nie wiedząc, jak mam zareagować. Z jednej strony czułam, że nie powinnam tego robić, że nie wstępuje się dwa razy do tej samej rzeki, a z drugiej strony przypomniał mi się Maciek, którego znałam dawno temu i z którym chciałam spędzić resztę życia. Czuły, delikatny, wyrażający swoje uczucie na każdym kroku.

– Kocham cię – szepnęłam.

– Ja ciebie też.

Tej nocy długo się kochaliśmy. Maciek dawał. Nie brał.

Następnego dnia w naszej szafie znowu zawisły jego garnitury, kosmetyki do golenia stanęły na półce w łazience, a do kosza na brudną bieliznę wrzuciłam parę niebieskich majtek i granatowe męskie skarpetki.

Gośka nie była zadowolona.

Zadzwoiłam do niej następnego dnia, zaraz jak tylko się obudziłam. Maćka już nie było. Nie budząc mnie rano, wyszedł. Spojrzałam na wygniecioną jego stronę łóżka. Uśmiechnęłam się do siebie. Naprawdę wierzyłam, że wszystko się ułoży. Położyłam się na jego poduszce, chciałam poczuć jego zapach, niestety, nie poczułam nic. Leniwie się przeciągnęłam, sięgając po telefon. Wybrałam numer Gośki.

– On wrócił – powiedziałam.

– Jak to wrócił? – Gośka była zaskoczona. – Sam wrócił, czy pozwoliłaś mu wrócić?

– Pozwoliłam – odpowiedziałam, po czym zaczęłam Gośkę przekonywać, że on się przestraszył, że chyba zrozumiał, dlaczego to zrobiłam, że teraz chcemy zacząć wszystko od początku.

Gosia nie wierzyła w ani jedno moje słowo.

– Ewa – zaczęła cicho. – Ile razy to już słyszałam?

– Gosia – przekonywałam. – Tym razem jest inaczej. – Sama bardzo chciałam w to wierzyć. I wydawało mi się, że uwierzyłam. Naprawdę czułam to, że mój mąż nagle, z dnia na dzień się zmienił i sądziłam, że nasze życie nagle zacznie przypominać idyllę. Przynajmniej ja chciałam zrobić wszystko, by było idealnie.

Naturalne było dla mnie to, że po wspólnie spędzonej nocy z własnym mężem, on z powrotem się do mnie wprowadzi.

Dla niego to też było oczywiste, więc po pracy przyjechał od razu do mnie, wniósł na górę ciężkie walizki. Pomogłam mu się rozpakować, powiesiłam jego koszule w szafie, poukładałam bieliznę na półkach i szczęśliwa poczułam, że znowu mam w domu mężczyznę.

Mężczyzna spał przed telewizorem.

Uśmiechnęłam się do niego, usiadłam obok, przytuliłam się i również zasnęłam.

Chciałabym móc powiedzieć, że po powrocie Maćka wszystko się zmieniło. Na lepsze. Że zaczęliśmy stanowić idealną rodzinę. Niestety, tak nie było.

Maciek się starał, to było widać, ale ja coraz bardziej czułam, że czegoś mi brakuje.

Starałam się przekonać samą siebie, że tak ma być, że nie można mieć wszystkiego naraz, że powoli będzie dobrze... Były momenty, kiedy nawet w to wierzyłam. Albo wydawało mi się, że wierzę.

W moim codziennym życiu niewiele się zmieniło. Rano wychodziłam do pracy, wracałam po południu, odgrzewałam obiad i wtedy przychodził Maciek. Próbował być na czas. Widziałam, ile wysiłku w to wkładał.

Brał swoje papiery do domu, ale starał się też spędzać więcej czasu ze mną. Ja... Miałam wrażenie, że robi to na siłę. Że gramy w jakiejś sztuce, że za chwilę opadnie kurtyna i będzie tak jak kiedyś. Cały czas byłam niepewna jego słów, jego poczynań.

Do tematu zdrady wróciliśmy tylko raz.

– Powiesz mi, dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.

– Bo nie byłam z tobą szczęśliwa – odpowiedziałam po prostu.

– I dlatego wpakowałaś się innemu do łóżka? Nie mogłaś ze mną porozmawiać?

– Maciek... Sam wiesz, że próbowałam. Nie chciałeś. Możemy nie wracać do tematu?

Przepraszam cię za tamto.

Wtedy zaproponował, żebyśmy jednak poszli na terapię. W ogóle zgadzał się na wszystko, o czym kiedykolwiek mówiłam. Temat dziecka też był poruszany. Chociaż miałam wrażenie, że nieco na siłę. Mówił, że chce mieć dziecko, jak najbardziej, a najlepiej dwoje, że jakże mogłabym myśleć inaczej. Niemniej jednak jego zachowanie mówiło zupełnie co innego.

Kiedyś przyniósł plany domu. Domu, który widywałam tylko na projekcie, bo do Krakowa zawsze było „nie po drodze”. Prawdę mówiąc, wcale się nie paliłam, żeby tam jechać. Nadal nie lubiłam tego domu, tego miejsca. Do Krakowa przekonywały mnie tylko Sukiennice i te małe, wąskie uliczki wokół, pełne knajpek i kawiarni, a nie dom, który teraz miałam przed sobą narysowany na wielkich arkuszach papieru.

– Tu hol – pokazywał Maciek. – Od razu przy wejściu garderoba. Zobacz, jaka duża.

Podróżowałam palcem po rysunku swojego własnego domu jak po obcym miejscu. To nie tak miało być... Salon, gabinet Maćka, kuchnia, łazienka.

– Teraz na górze – kontynuował. – Zobacz, tutaj sypialnia, balkon ma, pokój gościnny, wielka łazienka, tu będzie wanna i prysznic. – Wyraźnie żył tym domem. Spojrzał na mnie z uśmiechem. – Podoba ci się?

– O czymś zapomniałeś... – odparłam cicho.

– Nie, nie, nie – powiedział, całując mnie w czoło. – Pamiętam! Twój pokój to ten tutaj, z tym okienkiem.

Robiło mi się coraz bardziej smutno.

– A gdzie pokój dzieci? – zapytałam, uważając, żeby się nie rozplakać.

– No... – Maciek wyglądał na ogromnie zaskoczonego, a zarazem zmieszanego. – Potem się z pokoju gościnnego zrobi...

– Potem? To znaczy kiedy? – drażylałam temat. Ja od razu zaplanowałam pokój dziecienny, a najlepiej dwa, bo przecież miała być ta Jaśmina i Jeremiasz...

– Oj, kotku. Nie możemy zapeszyć – skwitował. – Najpierw trzeba to dziecko mieć.

– Tak, ale trzeba coś robić w tym kierunku...

– Będziemy robić. W swoim czasie. – Był coraz bardziej zdenerwowany.

Po powrocie Maćka wszystko zatem było pozornie idealnie. Minęły już dwa miesiące, a jego obietnice nadal pozostały niespełnione. Do terapeuty nie poszliśmy, dzieci na razie nie chciał. Twierdził, że chce, bardzo chce, ale w swoim czasie.

Tylko, do cholery, kiedy miał być ten czas? Byłam po trzydziestce i naprawdę chciałam mieć dziecko!

Przełykałam łyżę goryczy i nadal starałam się udawać, że wszystko jest w porządku. Dom, praca, praca, dom, ale wszystkie moje działania podporządkowałam chęci bycia matką.

Kiedyś kilka minut przed lunchem zadzwonił Michał.

– Umilkłaś ostatnio – powiedział. – Budujesz twierdzę?

– Nie... – zamyśliłam się. – Staram się zbudować dom.

– Dawno się nie odzywałaś – dodał cicho.

– Nie dzieje się nic specjalnego. – Rozmowa wyraźnie nam się nie kleiła. – Praca, dom, dom, praca.

– Szczęśliwa? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałam, choć wszystko we mnie krzyczało, że nie na tym polega szczęście. – A co u ciebie?

– Nic ciekawego. Praca, dom. W weekendy Julka... Chyba się za tobą stęskniłem – dodał cicho. – Brakuje mi twoich słów. Czasem patrzę, czy miga telefon, z nadzieją, że to od ciebie, a tu nic. I wtedy nie wiem, czy jest aż tak dobrze, że nie piszesz, czy wręcz przeciwnie.

– Martwisz się o mnie?

– Chyba trochę tak. Ale cieszę się, że starasz się budować dom. Może chociaż tobie się uda. Muszę kończyć. Pa.

– Pa.

Dziwna była ta rozmowa. Taka jakby przepełniona tęsknotą. W każdym razie po jej

zakończeniu ja się tak czułam. Tęsknota za tym, by ktoś się troszczył, by czekał, by tęsknił.

Wystukałam w telefonie: „A może jutro lunch?”.

„Jutro jestem w Katowicach. Nie mogę”.

Zmartwiłam się. Poczułam się odtrącona. Tak, wiem, w Katowicach jest. Nie może. Po godzinie odebrałam kolejnego esemesa.

„W piątek z przyjemnością”.

Maciek wiedział, że jem lunch z jakimś dawnym znajomym i nie protestował. W świetle ostatnich zdarzeń bardzo mnie to dziwiło. Pewnie gdyby mąż mnie zdradził, nie wypuściłabym go z domu. Przyznam, że czasem brakowało mi jego zazdrości.

– A co byś chciała? Bym od razu lał w mordę każdego, kto na ciebie spojrzy? – pytał.

No nie. Aż tak nie. Ale trochę. Gest, spojrzenie, cokolwiek. Nie musiałby od razu „lać w mordę”. Nie od razu.

W piątek spotkałam się z Michałem. Zmizerniał. Schudł, miał podkrążone oczy.

Zupełnie odruchowo pogłaskałam go po policzku. Poczułam jego twarde zarost.

– Za dużo pracujesz? – zapytałam. – Czy masz jakieś kłopoty?

– I jedno, i drugie. – Uśmiechnął się. – Wiesz, jak jest... Julki ze mną nie ma, muszę się na nowo do życia przyzwyczajać. Bez niej świat nie istnieje.

– Maciek chyba nie chce dzieci – powiedziałam. – Nawet pokoju dzieciennego nie przewidział. Dom wielki jak cholera, a nie ma miejsca na pokój dla dzieci...

Michał złapał mnie za rękę. Siedzieliśmy tak przez chwilę. Wziął ze stołu papierową serwetkę i wytarł mi oczy.

– Rozmażę makijaż? – zapytał.

Uśmiechnęłam się.

– Nieważne...

– W ogóle nie chce dzieci? – zapytał.

– Mówi, że chce... W swoim czasie...

– I co z tym zrobisz?

Wytarłam nos i westchnęłam.

– Poczekam aż ten „czas” nadejdzie.

– Myślisz, że możesz to tak odkładać?

– Nie wiem. W tych czasach nawet czterdziestolatki rodzą pierwsze dziecko. I jest dobrze. Będę czekać aż do skutku.

Michał próbował wtedy rozładować atmosferę, mówiąc, że od samego czekania się w ciążę nie zachodzi, że trzeba działać.

Jakoś mnie tym nie rozbawił...

Po tej rozmowie z Michałem postanowiłam, że przestanę przyjmować tabletki, które zaczęłam brać, gdy bałam się, że zajdę w ciążę z Pawłem. Tego samego dnia wyrzuciłam nierozpoczęty blister do śmieci. Nie miałam zamiaru zacząć kolejnego opakowania.

Chciałam powiedzieć o tym Maćkowi, mimo jego wyraźnej niechęci i po prostu postawić na swoim. Mogłam być z nim, ale tylko w wypadku, gdy się zgodzi na dzieci. Zgodzi? Co to za życie bez dzieci? Rodzina? Co to za rodzina we dwójkę?

W weekend Maciek był w Krakowie, więc nie było czasu, by mu o tym wspomnieć, ale okazja nadarzyła się już kilka dni później. Gośka miała urodziny i jak co roku zamierzała je hucznie świętować.

– Kochana, w sobotę. Amelka będzie u babci, aby pijanych rodziców nie oglądała, i możemy balować do rana – zapraszała przez telefon. – Będziesz z Maćkiem? – zapytała z nadzieją w głosie. Z nadzieją, że jednak przyjdę sama.

Wtedy byłam na etapie udawania przed całym światem, że jest dobrze. Że jest bosko. Że jest idealnie. Idealny mąż, idealna żona. Nie brakuje nam w tym idealnym świecie niczego. I nikogo.

Udawałam nawet przed Goską.

– Tak, kochanie, będziemy razem. – Usłyszałam lekkie westchnienie. Pominęłam je milczeniem.

Gośka lubiła świecidełka. Najlepszym prezentem dla Gosi był taki, który błyszczał się i dyndał. Na uchu tudzież dekolcie.

W sobotni poranek pojechałam do centrum handlowego, obleciałam wszystkie sklepy z biżuterią i w końcu zobaczyłam kolczyki, które były w sam raz dla Gośki. Oglądałam śliczne malutkie rubinowe oczka w żółtym złocie. Błyszczały się i dyndały, dokładnie tak, jak powinny. Nagle do jubilera wpadła para. Obydwoje uśmiechnięci, wysoka, pulchna szatynka i jej mąż.

– To te, Przytulaku – szepnęła konspiracyjnym szeptem.

– Można je zobaczyć? – zapytał.

Ekspedientka wyciągnęła piękne kolczyki z brylantami. Kobieta od razu nałożyła je na uszy.

– Podobają ci się? – pytał dalej mąż.

– Bardzo! Trzy razy je odwiedzałam – odparła z uśmiechem. Nagle poczuła chyba na sobie mój wzrok, bo dodała, jakby tłumacząc się: – To prezent za urodzenie synka! Synek ma wprawdzie już pół roku, ale wymęczyłam! – Uśmiechnęła się – Widzi pani, faceci, za córkę nic mi nie kupił, a za syna brylanty!

Uśmiechnęłam się i z zazdrością na nią popatrzyłam. Ona miała wszystko. Miała

męża, który kupował jej biżuterię, miała córkę, miała syna i miała brylanty.

Tego ostatniego nie musiałam mieć.

Obserwowałam ich jeszcze przez szybę wystawową, patrzyłam, jak szczęśliwa żona całuje męża w policzek, a on, jakby zawstydzony, stara się okiełznać jej euforię.

Poczułam olbrzymią pustkę.

– Zapakować te kolczyki na prezent? – spytała ekspedientka.

– Tak. Poproszę – powiedziałam cicho.

Długo jeszcze przed oczami miałam parę ze sklepu.

Jak miało się później okazać, na urodziny do Gośki, jak zwykle, poszłam sama. I wtedy, chyba po raz pierwszy w życiu, upiłam się. Nie to, żebym wcześniej była przesadnie grzeczna, ale tym razem upiłam się, ponosząc wszystkie przykre konsekwencje. Tamtego wieczora, a w zasadzie nocy, siedziałam kilka godzin na podłodze, płacząc i przytulając policzek do porcelanowej ubikacji. Popsułam chyba jej urodziny.

Dlaczego?

Dlatego, że Maciek nie chciał jednak mieć dzieci. Nigdy. W swoim czasie również nie.

Gdy wróciłam wtedy z galerii handlowej, Maciek był już w domu. Oprócz kolczyków kupiłam nową bieliznę i w ramach poprawy stosunków w naszym małżeństwie pokazałam się w niej mężowi. Tym razem bordowe koronki odegrały swoją rolę. Gdy leżeliśmy po wszystkim, przytuleni – o dziwo mój mąż mnie przytulał – przypominałam sobie o pewnym „drobiazgu”...

– Zapomniałam ci o czymś powiedzieć – próbowałam przerwać jego coraz głośniejsze chrapanie.

– Mhm – mruknął. – Musisz teraz? – zapytał.

– Nie, no w sumie nie muszę. Ale uważam, że powinnam...

– Mhm? – zapytał, nie otwierając oczu.

– Przestałam brać tabletki.

– Jak to przestałaś? – Otworzył szeroko oczy, odepchnął mnie i usiadł na łóżku. – Kiedy przestałaś?

– Nie wiem, tydzień temu, półtora...

– I dopiero teraz mi o tym mówisz? Czy ty jesteś normalna?

Nie wiem, co wtedy widziałam w jego oczach. Czy to była nienawiść, szok, czy przerażenie...

– Nie było okazji... – szepnęłam cicho, nieco zaskoczona jego reakcją.

– Jak to, kurwa, nie było okazji? – wrzeszczał. – Ja, kurwa, nie chcę dzieci! Żadnych dzieci! Nigdy!

Spojrzałam na niego bez słowa.

Wstałam z łóżka i poszłam pod prysznic. Stałam długo pod ciepłym strumieniem wody i byłam po raz kolejny coraz bardziej przekonania, że takie życie nie ma sensu.

Dobrze, że chociaż jasno i dobitnie to podkreślił. Wiem, na czym stoję. A jeżeli właśnie teraz zaszłam w ciążę. Dziś... To co? Będzie kazał mi znaleźć kogoś, kto załatwi niechciany problem, czy sam mi poszuka specjalisty i głaszcząc mnie jak dziecko po głowie, wytłumaczy słuszność takiego kroku.

Nie.

Zgadzałam się z nim w zbyt wielu sprawach. Dla niego chciałam zostawić Gdańsk, dla niego robiłam wiele rzeczy. Tego nie zrobię.

Wyszłam z wanny i ubrana w szlafrok poszłam do kuchni. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki. Maciek gdzieś wyszedł. Byłam sama.

Nawet nie płakałam. Robiłam to wcześniej zbyt często. Po prostu układałam sobie plan na życie. Na dalsze życie. I coraz bardziej skłaniałam się ku temu, że ten plan będę realizować sama. Pękłam dopiero u Gośki, kiedy właściwie wszyscy goście poszli już do domu. Całe szczęście. Ryczałam, piłam i zwracałam to, co zdążyłam wypić.

Około czwartej Gośka zadzwoniła po Michała. Podobno zrobiła to na moje żądanie, prośbę, a potem błagania. Dokładnie w tej kolejności.

Nic nie pamiętam. Ale obudziłam się w jego mieszkaniu, w jego łóżku. Z potwornym bólem głowy.

– Zabalowałaś... – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jezu... Masz jakąś tabletkę od bólu głowy? I szczoteczkę do zębów...

– Jasne. – Trzymał już w ręku szklankę pełną jakiegoś musującego świństwa. – Pij.

– Bardzo żałosna byłam? – spytałam, nie patrząc mu w oczy.

– Nie, skądże. – Uśmiechnął się. – Wciąż powtarzałaś, że mnie kochasz i chcesz mieć ze mną dzieci. Rozebrałaś się i chciałaś się kochać.

– I?

– I niestety zasnęłaś. – Uśmiechnął się.

– Naprawdę tak mówiłam?

– Naprawdę. Kochać się też chciałaś. – Zauważył mój pytający wzrok. – Spoko. Spałem w drugim pokoju.

– Przepraszam... Wiesz... Nie zdarza mi się to często...

– No, mam nadzieję! Chcesz coś zjeść?

– W życiu... Przepraszam...

– Nie przepraszaj. Opowiesz mi, co się stało? Gośka mi już trochę opowiedziała, ale chcę to usłyszeć bezpośrednio od ciebie.

– Nie ma nic do opowiadania... Moje małżeństwo nie ma sensu...

– Taa... To już słyszałem kilkanaście, jeżeli nie kilkadziesiąt razy... A coś nowego?

– Maciek nie chce dzieci...

– To też wiedziałaś...

– Wiedziałam, Michał... Ale się łudziłam... Marzyłam... A teraz powiedziałam mu, że przestałam brać tabletki i dobitnie dał mi do zrozumienia, co o tym sądzi.

– Co teraz zrobisz?

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Nie wiem...

Nasze dalsze działania, a raczej ich brak ustaliliśmy z moim mężem jakieś dwa tygodnie później.

Czułam się wyjątkowo źle, po raz kolejny w moim życiu okazało się, że i tym razem nie będę mamą. Rozczarowana wyszłam z łazienki, Maciek czytał jakąś gazetę z muskularnym macho na okładce. Cisnęłam w niego z całej siły paczką tamponów.

– Stanęło na twoim – powiedziałam, patrząc na niego z nieukrywaną nienawiścią. – Tym razem również nie będziesz tatusiem.

Maciek wtedy nic nie odpowiedział. Dopiero kilka godzin później przyszedł do mnie do sypialni, bo od czasów pamiętnej imprezy u Gosi ja zajmowałam jeden pokój, a on drugi, i zaczął rozmowę.

– Ewa... Nie możemy tak dalej żyć. – Nie patrzył mi w oczy. – Miałaś rację. To nam nie wyjdzie.

Długo mówił. Mówił o swoich marzeniach, zupełnie odmiennych od moich, o swoich planach na przyszłość, swoich celach życiowych. Wyznał, że zaskoczyło go to, że moja zdrada nie zaboląa go tak, jak powinna... Powtarzał wciąż słyszane ode mnie słowa o niedopasowaniu kawałków układanki.

– Znajdziesz jeszcze kogoś, kto ci da szczęście.

Zabrzmiało jak z taniego romansu. Cholera, życie to też czasem taki tani romans. Łzy, żal.

Wspólnie zdecydowaliśmy, że Maciek będzie mieszkał ze mną jeszcze tydzień, a potem wróci do siebie. Już na zawsze. Bez powrotów i sztucznego trzymania przy życiu tego, co nie istnieje.

Dziwna to była rozmowa. Po raz pierwszy zgadzałam się w stu procentach ze zdaniem męża.

Na weekend wyniosłam się z domu do Gośki. Nie chciałam być świadkiem tego, jak znowu pakuje wszystkie swoje skarby i rzeczy przesiąknięte wspomnieniami. Naszymi wspomnieniami. Nie zniosłabym tego po raz kolejny.

Jakiś tydzień później zadzwonił Michał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał.

– Skąd wiesz?

– Gośka do mnie zadzwoniła. Stwierdziła, że pewnie potrzebujesz pomocy...

– Potrzebuję przyjaciela – odpowiedziałam.

– Jestem...

– Przyjedziesz?

– Teraz jestem w Szczecinie. Nie mogę. Siedzę sam jak palec w hotelowym pokoju i zastanawiam się, dlaczego się nie odzywasz.

– Sama nie wiem. Muszę sobie jakoś to swoje życie poukładać. Życie w samotności.

Przyjedź do mnie, jak wrócisz. Adres znasz...

Michał przyjechał w piątek wieczorem. Wcześniej mu się jednak nie udało.

– Dostanę coś do jedzenia? – zapytał. – Nie zatrzymywałem się w zasadzie po drodze.

Otworzyłam prawie pustą lodówkę.

– Jajecznica?

– Jasne.

Czekałam na jego pytania, wiedziałam, że prędzej czy później będę mu musiała wszystko opowiedzieć. Michał jadł kolację w milczeniu.

– Herbaty?

– Poproszę.

Po chwili zapytał, czy powiem mu sama, czy ma pytać.

– Pytaj.

– Dlaczego?

Powiedziałam mu wszystko. O swoim małżeństwie, mimo iż to słyszał tysiąc razy, o marzeniach, o zdradzie, mejlach przeplatanych wierszami. Powiedziałam o motylach w brzuchu i seksie na blacie biurka, w windzie oraz w wielu innych miejscach. Na końcu opowiedziałam o blondynce z dołeczkami. Nie skąpiłam szczegółów, mimo iż widziałam kątem oka jego zaciśnięte pięści.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Mówię...

– Wcześniej? Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej? Kim ja dla ciebie jestem?

Przyjacielem? Czy kim?

– Nie wiem. – Spuściłam wzrok.

– Nie wiesz? – krzyknął.

– Michał... Przyjacielem...

– I wiesz co? – Odsunął taboret od kuchennego stołu. – Najbardziej jestem wściekły na siebie! Że byłem takim frajerem i że będąc z tobą, ba, nawet śpiąc z tobą w jednym łóżku, trzymałem ręce przy sobie, w czasie gdy ty bzykałaś się z innym! Że podczas

gdy pijana błagałaś, bym cię pieprzył, odwróciłem głowę, by nie ulec jakiejś cholernej słabości! Dżentelmen, cholera! A ja cię zawsze tak pragnąłem!

– Przepraszam... – wydusiłam z trudem.

Michał wstał, włożył swoją skórzaną kurtkę i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami, mimo późnej pory.

Teraz miałam wrażenie, że mój świat zupełnie runął. Po chwili wyjrzałam przez okno. W świetle latarni stał Michał i palił papierosa. Jak kiedyś. A ja stałam ukryta za firanką i spoglądałam na ten świetlisty punkcik w mroku. Jak kiedyś.

Deszcz bębnił o szyby, blask latarni odbijał się w mokrej ulicy, a on tam stał i spoglądał w moje okno. Jak kiedyś.

Nie mogłam pozwolić, by i ten rozdział mojego życia zakończył się definitywnie. Pomachałam mu. Stał bez ruchu.

Koniec, pomyślałam. Popsułam wszystko.

Wzięłam do ręki telefon.

– Michał... Wrócisz? – zapytałam. – Czekam na ciebie... Tak długo na ciebie czekam...

Tamtą noc całą przegadaliśmy. Mówiliśmy o wszystkim.

To była taka nasza spowiedź?

Od tych wydarzeń minęło już kilka lat. Jestem zupełnie inną kobietą. I kilka siwych włosów znalazłam, i kilogramów mi przybyło... Ale po dwóch ciążach to nawet ja jestem w stanie to sobie wybaczyć, a tym bardziej mój mąż.

Tak.

Mój mąż.

Nie, nie wrócił ten pierwszy. Nie mam z nim prawie kontaktu. Jego firma wysłała go gdzieś w świat, nawet nie wiem gdzie. Czasem dostaję od niego mejle ze świątecznymi życzeniami.

W sierpniu cztery lata temu wyszłam za Michała. Ślub był w zasadzie bez pompy, ale zjawili się wszyscy, którzy być powinni. Gośka się uparła, że mam mieć welon i białą suknię i latała ze mną po wszystkich sklepach Trójmiasta w jej poszukiwaniu, ciesząc się, jakby to ona sama była panną młodą.

Byłam najpiękniejszą panną młodą na świecie. I w ogóle byłam najpiękniejsza. Przynajmniej tak twierdził mój mąż. Teraz już tak nie uważa... Na prowadzenie wysunęła się Jaśminka. Nasza trzyletnia córka, dla której właśnie skończyłam robić czerwoną czapkę na drutach. Moje dziecko stwierdziło, że do czerwonych rajstop różowej czapki nie będzie nosić. No cóż. Uległam.

Jeremiasz, efekt naszego pierwszego weekendu bez Jaśminy ma już pół roku. Jest tylko trzy dni starszy od synka Gośki. No i jest jeszcze Julka, córka Michała, która przyjeżdża co weekend i której dzieciaki nie mogą się doczekać.

I w zasadzie wszystko jest jak w bajce. No, może za dużo powiedziane, ale wszystko jest takie, jak być powinno. Jasne, kłócimy się, ale godzenie jest bardzo przyjemne... Oprócz tego potrafimy rozmawiać.

No i budujemy dom pod Gdańskiem. Mieszkania nie sprzedaję, wzięliśmy kredyt. Na górze będzie nasza sypialnia i pokoje dzieci, na dole salon, kuchnia i dwa małe pokoiki. Przekonuję Michała do ciemnopomarańczowego korytarza. Z ciemnymi dodatkami. Może się uda.

Pamiętam, jak kiedyś marzyłam, by cofnąć czas, by znowu wrócić do momentu, kiedy Michała wyganiałam do domu i prosiłam, by się we mnie nie zakochiwał. Jak obserwowałam go zza firanki. Marzyłam, by dano mi jeszcze jedną szansę, bym miała okazję zawołać „Michał! Wróć, do cholery! Dlaczego ty mokniesz pod tą latarnią?”.

Taką szansę mi dano.

Naprawdę można cofnąć czas, jeżeli się tego bardzo chce. Czasem tylko nie

potrafimy tego zrobić. Nie wiemy, gdzie nacisnąć, by wskazówki się przekręcały w odwrotnym kierunku.

Ten przycisk mamy w sobie i od siebie trzeba zacząć. Mnie się udało.

Myślę, że historia z Pawłem pokazała mi, że to, co do tej pory uważałam za niemożliwe, jednak się dzieje. Zerwała mi te klapki, które tak długo miałam na oczach. Nie spodziewałam się, że jestem zdolna do zdrady – a jednak byłam. Zobaczyłam tym samym, że jestem zdolna do wielu innych rzeczy, o których nie miałam pojęcia.

Ten romans był katalizatorem zmian. Pokazał mi moje życie w prawdziwym świetle. Bez złudnych marzeń i nierealnych oczekiwań, szare, brudne, nieciekawe, z człowiekiem, który po prostu mnie nie kochał. Zdrada popchnęła te wskazówki zegara wstecz, znowu do momentu, kiedy mogłam wybierać.

Patrzę na Michała, który w napięciu kończy czytać jakąś książkę i się do mnie prawie nie odzywa i wiem, że tym razem wybrałam dobrze.

W tle Leonard Cohen śpiewa *I'm your man*.

Nie chcę już cofać czasu. Marzę, by życie biegło swoim rytmem. Spokojnie, do przodu.

Michał skończył już czytać. Woła mnie do łóżka.

Dobranoc.

Gdańsk, 27 lutego 2010

PODZIĘKOWANIA

Kiedy myślę *Opowieść niewiernej*, od razu przed oczami staje mi Dorota, która po pierwszym wydaniu książki napisała mi „Pani Magdo, ta książka jest o mnie”. Od tamtej pory dużo się wydarzyło. W życiu Doroty zaszły zmiany dokładnie takie jak w książce. Pojawił się mały synek, który jest efektem tych zmian... I tak teraz myślę, że to chyba największy komplement, jaki pisarz lub pisarka może usłyszeć. Dziękuję Ci, Dorotko!

Ta książka jest dla mnie szczególna. Otworzyła mi wiele drzwi, jak również pokazała, że potrafię pisać nie tylko po to, aby Was bawić, ale też by wzruszać. Czasami wręcz, że bardziej lubicie płakać przy moich książkach, niż zaśmiewać się do łez!

Teraz jestem w zupełnie innym miejscu niż wtedy, gdy trzymałam pierwsze wydanie *Opowieści niewiernej* w swoich rękach. Sama nie mogę uwierzyć, że tak dużo dobrego się wydarzyło od tamtego momentu. Tyle moich książek na półkach, w księgarniach. Tylu nowych czytelników!

To właśnie Wam dziękuję, Kochani Czytelnicy. Dziękuję za to, że czekacie na każdą książkę z utęsknieniem, że motywujecie mnie do pracy. Za to, że na spotkaniach autorskich spotykam się z niesamowitą, bardzo pozytywną energią! To właśnie ona tak mocno napędza mnie do działania.

Dziękuję Justynie Chaber z ONACZYTA i Ani Piotrowskiej, która założyła grupę fanów na Facebooku. Dzięki Wam wiele osób dociera do fantastycznych książek.

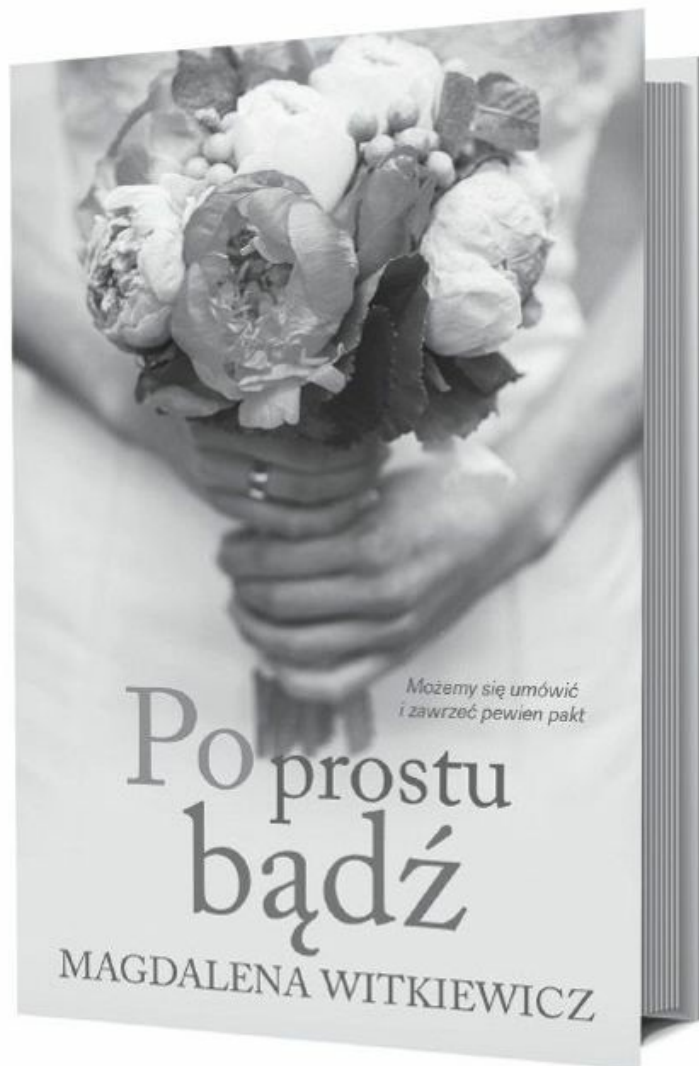
Dziękuję mojej mamie za to, że pomaga, a mężowi – że wreszcie przestał przeszkadzać! :)

I najważniejsze. Wydawnictwo FILIA – ależ fajnie, że Was mam. I że wytrzymujecie ze mną nawet mimo mojej niesubordynacji. Nie obiecuję, że się poprawię, bo to nierealne, ale wiecie. Aj law ju.

Magdalena Witkiewicz

17 czerwca 2016

Najpiękniejsza historia
o miłości



*Możemy się umówić
i zawrzeć pewien pakt*

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

PODZIĘKOWANIA

Reklama

Karta redakcyjna

